

**JANE SIGALOFF**

**IMIĘ I NAZWISKO ZASTRZEŻONE**

*(Name & address withheld)*

# 1

*Dlaczego zawsze jest tak, że najbardziej nam zależy na tym, czego nie mamy? Nieważne, co nas kręci: torebka Prądy, obuwie treningowe z najnowszej kolekcji Nike, fryzura Jennifer Aniston albo jej mąż, George Clooney albo szkolna sympatia z klasy maturalnej; są w życiu takie chwile, gdy sądzimy... nie, jesteśmy pewni, że będziemy żyć pełnią życia dopiero wówczas, gdy zdobędziemy tę upragnioną osobę lub rzecz. Kolejna typowa ludzka słabość: nie przywiązujemy wagi do tego, co mamy, póki nie zostanie nam odebrane, jedno i drugie przytrafiło mi się tyle razy, że aż trudno spałiętać jako piętnasto - i szesnastolatka chciałam tylko Marka. Na marginesach szkolnych zeszytów bazgrałam jego imię, w czasie podwójnych lekcji angielskiego stęskniona rysowałam serca ozdobione naszymi inicjałami, wyliczyłam pracowicie, że współczynnik naszego wzajemnego dopasowania wynosi osiemdziesiąt cztery procent. Niestety, pomyliłam się w rachunkach. Powinnam bardziej przykładać się do matmy. Gdy tydzień po moich siedemnastych urodzinach zaprosił mnie na randkę (pewnie dlatego, że byłam ostatnią dziewczynę, z którą się jeszcze nie umówił), myślałam, że oszaleję z radości. Przecież byliśmy sobie przeznaczeni, a moje cudowne marzenia stanowiły najlepszy dowód.*

*Pięć tygodni trzymaliśmy się za rączki i trwała sielanka. Moje prowadzone miesiącami supertajne badania teraz procentowały, bo znalazłam właściwą odpowiedź na każde jego pytanie i kolekcjonowałam odpowiednie kasety. Byłam zakochana! Wkrótce straciłam cnotę z obiektem mego niefortunnego uwielbienia, a ten popapraniec rzucił mnie przed końcem semestru. Cudowne życie skończyło się równie nagle, jak się rozpoczęło. Płakałam i nie mogłam nic przelknąć, ryczałam i chudłam. Potem odzyskałam apetyt i zaczęłam się obżerać, jak nigdy przedtem. Gdyby nie ten drań, miałabym szczęśliwszą młodość, ale przed laty wysmiałabym każdego, kto próbowałby mi to uświadomić. Taki był mój pierwszy krok w dorosłe życie. Bolesna lekcja...*

- Jesteśmy na miejscu, moja śliczna. Miłej zabawy.

Lizzie podniosła wzrok znad kolorowego czasopisma. Tak ją pochłoneła lektura własnej cotygodniowej rubryki, że miała wrażenie, jakby znów była nastolatką. Żołądek ścisnął jej się ze zdenerwowania, gdy pojęła, że dotarła na miejsce.

Czteryście osób miało się razem bawić z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, obchodząc zarazem pierwsze urodziny radia City FM, które szybko zyskało

sympatię słuchaczy. Richard Drake, szef stacji, był łaskaw oznajmić Lizzie, że jako ich najnowszy nabytek, rzecz jasna, ma swój udział w tym sukcesie. Teraz chętnie znów usłyszałaby te słowa, bo nagle straciła pewność siebie i poczuła silną pokusę, żeby wmieszać się w tłum idący ulicami Soho i zniknąć.

Lepiej byłoby nie traktować imprezy integracyjnej dla radiowców oraz ich współpracowników jako przykrego obowiązku, Lizzie nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że śmiało mogłaby sobie darować tego rodzaju powinności. Chętnie udałaby, że dopadł ją wirus, więc powinna dobrać poleżeć w łóżku, żeby jak najszybciej dojść do siebie. Z drugiej strony jednak wiedziała z doświadczenia, że warto pomęczyć się parę godzin na służbowej imprezie i wypić kilka piw, ponieważ to opłacalna inwestycja na cały rok.

Ledwie taksówkarz odjechał, zostawiając na chodniku wyperfumowaną pasażerkę, ta usłyszała znajomy dzwonek. Uratowana przez telefonię komórkową? Lizzie miała nadzieję, że sprawa jest pilna i wymaga natychmiastowej interwencji. Nikomu źle nie życzyła, ale potrzebowała wymówki, żeby wykręcić się od imprezowania. Nerwowo szukała telefonu, który dzwonił raz po raz, uparcie wymykając się mimo skromnych rozmiarów torebki.

- Halo?

- Na miłość boską, jest za kwadrans dziesiąta. O tej porze powinnaś już być porządnie wstawiona.

Na twarzy Lizzie pojawił się uśmiech. Dzwoniła Clare, jej najlepsza przyjaciółka, współlokatorka i najważniejsza doradczyni w sprawach mody.

- Przed chwilą wysiadłam z taksówki.

- W takim razie ruszaj prosto do baru. Niewielkie spóźnienie jest w porządku, ale dłuższa zwłoka oznacza, że wszyscy będą pijani w trzy dupy i w ogóle nie zapamiętają, że jednak się pojawiłaś. Pamiętaj, że jesteś wspaniała, dowcipna, inteligentna, śliczna i trzeźwa... no, względnie. Atut nie do przecenienia na tym etapie imprezy. Powalisz wszystkich na kolana, bo w przeciwieństwie do nich, zamiast odpowiadać monosylabami, będziesz mogła wypowiedzieć całe zdanie. Wyluzuj, zapomnij o nerwach i kup sobie drinka.

- Dzięki. Tak zrobię. - Wystarczyło parę krzepiących słów i nastawienie Lizzie zmieniło się, jakby wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. - Dzięki za rady dotyczące stroju. Jakie to szczęście, że Najwyższy zesłał mi ciebie i twoją szafę.

W latach poprzedzających znajomość z Clare zdarzało jej się popełniać kardynalne błędy. Teraz wyglądała całkiem znośnie, chociaż jej wejście raczej nie budziło sensacji.

- Zawsze do usług. Nie mogę pozwolić, żebyś paradowała w pasiastych, opiętych dzinsach z prostymi nogawkami!

- Słuchaj! Tamta fotka została zrobiona w osiemdziesiątym czwartym roku. Wtedy każdy miał takie portki. Pewnie nawet Madonna je nosiła.

Clare pominęła milczeniem te protesty. Zrobiła, co do niej należało, a poza tym jako właścicielka restauracji musiała pilnować interesu.

- Całuski, kochanie. Rano pogadamy. Zdasz mi relację. Lizzie schowała ładną, małą komórkę. Z promiennym uśmiechem wyprostowała się, efektownie wypinając biust. Mimo że miała na nogach nowe buty, posuwistym krokiem pokonała dwadzieścia metrów dzielących ją od wejścia. Nabierając pewności siebie, energicznie pracowała łokciami.

- Lizzie Ford.

Bramkarz z ponurą miną sprawdził, czy jej nazwisko jest na liście zaproszonych gości, i leniwym ruchem zdjął z haczyka sznur zagrządzający wejście do sali, gdzie trwała zabawa. Jakby czerwona plecionka, służąca zwykle do podtrzymywania zasłon, umieszczona na wysokości kolan, mogła kogokolwiek zatrzymać... może z wyjątkiem zabłąkanej owcy. Zdeterminowany osobnik i tak wlezie, jeśli zechce. I to ma być zamknięte przyjęcie.

Uśmiechnęła się przyjaźnie do paru gości, których twarze wydały się znajome. Pomknęła, a właściwie poczłapała do sali. Impreza już się rozkręciła. Lizzie wolałaby znaleźć się wśród ludzi, którzy nic o niej nie wiedzą, których nigdy więcej nie zobaczy i którzy nie mają pojęcia, gdzie jej szukać. Miała teraz w radio własny sygnał i stały program, straciła jednak prawo do anonimowości.

Matt z wielu powodów nie znosił imprez dla pracowników. Trzeba dobrze wyglądać. Trzeba brylować i sypać dowcipami, nawet jeśli człowiek, z którym rozmawiasz, jest kompletnym nudziarzem. Trzeba nawiązywać kontakty... Nic dziwnego, że goście piją na umór, jakby zmówili się, aby zaprzepaścić własne kariery. Kopiają sobie grób, odrzucając poczucie taktu oraz zasady dyplomacji, i bratają się z ludźmi, których na co dzień - zresztą słusznie - bardzo się boją.

Matt spostrzegł Lizzie, gdy tylko podeszła do obłożonego baru. Wiedział, kim jest. Badania słuchalności wykazały, że przebojem wdarła się do grona najpopularniejszych prezenterów. Dowiodła, że osoba wszystkowiedząca, która prowadzi dział porad, może być urocza i atrakcyjna. Jej program zatytułowany „Udręka i ekstaza” cieszył się powodzeniem większym niż inne tego rodzaju audycje, bo wniosła do niego wyjątkową empatię i przyjazne zrozumienie połączone z łagodną stanowczością okazywaną słuchaczom. Chodziły słuchy, że zapowiada się na wielką gwiazdę. Gdy myślał o jej dotychczasowych sukcesach, nie wątpił, że te prognozy się sprawdzą.

Doskonale wiedział, czego mu teraz potrzeba: odpoczynku w domowym zaciszu, puszki ulubionego piwka, porządnej kolacji i fajnego filmu na wideo, a tymczasem wlewał w siebie kolejną butelkę drogiego piwka i żuł kanapki, zapychając byle czym swój przewód pokarmowy, odporny na wszelkie paskudztwa. Co gorsza, facet siedzący naprzeciwko od dziesięciu minut okropnie przynudzał.

Oto niedawny absolwent z wielkimi nadziejami, którego parę lat przepracowanych w branży reklamowej jeszcze nie pozbawiło złudzeń. Matt Baker wiedział, że jawne uwielbienie młodszego kolegi powinno mu pochlebiać. Ten gość chciał tylko lepiej poznać tak zwanego czarodzieja reklamy. Całkiem nowe określenie. Może pora odżałować trochę kasy na spiczasty kapelusz albo przynajmniej przykleić kilka gwiazdek na koszuli. Matt uśmiechnął się, co przez jego rozmówcę zostało uznane za zachętę do dalszych wynurzeń. Słuchał z roztargnieniem, patrząc na niego niewidzącym wzrokiem.

W pracy miał dobry rok. W domu coraz łatwiej było mu zapomnieć, że nie jest do wzięcia. Po pięciu latach małżeństwa dzielił z żoną kredyt na zakup domu, łazienkę i właściwie nic więcej. Zawsze miał świadomość, że jest spragniona sukcesu. Między innymi dzięki ogromnej ambicji tak bardzo mu się spodobała. Od początku cechowała ją szalona determinacja i świadomość własnej wartości, co zdaniem Matta onieśmiało zapewne wszystkich, którzy mieli z nią do czynienia: urzędnika bankowego, szefa, nawet męża. Teraz jednak odnosił wrażenie, że całkiem zobojeźniał. Przesądziły o tym ostatnie święta. Wypił łyk piwa w nadziei, że gdy jeszcze trochę zatankuje, lekki szmerek przejdzie w bezmyślne zadowolenie. Pijacka introspekcja nie pasowała do świątecznego nastroju.

Lizzie poczuła się jak ryba w wodzie, a wszelkie zahamowania utopiła w pełnym kieliszku. Krążyła po sali, rozdając markowane całusy, ściskając dłonie i radośnie kiwając głową. Natknęła się na Richarda Drake'a, zamieniła parę słów z resztą szefostwa, udając zainteresowanie, wysłuchiwała, co mają do powiedzenia najważniejsze szychy z radiowego działu reklamy. Skupiła się na tym, żeby mówić, co trzeba, komu i kiedy trzeba. Gdy miała to z głowy, poszukała wzrokiem swego producenta Bena i przyłączyła się do kolegów realizujących jej audycję, którzy najwyraźniej postanowili przetańczyć całą noc.

Po pewnym czasie opadła z sił, czemu trudno się dziwić, ponieważ obiadu właściwie nie zjadła, a taniec w butach na wysokich obcasach jest bardzo męczący. Odetchnęła z ulgą, gdy dostrzegła, że w pobliżu jest wolna skórzana kanapa. Opadła na poduszki wygrzane przez gości, którzy rozpierali się na nich przed chwilą, zsunęła buty i poruszała bolącą stopą.

Przy barze kłębił się tłum ludzi w różnych fazach alkoholowego i narkotycznego zamroczenia. Tu i ówdzie widziało się wylewne demonstracje uczuć, które miały miejsce w

ciemnych rzekomo kątach klubu stanowiącego miejsce akcji. Dzięki błyskom stroboskopowych lamp owe poufałości były widoczne jak na dłoni, choć fragmentarycznie, więc bardzo przypominały popowe teledyski. Rytmiczna muzyka podgrzewała atmosferę i brzmiała tak głośno, że wszyscy musieli niemal krzyknąć, żeby ich słyszano. Ogólnie rzecz biorąc, panował spory luz, więc zapewne w poniedziałkowej poczcie elektronicznej impreza będzie określana jako fajna, a ci, którym film się urwie, posuną się nawet do stwierdzenia, że było fantastycznie.

Lizzie błądziła myślami daleko od zatłoczonej sali, gdy przysiadł się do niej Danny Vincent, didżej puszczający muzykę w czasie antenowym, gdy miasto się korkuje. Poczła za plecami jego ramię spoczywające na oparciu kanapy, w głowie odezwał jej się natychmiast wbudowany na stałe niezawodny alarm ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Był chyba równie przymilny jak głos, którym uspokajał rozsierdzonych kierowców stojących w korkach. Siedział zbyt blisko, więc Lizzie zorientowała się, że jego zęby, przesadnie lśniące i białe, zapewne nie są własne, a połyskliwe, markowe dzinsy wydawały się co najmniej o numer za małe.

- Dlaczego taka piękna, młoda i popularna dziewczyna siedzi samotnie w kącie?

Głos był naprawdę wyjątkowy; coś jakby koci pomruk. Ale to jedyny liczący się atut Danny'ego. Lizzie żałowała okropnie, że nie wyszła, nim się do niej przyczepił.

- Obserwuję ludzi, odpoczywam, regeneruję siły... w samotności. - Dwa ostatnie słowa poprzedziła dłuższa pauza dla ich podkreślenia. Ten sygnał oznaczał, że Danny powinien się zmyć, ale był zbyt ograniczony, żeby odebrać komunikat.

- Jesteśmy na imprezie - mruczał, a głoski wibrowały. - Masz szansę poznać fajnych ludzi, zbliżyć się do paru kolegów, wejść na dobre do naszej radiowej rodzinki.

Sytuacja pogarszała się z każdą chwilą. Lizzie, zepchnięta do narożnika przez didżeja sugerującego zbliżenie z kolegami, poczuła nieprzyjemny skurcz żołądka, ale Danny, samorodny talent radiowy i ulubieniec słuchaczy, zajmował w hierarchii dziobania znacznie wyższą pozycję niż ona, więc póki ograniczał się do perorowania, wolała dyplomatycznie tolerować jego umizgi.

Gadał przez dwadzieścia minut, z rzadka przerywając dla zaczerpnięcia tchu. Od czasu do czasu kontrolował, czy Lizzie słucha uważnie i uśmiecha się, kiedy trzeba. Miała go dosyć, ale usiadł tak, że nie mogła wstać i odejść. Do głowy mu nie przyszło, żeby jej zaproponować coś do picia, choć podczas jego monologu trzy razy demonstracyjnie przechylała kieliszek, sącząc ostatnie krople. Wzrok miał szklisty i zachwycał się sobą, a Lizzie sobie współczuła.

Zanosila gorące modlitwy do świętego patrona od spraw trudnych i beznadziejnych, błagając o ratunek, o uwolnienie z tego piekła na ziemi i przerwanie zabójczego potoku słów. Nie dość, że na horyzoncie nie widziała żadnej znajomej twarzy, to na domiar złego zapadała się coraz bardziej w miękką otchłań poduch skórzanej kanapy, tak że linia jej wzroku znajdująca się początkowo na wysokości klatki piersiowej przeciętnego człowieka wypadała teraz w okolicy pasa.

Matt podszedł do baru... kolejny raz. Gdy wracał do kolegów z agencji reklamowej, spostrzegł Lizzie. Postawił wszystkim kolejkę, więc rozdawał butelki, obserwując ją kątem oka. Zorientował się, że wysyła sygnał SOS, więc przerwał w pół zdania i w porywie szlachetności ruszył na ratunek.

Nastąpiła zwyczajowa prezentacja. Lizzie Ford. Matt Baker. Miło poznać...

Wypity alkohol dodał mu odwagi. Dotąd nie wpadł w oko Lizzie, ale teraz zerwała się natychmiast i entuzjastycznie uściśnęła podaną dłoń. Danny nie był zachwycony obecnością intruza, zwłaszcza że Matt olał go kompletnie i nie zamierzał nawet poprosić o autograf.

- Matt?

Rozpromienił się, widząc jej serdeczny uśmiech. Szybko zapomniał o zmęczeniu. Była śliczna, a piwne oczy emanowały radością i energią. Teraz właśnie tego potrzebował.

Machinalnie przegarnął włosy palcami. Lizzie pomyślała z aprobatą, że nie są tak długie, aby natrętnie podkreślać bujność czupryny, ani też przesadnie krótkie, jakby dla ukrycia początków łysiny. Rozświetlane raz po raz blaskiem reflektorów błyskających nad parkietem przypominały jej anielską aureolę. Niebiosa wysłuchały gorących modłów.

- Tak... Stoi przed tobą copywriter, który wymyślił niezapomniane hasła reklamowe radia City FM wypisane na autobusach i billboardach.

Po chwili namysłu Lizzie zaczęła cytować - Gorące rytmy tylko w naszym City. Dostroisz się do twego City. Zawsze czeka na ciebie City... Ktoś musiał nieźle główkować, żeby wymyślić te haselka. Była pewnie wielka burza mózgów, co?

- Nie przeczę, że to dość typowe slogany, ale badania dowodzą... - Matt umilkł w pół słowa, bo Lizzie uśmiechnęła się złośliwie i uniosła brwi. Pożałował natychmiast, że przyjął postawę obronną. Nie zamierzał do końca życia zajmować się reklamą, ale na razie ta praca dawała mu spore zadowolenie.

Danny przestał być ośrodkiem zainteresowania, więc zniknął dyskretnie. Od razu zrobiło się luźniej i przyjemniej.

- Dzięki, że do mnie podszedłeś. Już myślałam, że do końca imprezy będę skazana na

jego towarzystwo.

- Drodzy słuchacze, a teraz Danny Vincent... adoruje samego siebie w City FM - powiedział Matt z udawanym amerykańskim akcentem, naśladowując niski głos Barry'ego White'a.

Lizzie wybuchnęła śmiechem, gdy wyobraziła sobie, że ktoś naprawdę tak zapowiedziałby audycję didżeja.

- Obawiam się, że takie hasło mu się nie spodoba.

- Rzeczywiście trzeba je przerobić. Mniejsza z tym. Siedziałem przy barze, gdy spostrzegłem, że wysyłasz SOS, więc postanowiłem zareagować na dramatyczny sygnał, nim całkiem stracisz chęć do życia.

- Mam wobec ciebie dług wdzięczności. - Lizzie z zadowoleniem stwierdziła, że święty patron od spraw trudnych i beznadziejnych nie tylko wysłuchał jej modłów, lecz także przysłał na ratunek przystojnego faceta bez obrączki. - Chcę go spłacić, więc na początek postawię ci piwo, dobrze? Suszy mnie, leczę! Uno momento!

Uno momento? Tak się mówiło w latach siedemdziesiątych!

Lizzie była na siebie zła. Nie powinna używać takich archaicznych odzywek, skoro zależy jej, aby pokazać się od najlepszej strony. Chcąc odwrócić uwagę Matta i zatrzeć złe wrażenie, demonstracyjnie odwróciła kieliszek do góry dnem. Chyba nie zauważył tamtej wpadki, bo uniósł prawie pełną butelkę piwa i kiwnął głową.

- Jeszcze raz to samo. Dzięki.

Nie potrzebował kolejnego drinka, ale szukał pretekstu, żeby jeszcze trochę posiedzieć na kanapie. Nie miał ochoty się stąd ruszać. Z lektury artykułów w kolorowych magazynach publikowanych, gdy Lizzie zaczęła pracować w radiu City, przypominał sobie, że była niezamężna i parę lat od niego młodsza, więc pamiętała zapewne te same programy telewizyjne oraz popowe przeboje, które nic nie znaczyły dla jego młodszych kolegów z agencji ubranych w wojskowe spodnie. Oni mówią na nie bojówki.

Obserwował swoją damę, która poweselała i energicznie torowała sobie drogę do baru. Machinalnie sprawdził, czy guziki i rzepy są pozapinane. Wszystko w porządku. Bardzo dobrze. Lizzie powinna na niego patrzeć z ciekawioną mądrymi uwagami, a nie ubawiona niedbałym wyglądem. Sam gapił się na nią otwarcie. Przyłapała go na tym, odwracając się niespodziewanie, więc błyskawicznie odwrócił głowę i udawał, że wypatruje kogoś wśród tańczących, bo nie chciał, aby zorientowała się, że odprowadza ją wzrokiem.

Lizzie pracowała łokciami, żeby dopchać się do baru. Gdy odwróciła się, żeby popatrzeć na Matta, kiwał głową w rytm muzyki, udając, że interesują go ludzie podrygujący



na parkiecie. Bardzo sprytnie. Nie chciał wyglądać na singla w zabawowym nastroju. Zniecierpliwiona stanowczym gestem odsunęła parę ululanych imprezowiczów, bo chciała jak najszybciej do niego wrócić. Nie mogła pozwolić, żeby zmienił zdanie i zniknął z horyzontu.

- Proszę. - Lizzie wręczyła Mattowi dwie butelki piwa. - Jest promocja. Przy zakupie trzech czwartą dostaje się gratis, więc postanowiłam zaszaleć. Na pewno dasz radę dwu piwom.

- Dzięki. - Matt żałował, że wcześniej wypił co najmniej sześć. Jak ma zrobić dobre wrażenie na Lizzie, skoro wkrótce zacznie bełkotać?

- A zatem...

- A więc...

- Ty pierwsza...

- Nie, ty...

Kolejny łyk... i uśmiech.

Lizzie mimo woli stwierdziła, że Matt ma ładne zęby. Jej ojczym był dentystą, więc machinalnie oceniała wygląd siekaczy, kłów i zębów trzonowych. Była głęboko przekonana, że stan paznokci i uzębienia stanowi najlepsze świadectwo osobistej higieny.

Matt nie miał pojęcia, że jest oceniany, gdy zbierał siły do natarcia. Postanowił przerwać milczącą wymianę badawczych spojrzeń i wziąć sprawę w swoje ręce.

- Znajdziemy stolik?

- Możemy zostać na kanapie, jeśli obiecasz chronić mnie przed Dannym.

- Jasne. - Z wielką przyjemnością, pomyślał, lecz na szczęście nie powiedział tego głośno. Gdy znowu usiedli, Lizzie odetchnęła z ulgą.

- Dochodzę do wniosku, że takie imprezy integrujące działają mi na nerwy - powiedziała.

- Mnie również. Nie znoszę ich. Przez cały wieczór człowiek musi udawać, że wszyscy znajomi z pracy są jego najlepszymi kumplami. Świadomość, że kiedy jest trzeźwy, nie ma im absolutnie nic do powiedzenia, w tej sytuacji nie stanowi żadnego problemu... do następnego ranka, kiedy nagle okazuje się, że w pijanym widzie umówiliśmy się z tymi ludźmi do kina albo na wspólne wakacje. Dobrze mówią, że picie alkoholu szkodzi zdrowiu i w ogóle ma opłakane skutki.

- Słuszna uwaga.

- Poza tym przez cały następny tydzień próbujemy wybadać, czy szefowie, którym w przypiływie pijackiej szczerości wygarnęliśmy całą prawdę, pamiętają naszą tyradę i

zamierzają wykorzystać ją przeciwko nam. - Słowa płynęły jak rzeka i Matt najwyraźniej nie był w stanie nad nimi zapanować. Pod wpływem alkoholu język mu się rozwiązał. Szybko zamknął usta, żeby zatrzymać potok wymowy.

Lizzie zachichotała, bo dobrze to ujął.

- Ja mam jeszcze gorzej. Prowadzę dział porad, więc zdaniem kochanych bliźnich nie wypada, żebym szalała na parkiecie, upijała się błyskawicznie i obściskiwała po kątach. Można powiedzieć, że przypominam starą ciotkę wśród rozbrykanej młodzieży. Powinnam świecić przykładem. Muszę przyznać, że to jeden z największych minusów mojej pracy.

- Ale na dłuższą metę dobrze na tym wychodzisz, bo raczej nie kompromitujesz się publicznie.

- Zapewne - odparła zdawkowo Lizzie. Nie miała ochoty na poważną rozmowę. Flirtowała z Mattem, ale najwyraźniej robiła to zbyt subtelnie, bo się nie zorientował. Chyba wyszła z wprawy.

Większość znajomych pracujących w reklamie, w tym byłego męża Clare, uważała za pozerów. Nieustannie starali się robić dobre wrażenie i nadążać za modą. W przeciwieństwie do nich Matt wydawał się naturalny. Był uroczy, ale nie nadskakujący, chłopięcy i zarazem dojrzały; choć wysoki, nie patrzył na innych z góry, dobrze zbudowany, a zarazem proporcjonalny. Lizzie zastanawiała się, gdzie jest haczyk. Może nosi zbyt obcisłe gatki albo męskie stringi?

- Jakie to uczucie piąć się szybko na szczyt? Masz za sobą dobry rok, prawda?

O cholera! Facet zadaje fajne pytanie, a ona zastanawia się nad zawartością jego bielizniarki. Zaczyna się testowanie. Odpowiedź powinna świadczyć zarówno o pewności siebie, jak i o skromności. Niełatwe zadanie dla dziewczyny, która wypłała dżin z tonikiem oraz duże piwo. Lizzie była trochę onieśmielona. Miniony rok rzeczywiście mogła zaliczyć do udanych. Szła we właściwym kierunku, choć nadal wiele miała przed sobą i nie zaspokoila wszystkich swoich ambicji, a w radiu City nadal czuła się nowicjuską.

- Jest super. Uwielbiam swój program... i dział w czasopiśmie, ale jedno i drugie nie wymaga ode mnie wspinaczki na umysłowe wyżyny. - Zamilkła. Co jej da takie samobiczowanie? Dodała pospiesznie: - Na razie jest w porządku. Mam oryginalne podejście do słuchaczy i to się podoba. Tylko patrzeć, jak posypią się nagrody. - Teraz lepiej. Pozytywnie i dowcipnie, ale bez przesadnej chępliwości. Problem w tym, że paplała jak najęta. Przed oczyma stanęła jej nieobecna na przyjęciu Clare z ironicznie uniesioną brwią. Bezsensowna gadanina jest pewnie efektem ubocznym wypitego piwa. Może pianka tak na nią działa? Lizzie wzięła się w garść. Clare byłaby z niej dumna.

- A co u ciebie? - Mistrzowskie posunięcie: przerwucić piłeczkę na jego pole. W ten sposób nie znudzi go swoją paplaniną. Nauczyła się zręcznie wypełniać radiową ciszę, ale była świadoma, że w zwyczajnej rozmowie chwila milczenia nie tylko jest naturalnym przerywnikiem, lecz także zachętą dla człowieka, z którym chcemy podtrzymać bliską znajomość.

- To był dla mnie świetny rok. Najlepszy ze wszystkich. Dostałem nawet kilka nagród za moje hasła reklamowe. - Matt umilkł i skarcił się za samochwalstwo. Jeszcze moment i zacznie chwalić się piątkami na świadectwie. Odbiło mu czy co?

- Naprawdę? Jak zostałeś copywriterem? - Kolejna zagrywka z woleja. Lizzy nadal próbowała flirtować, ale bez większego powodzenia. Przechyliła lekko głowę i próbowała zerkać na niego z ukosa, bo wydawało jej się, że skromna minka i strzelanie oczyma znów jest na topie. A jeśli Matt uzna, że rozbolą ją szyja lub ma lekkiego zeza, lecz przez grzeczność nie zapyta, jak jest naprawdę? Uwodzenie to cholernie ciężka robota. Matt najwyraźniej nie miał pojęcia, o co biega.

- Od wczesnego dzieciństwa byłem nadzwyczaj bystry.

- No proszę, geniusz od kolebki!

- Jak śmiesz ze mnie kpić! - Z udawanym oburzeniem ujął się pod boki, a następnie pochylił w jej stronę i oznajmił teatralnym szeptem: - Prawda jest taka, że masz trochę racji. - Uśmiechnął się, mocno ubawiony własną skłonnością do zwierzeń. Szczerze mówiąc, bawił się doskonale. - Byłem najmłodszy, więc rodzice mnie rozpieszczali i dbali o rozwój moich talentów. Miałem lekcje gry aktorskiej, muzyki, tenisa. Starzy wydali majątek na moją edukację... a ja najbardziej lubiłem oglądać telewizję. Zwykle wybierałem ITV i niecierpliwie czekałem na reklamy, chociaż najlepsze leciały w kinie.

- Zawsze coca... - wpadła mu w słowo Lizzie i dopiero w połowie frazy zorientowała się, że śpiewa reklamową melodyjkę, która prześladowała ją podczas młodzieńczych wypraw do kina. Zamknęła się natychmiast, ale było za późno. Skompromitowała się publicznie, śpiewając na cały głos w obecności faceta poznanego kwadrans temu. Takie zachowanie jest nie do przyjęcia. Dziesięć punktów karnych. Stało się.

Ale gdy Matt usłyszał melodyjkę, dokończył ją za Lizzie. Był zachwycony. A więc jej także reklamowe filmiki robiły wodę z mózgu. Poza tym cóż to za ulga spotkać wreszcie osobę, która jest sobą i czuje się z tym dobrze zamiast mówić wyłącznie rzeczy, które według niej chciałby usłyszeć.

- W samochodzie rodziców śpiewałem hasła i piosenki z reklam. Kiedy przez całą drogę do Devon mój ojciec musiał wysłuchiwać numeru telefonu dealera Forda, omal nie

skończyło się to dla mnie tragicznie. Myślałem, że stary udusi mnie gołymi rękami, gdy zmieniłem płytę i zacząłem dla odmiany zachwalać smak nutelli. Byłem już wtedy nastolatkiem.

Lizzie uśmiechnęła się, szczerze ubawiona jego historyjką. Starła się zapomnieć o wpadce z coca - colą. Matt opowiadał zajmująco, a jego twarz naprawdę promieniała, kiedy się zapalał, chociaż to określenie wydaje się banalne. Powinna jednak panować nad sobą, bo rozrzewniona podda się nastrojowi i wyjdzie na kretynkę. Najlepiej zadawać pytania. Niech facet mówi, skoro ma na to ochotę. A ona będzie tylko patrzeć i słuchać.

- Jak trafiłeś do reklamy?

- Ku wielkiej radości moich rodziców zrobiłem dyplom na anglistyce...

Jaki uniwersytet? Kiedy? Z jaką oceną? Lizzie niemal czuła, że fantom ciekawskiej matki znaczącym gestem dotyka jej ramienia, ale zignorowała tę zachętę.

- Niestety, rozczarowali się - ciągnął Matt - bo nie wykazywałem zainteresowania żadną konkretną branżą, a do reklamy trafiłem przypadkiem, lecz szybko połknąłem bakcyla i wsiąknąłem na dobre. Kiedy się nad tym zastanowić, człowiek dochodzi do wniosku, że modne trendy samoistnie się zmieniają, a moim zadaniem jest nie tylko odzwierciedlanie nowych prądów, lecz także ich przewidywanie, a nawet kreowanie nowego stylu.

Popatrzył na Lizzie. Sprawiała wrażenie zaciekawionej, z drugiej strony jednak żyła z uważnego słuchania cudzej gadki. Matt postanowił zagrać w otwarte karty.

- Obiecay, że dasz mi sygnał, jeśli zacznę przynudzać. Ziewnij, kopnij mnie w kostkę, popatrz wymownie na bar albo coś w tym rodzaju. Nie chcę wygłupić się bardziej od Danny'ego. - Matt trochę koloryzował, bo zdawał sobie sprawę, że w porównaniu z tamtym oślizłym draniem wypada rewelacyjnie.

Gdy zaproponował Lizzie, żeby kopnęła go w kostkę, odruchowo zerknęła na jego nogi. Proste w kroju dzinsy, żadnych błyszczących nitek o satynowym połysku. Uniosła głowę trochę zbyt gwałtownie, ale miała nadzieję, że Matt nie zwrócił uwagi na pospieszne oględziny swych nóg i spodni. Popatrzyli sobie w oczy.

- To bardzo ciekawe. Naprawdę. - Zbita z tropu zaczęła nagle grzebać w małej torebce, udając, że czegoś szuka.

- Chyba próbuję ci teraz udowodnić, że moje istnienie ma sens. Gdybym był chirurgiem wykonującym operacje na otwartym sercu, natychmiast zyskałbym gorące uznanie. Prosta sprawa, wystarczy dolać wrzątku i lekko zamieszać.

- Proszę?

- Gorące uznanie w parę sekund... jak gorący kubek.

- Aha, zajarzyłam - odparła Lizzie, ale znaczenie kalamburu dotarło do niej dopiero, gdy usłyszała wyjaśnienie. - Proszę bardzo, udowadniaj nadal sens swego istnienia. Wierz mi, jeśli będę znudzona, natychmiast się zorientujesz - odparła, ale Matt najwyraźniej wciąż miał wątpliwości. - Poza tym zostało mi jeszcze półtora piwa.

Lizzie z chęcią oddała pole rozmówcy. Niech gada do woli. To dla niej miła odmiana.

- No dobra. Skoro jesteś pewna...

- Na sto procent.

- Pamiętaj, że cię ostrzegałem.

- Tak, tak. - Lizzie była szczerze zdziwiona, że przerwał opowieść, aby zapytać, czy temat ją interesuje. Monolog Danny'ego stanowił najlepszy dowód, że takie podejście do sprawy jest dziś wyjątkowe.

- W porządku.

Matt zmienił ton głosu, gdy zabrał się do roboty. Potraktował Lizzie jak pilną studentkę, którą ma wprowadzić w tajniki swego rzemiosła. Nie był protekcyjny, tylko pełen zapału. Zafrapowana wykładem musiała jednak przyznać, że nie tylko sam temat wydawał jej się fascynujący.

- Jeśli dobrze się nad tym zastanowisz, stanie się jasne, że łatwiej nam opisać zmiany w naszym życiu i kolejne jego etapy, jeśli uwzględnimy typową dla nich dietę, sposób ubierania, całe otoczenie... Współcześnie pewne rzeczy wydają nam się oczywiste, ale gdy spoglądamy w przeszłość, od razu widać różnice.

Przypomnij sobie minimalizm lat dziewięćdziesiątych. Im skromniej, tym lepiej; totalna powściągliwość, duchowa samorealizacja i poszukiwanie wewnętrznej mocy. Całkowita naturalność. Spokojne barwy ziemi. Bawełna i kaszmir, żadnego nylonu i poliestru. Krótko mówiąc, zero sztuczności, czyli przeciwwaga dla szalenie kolorowych, mocno zakreconych i podrasowanych lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Moda się zmieniała. Kto w tamtym czasie jadł sałatkę z rukoli? Czy ktoś w ogóle miał pojęcie, czym jest rukola? - Matt zrobił efektowną pauzę, nie oczekując odpowiedzi na retoryczne pytanie. Po chwili zaczął sypać jak z rękawa przykładami dowodzącymi zmienności mód i trendów. Przypominał, co kiedy było na topie. Mówił o przyprawach i sprzęcie AGD, o gotowaniu i ogrodnictwie, strojach i feng shui. Na koniec dodał z naciskiem: - Kto w latach dziewięćdziesiątych odważyłby się włożyć akrylową bluzeczkę bez ramiączek w opalizujące jasnoniebieskie i brązowe paski? Tylko stuknięci miłośnicy aniołków Charliego! Z drugiej strony jednak zapewne przemawia przeze mnie gorycz, bo nie do twarzy mi w niebieskim. Marnie pasuje do mojej karnacji - dodał zatroskany i puścił oko do Lizzie, która wybuchnęła

śmiechem.

Impreza dobiegła końca. Tak się złożyło, że Matt wbrew protestom niezależnej Lizzie uparł się, że osobiście wsadzi ją do taksówki. Była uszczęśliwiona, że nie odszedł, gdy tylko umilkła muzyka.

Piechotę doszli aż do Trafalgar Square, a potem ruszyli StranDEM do postoju taksówek, gdzie kolejka ustawiła się grzecznie na chodniku niedaleko wyjścia ze stacji metra Charing Cross. Kochani Brytyjczycy; zalani w pestkę, a jednak przykładowie stoją w ogonku.

Gdy dotarli na początek, Matt zdecydował, że pojedą razem. Lizzie zastanawiała się, czy to przejaw rycerskości, czy raczej lubieżności. Nie zamierzała zapraszać go na kawę, między innymi dlatego, że od paru miesięcy nie depilowała paru ważnych miejsc... Chyba jednak przesadziła z obawami. Matt nie był namolny, tylko przyjacielski. Z drugiej strony pocałunek byłby mile widziany. Czyżby utraciła swój talent do telepatycznego nadawania zachęcających wibracji?

Zerknęła ukradkiem na współpasażera, który uparcie gapił się w okno. Nie mogła tak po prostu zapytać, czy odebrał jej sygnały. Założyła nogę na nogę i opadła leniwie na oparcie, w głębi ducha pełna nadziei, że podczas szybkiej jazdy ześlizgną się ku sobie po obitej skórą kanapie.

Matt nie miał pojęcia, jak się zachować. To jasne, że nie mógł zostawić Lizzie na pastwę losu i pozwolić, żeby sama polowała na taksówkę, włączając się po West Endzie. Poza tym byłby idiotą, gdyby przez kolejne dwadzieścia minut stał na zimnie, skoro mogli jechać razem. Zachował się, jak należy. I bardzo dobrze. Od lat nie spędził równie miłego wieczoru w towarzystwie kobiety. Teraz odczuwał dawno zapomniany dreszczyk emocji. Puścił ściskany mocno uchwyt przy drzwiach i usiadł wygodnie. Po chwili Lizzie zsunęła się w jego stronę, gdy taksówkarz skręcił ostro. Matt objął ją ramieniem, żeby łatwiej odzyskała równowagę. I tak już zostali.

Gdy Lizzie dawała taksówkarzowi wskazówki, jak dojechać pod jej dom, Matt nadal serfował na fali wypitego piwka, lecz zarazem jasno zdawał sobie sprawę, że chętnie pocałowałby ją na dobranoc. Wprawdzie od dawna nie randkował, ale męska intuicja podpowiadała mu, że dziewczyna jest chętna. Gdy auto zwolniło i zatrzymało się, powiedział taksówkarzowi, w jakiej dzielnicy będzie następny przystanek. Szyba oddzielająca pasażerów podniosła się, więc spojrzał na Lizzie, która ku jego rozbawieniu udawała, że zbiera swoje rzeczy, chociaż miała tylko mikroskopijną torebkę. W końcu otworzyła drzwi.

Chwycił ją za rękę i pochylił się, żeby cmoknąć w policzek. Ucieszył się, gdy odwróciła głowę, a ich usta zetknęły się na chwilę. Uszczęśliwiony chłonał wrażenia

wszystkimi zmysłami przez chwilę dostatecznie długą, żeby stała się znacząca. Gdy Lizzie wysiadła, pragnął tylko jej obecności. Miał w głowie kompletny zamęt, gdy kierowca znowu ruszył.

- Gdzie teraz, kolego? Dobra robota. Śliczna dziewczyna.

Lizzie ochłonęła, gdy otwierała frontowe drzwi. Nie powinna się z nim całować. Oczywiście tego wieczoru bawiła się w jego towarzystwie lepiej, niż mogła się spodziewać, ale był właściwie kolegą z pracy.

Za dużo wypła. Alkohol sprawił, że zapomniała o swoich zasadach, ale teraz już trzeźwiała, więc na serio zaczął się u niej proces ostrej samooceny. Cieszyła się, że do Nowego Roku nie będzie w radiu żadnych redakcyjnych nasiadówek z udziałem ludzi z reklamy, a do tego czasu Matt z pewnością o wszystkim zapomni.

Właściwie co miałyby puścić w niepamięć? Wypili razem kilka piw, miło pogadali, a następnie całowali się na dobranoc nie dłużej niż dziesięć sekund. Jako osiemnastolatka uznałaby wieczór za udany i tyle, więc dlaczego czternaście lat później tak się zadrecza? Nienawidziła swego kamuflowanego starannie romantyzmu, który był dla niej wyłącznie przyczyną życiowych trudności. Dlatego postanowiła dyskretnie wycofać się z kręgu randek i związków. Dała sobie spokój z szukaniem pary i skupiła się na zawodowej karierze. Besztala się, ponieważ swoje dzisiejsze zachowanie uznała za nieprofesjonalne. A jeśli Matt chciał jedynie sprawdzić, jak całuje popularna dziennikarka klasy B... czy raczej E? Zarówno obiekt jego ciekawości, jak i sam całus to nic nadzwyczajnego, prawda? Z drugiej strony jednak była przecież samotna, no i przesadziła z alkoholem na imprezie, więc można jej darować drobną wpadkę. Przecież nie doszło do skandalu.

Na przeciwległym krańcu Londynu Matt wyglądał przez kuchenne okno, napełniając kolejną szklankę wodą z pojemnika wyposażonego w filtr, zamontowanego na wyraźne życzenie Rachel. Był podejrzanie trzeźwy. Po raz pierwszy w życiu okazał się wiarołomny wobec żony, wobec siebie oraz Lizzie. Powinien coś powiedzieć. Skończyło się na pocałunku, ale już pragnął dostać znacznie więcej. Jego małżeństwo naprawdę było w stanie rozkładu, ale czemu Lizzie miałyby w to uwierzyć? Wszyscy żonaci faceci tak mówią. Dochodziła trzecia nad ranem, więc powinien wślizgnąć się do łóżka, udając, że podczas koleżeńkiej imprezy stracił poczucie czasu. Oby tylko się nie obudziła. Gdyby stało się inaczej, po raz pierwszy od miesiąca miałyby sposobność zamienić z nią w nocy kilka słów. Zbity z tropu, wziął szklankę i wyszedł z kuchni.

## 2

Rachel przetarła oczy i z irytacją stwierdziła, że jej niewiarygodnie drogi, wodoodporny tusz do rzęs kruszy się i osypuje. Przełknęła ślinę i skrzywiła się, czując ohydny smak przetrawionego caberneta i papierosów marlboro light. Powoli wracały wspomnienia upojnego wieczoru. Musiała sporo wypić, jeśli sięgnęła po papierosy, zapominając, że w ubiegłym miesiącu rzuciła palenie. Daremna próba zapanowania przynajmniej nad jednym z jej nałogów. Zwinęła dłonie i chuchnęła. Oddech był równie nieprzyjemny jak smak w ustach.

- Cholera jasna.

Na domiar złego mówiła do siebie. Niepokojący objaw. Opadła na poduszki. Po pracy wychyliła z kolegami kilka drinków, które połączone z alkoholem wypitym wcześniej podczas przedłużającego się obiadu z klientem sprawiły, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Od niedawna miała w gabinecie kanapę i, niestety, zbyt często tu polegiwała.

Z wysiłku prawie zakręciło jej się w głowie, gdy grzebała w torbie, szukając odświeżającej oddech gumy do żucia oraz paracetamolu i komórki. Przysunęła ją do oczu, wpatrzona w maleńki ekranik. Brak wiadomości, żadnych połączeń nieodebranych. Rozczarowanie czy ulga? Trudno powiedzieć. Mogłaby do niego zadzwonić i powiedzieć, że wraca do domu, lecz telefon o tej porze byłby równoznaczny z przyznaniem się, że jest w dołku, a nie tylko zasiedziała się w pracy. Oby tylko zdołała niepostrzeżenie wślizgnąć się do łóżka. Jeśli on rano spyta, o której wróciła, będzie udawać, że nie ma pojęcia.

Gdy szukała butów, drżała z zimna w dziwnie chłodnym biurze. Pojutrze jak zwykle zrobi tu prawdziwe piekło, awanturując się o terminy, z pozoru niemożliwe do dotrzymania, jutro zaś wpadnie, żeby związać kilka luźnych końców i spokojnie popracować, co w tygodniu było prawie niemożliwe, bo nadmiernie absorbowało ją stwarzanie pozorów, jakoby nad wszystkim panowała.

W przyszłym tygodniu nareszcie dowie się, czy dostaną pewne zlecenie, dla zdobycia którego wszyscy ciężko pracowali. Już widziała ogromny tytuł w branżowym czasopiśmie „Kampania”: „Agencja Clifton, Dexter & Harrison przygotowuje kampanię antynarkotykową”. To prestiżowe zadania o wielkim społecznym znaczeniu. Facet, któremu zlecono realizację ostatniej kampanii uświadamiającej niebezpieczeństwa związane z AIDS, ma teraz własną agencję. Rachel liczyła na wielki przełom w swojej karierze, rekompensujący wczesne wstawanie i późne powroty z biura przez kilka ostatnich lat. Dla osiągnięcia swego celu poświęciła wszystko.



Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Zawsze była samolubna, chociaż wolą nazywać to stanowczością. Nie potrafiła się wyluzować, dopóki nie postawiła na swoim, zyskując ogólne uznanie. Zawsze żyła chwilą. Trzeba chwytać okazję, korzystać z dnia. Takie miała podejście do życia: bierz, co się da, a zapłacisz później. Teraz zbliżał się moment, gdy zacznie odcinać kupony. Wtedy zajmie się swoim związkiem. Była przekonana, że wystarczy odrobina wysiłku oraz kilka romantycznych weekendów. Efekt murowany, a sytuacja wróci do normy. Nie brała pod uwagę porażki. Zaciskała kciuki, planując, że po udanej akcji antynarkotykowej przeprowadzi błyskawiczną kampanię na rzecz ratowania swego małżeństwa.

Po ustaleniu owego harmonogramu umysł domagał się odpoczynku, więc Rachel uznała, że dla poratowania swojej urody musi natychmiast złapać trochę snu. Zamykając biuro, pomachała ręką, żeby uruchomić fotokomórkę włączającą światło w korytarzu prowadzącym do wyjścia. Śmiertelnie przeraziła strażnika. Przypuszczała, że wcześniej drzemał oparty o zimną, marmurową ścianę w eleganckiej recepcji. Ciekawe, ile mu płacą za spanie na siedząco.

W domu było zupełnie ciemno. Zacisnęła zęby, aby nimi nie szczekać, i na palcach weszła po schodach. Gdy zajrzała do sypialni, zorientowała się, że okna są odsłonięte, a łóżko zaścielone. Jeszcze nie wrócił. Niepokoiła się przez moment, ale pamięć szybko podsunęła informację o wiadomości odebranej, gdy wychodzili z knajpy. Poszedł na kolejną świąteczną imprezę.

Rachel zapaliła światło i odetchnęła z ulgą, ponieważ nie musiała się tłumaczyć, iść z nim do łóżka ani rozmawiać o bzdurach. Natychmiast zmyła makijaż, błyskawicznie przetrła skórę tonikiem i nałożyła krem. Spała głęboko, gdy jej lekko wstawiony i trochę oszołomiony mąż zwałił się na posłanie. W cichej sypialni słychać było ich regularne oddechy, gdy leżeli obok siebie - razem, lecz osobno.

George Michael i Andrew Rigley kolejny rok, jak zawsze w grudniu, śpiewali rzewnie na falach eteru. Dla nich chyba nigdy nie nadejdzie ostatnia Gwiazdka.

Lizzie leżała w łóżku i gapiała się w sufit, czekając, aż smętne wyznania i pospolite dzwoneczki wreszcie umilkną. Było sobotnie popołudnie. Jeszcze pięć dni do Bożego Narodzenia. Trudno się dziwić, że tylu ludzi na samą myśl o świętach popada w depresję. Dla Lizzie kontrast między radością wczorajszego wieczoru i ponurym dniem dzisiejszym był niemal porażający. Impreza okazała się udana ponad wszelkie oczekiwania, ale weekend zapowiadał się typowo. Żadnych zmian - niezależnie od tego, czy pocałowałyby Matta, czy też nie. Tylko samopoczucie Lizzie wyraźnie się pogorszyło, a kac oraz rozsadzający czaszkę ból głowy jeszcze bardziej ją zdołował.

Clare obserwowała ją chyba ukrytą kamerą, bo zaraz radośnie wparowała do sypialni z kubkiem herbaty, jakby wyczuła moment i właśnie zaparzyła świeżutką. Lizzie zadawała sobie pytanie, jak długo biedna Clare spacerowała pod jej drzwiami, łowiąc uchem odgłosy życia.

- Dzień dobry. Wieczór był udany, co?

- Super...

Niezwykła odpowiedź. Głos Lizzie przypominał zarazem pisk i skrzek, a pierwsza sylaba zabrzmiała chrapliwie, bez spodziewanej dźwięczności i słodyczy. Lizzie z trudem słyszała samą siebie. Zapewne wczorajszej nocy zbyt głośno mówiła i za często pokrzykiwała, oddychając zadymionym powietrzem. Zakaszła parę razy, żeby nadać głosowi bardziej znajome brzmienie, i dodała:

- Szczerze mówiąc, doskonale się bawiłam. - Chrypiała niczym Eartha Kitt.

- Naprawdę? - odparła zciekawiona Clare. Spragniona szczegółów, przysiadła na brzegu pościeli, ale Lizzie zerwała się na równe nogi, jednocześnie chwytając ręcznik wiszący na krześle.

- Najpierw wezmę prysznic, a potem wszystko ci opowiem. Ją samą zaskoczyło to radosne ożywienie wyraźnie słyszalne w głosie, zwłaszcza że trochę kręciło jej się w głowie, bo zbyt szybko wstała. Serce kołatało, gdy pół idąc, pół skacząc dopadła łazienki. Skończyła się piosenka zespołu Wham i teraz Macy Gray śpiewała „Winter Wonderland”. Lizzie nie miała pojęcia, dlaczego z niewiadomych powodów nagle poczuła wstyd wywołany swoim wczorajszym postępowaniem, zamiast od razu zwierzyć się Clare.

Stała w łazience, wycierając się, gdy usłyszała pukanie.

- Na miłość boską! W soboty zawsze wstajesz przed dziesiątą. Snułam się po kuchni i dla zabicia czasu szorowałam blaty, czekając, aż się obudzisz, a gdy raczyłaś wreszcie otworzyć oczy, najpierw poleciałaś do łazienki. Od kiedy jesteś taką czyścioszką? A może chcesz zmyć z siebie wspomnienie o jakimś facecie?

Lizzie nie dała się podpuścić. Wszystko w swoim czasie. Przyjdzie pora na zwierzenia. Odłożyła ręcznik i owinęła się szlafrokiem. Gdy otworzyła drzwi, Clare niemal wpadła do łazienki. Zapewne opierała się o nie ramieniem.

- No cóż - mruknęła Lizzie. - Pogadałam ze wszystkimi szefami i nie palnęłam żadnego głupstwa. Bawiłam się głównie z Benem i jego załogą, sporo tankowałam, a potem uziemił mnie Danny Vincent, didżej nadający w godzinach szczytu, najbardziej egocentryczny i obleśny nudziarz w historii radia. To było okropne. Na domiar złego teraz łeb mi pęka i obawiam się, że za jakiś czas zrobi mi się niedobrze. - W czasie imprezy Lizzie nie czuła się wstawiona, ale dzisiejsze objawy zmusiły ją do zrewidowania tamtej opinii. - Chyba będę rzygać.

- Moje biedactwo - uzaliła się Clare, a Lizzie pomyślała, że najlepsza przyjaciółka jak zawsze staje na wysokości zadania. - Bez paniki. Moim zdaniem to pospolity kac. I co? Podrywał cię?

Lizzie wzdrygnęła się na samą myśl o śnieżnobiałych zębach i obcisłych spodniach Danny'ego.

- Nic nie działał. Już myślałam, że się nie wywinę, lecz zostałam ocalona przez faceta, który stał przy barze i odebrał moje SOS.

- Ach, rozumiem.

Lizzie udawała nadąsaną, więc Clare od razu domyśliła się, że ma do opowiedzenia znacznie więcej, niż dotąd zdradziła. Cała Lizzie Ford! Gdy miała do powiedzenia coś naprawdę interesującego, rzucała mimochodem parę słów dokładnie w chwili, gdy znudzony człowiek przestawał słuchać. Clare uznała, że trzeba zachować zimną krew, a tymczasem Lizzie, ożywiona po kąpieli, paplała dalej.

- Sama widzisz, typowa imprezka. Dużo piwa, gadania i tańca. Wróciłam do domu taksówką. Dochodziła pewnie druga, gdy w końcu udało nam się ją złapać.

- Nam! - Clare natychmiast zauważyła potknięcie. Ha! Lizzie nareszcie się odsłoniła. Pospolity błąd. Prawdziwa amatorszczyzna.

Lizzie chętnie dałaby sobie kopniaka. Tak jej dobrze szło, ale w końcu dała się złapać. Z drugiej strony jednak Clare była jej najlepszą przyjaciółką, więc miała prawo usłyszeć całą opowieść. Poza tym ta historia sprawiała wrażenie nierealnej, póki nie została opowiedziana.

Problem w tym, że Lizzie czuła się niepewnie, bo po rozwodzie Clare była tak krytycznie nastawiona do mężczyzn, że mogła się poczuć oszukana.

- OK. Jechałam z nim taksówką. - Zakłopotana Lizzie wpatrywała się w swoje stopy.

- Z kim?

Spojrzenie Clare było tak przenikliwe, jakby chciała przewiercić nim skroń przyjaciółki. Gdyby postanowiła siłą woli zginać łyżeczki, niewątpliwie poszłoby jak z płatka.

- Z Mattem. - Lizzie podniosła wzrok. Trzeba wziąć byka za rogi. Przecież nie miała się czego wstydzic. Nie należała do dziewczyn nawiązujących nowe znajomości w każdy weekend. Szczerze mówiąc, nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio...

- To ten facet, który cię uratował, gdy nasz drogi Danny próbował się do ciebie dobrać? - Clare wymownym uśmiechem podkreśliła zręczną aliterację na wypadek, gdyby Lizzie nie zauważyła ozdobnika.

- Tak.

- Przyjechaliście razem aż do Putney? On mieszka w pobliżu? Lizzie zawahała się na myśl, że nie ma pojęcia, gdzie on mieszka. Jak przez mgłę przypominała sobie, że mówił taksówkarzowi, dokąd pojedą spod jej domu. Pamiętała nawet, że nadstawiła ucha, ale sama wiadomość wyleciała jej z głowy.

- Nie mam pojęcia. Wysiadałam pierwsza.

- A więc kurs nie skończył się tutaj?

Clare chodziła teraz korytarzem w tę i z powrotem, raz po raz obrzucając badawczym spojrzeniem Lizzie, która uznała, że ten irytujący nawyk bierze z lektury spiętrzonych na regale sensacyjnych powieści drugorzędnej pisarki Johna Grishama, a także oglądania filmów będących fabularyzowanym zapisem słynnych procesów, które aż nazbyt często chodziły w dostępnych im programach telewizyjnych.

Clare przybrała ton i pozę prawnika.

- Panno Ford, czy w sobotę nad ranem dwudziestego grudnia sprowadziła pani niejakiego Matta do swego mieszkania przy Oxford Street numer 56, żeby tu z nim zaszaleć?

Lizzie zwlekała z odpowiedzią. Najlepiej trochę koloryzować. Jeden jedyny pocałunek może stać się sensacją w południowozachodnim Londynie. Ludzie to kupią.

- Pytanie jest śmiesznie proste. Czy dzisiejszej nocy sprowadziłaś mężczyznę do naszego lokalu? Tak czy nie?

Do naszego lokalu! Clare naczytała się ogłoszeń.

- Nie. - Zażenowana Lizzie uświadomiła sobie, że pod szlafrokiem jest zupełnie naga.

- Podczas inkryminowanego wieczoru doszło do pocałunku, tak? Z języczkiem?

Clare potrafiła wszystkie romantyczne chwile zmienić w obsceniczne momenty, ale jej chełpliwa mina osoby wszystkowiedzącej rozśmieszyła Lizzie, która przestała kombinować i odparła, chichocząc:

- Tak. Przyznaję się do winy. Całowaliśmy się w taksówce. Potem odjechał. Zadowolona?

Lizzie nie miała ochoty zdradzać, że nie zna telefonu Matta i nie ma pojęcia, czy go jeszcze zobaczy. Co osobliwe, miała wielką ochotę na kolejne spotkanie. Po Clare można się było teraz spodziewać obraźliwej uwagi, więc takie szczere wyznanie byłoby kuszeniem losu. Lizzie była zdecydowana odwołać się do zaniedbanych pokładów kobiecej tajemniczości, więc nadarzała się znakomita sposobność. Poza tym ilekroć przyznawała, że jakiś facet wpadł jej w oko, zaraz wszystko się sypało. Clare uważała się za bardzo dowcipną, ale obiektem jej żartów były przecież życiowe sprawy Lizzie, które nawiasem mówiąc w chwili obecnej stanowiły doskonałą materię do takich kawałów.

- No, dosyć tego dobrego. Nie chcę zmarnować całego dnia...

- Popołudnia. - Clare wymownie popatrzyła na zegarek.

- Owszem. Aleś ty skrupulatna!

- Przyganiał kocioł garnkowi. Od ciebie się tego nauczyłam. Mniejsza z tym. Skoro wstałaś, pędzę na zakupy. Potrzebujesz czegoś? Niedługo wrócę. W restauracji powinnam być dopiero o piątej. - Clare odczekała, aż Lizzie przyswoi sobie informacje. Znała ją dość dobrze, by zakładać, że teraz usłyszy propozycję ugotowania obiadu. Niemal widziała, jak pracują szare komórki w mózgu przyjaciółki.

- Dobra... Co ty na to, żebym ugotowała obiad? Tak się fajnie składa, że obie będziemy w domu o tej samej porze. Wyjątkowy zbieg okoliczności, prawda? Masz ochotę na spaghetti bolognese?

Trafiona, zatopiona. Clare uwielbiała Lizzie za to, że jest taka przewidywalna. Jej umysł zawsze pracował wedle tych samych zasad. Najbardziej męska cecha osobowości panny Ford.

- Świetnie. Zjemy o drugiej? Nie za późno dla ciebie?

- Idealnie. Dzięki herbacie i grzance jakoś przetrwam.

- Ma się apetycik, co? Trudno żyć samą miłością.

Lizzie bez słowa pomaszzerowała do swego gabinetu, ale poweselała dzięki dowcipom Clare. Czyściutka, ubrana w domowy strój, szybko odzyskiwała siły fizyczne i wracała do emocjonalnej równowagi. Zamknęła się w pracowni, bo przed obiadem chciała przynajmniej

zacząć robotę, żeby łatwiej było do niej wrócić późnym popołudniem, gdy zew krainy zakupów jest najgłośniejszy. Otoczona plikami listów włączyła komputer i dla uporządkowania myśli zrobiła jeden ze swoich słynnych planów pracy. Zmuszając się do działania, wydrukowała emaile i położyła je na stosie listów wymagających natychmiastowej odpowiedzi.

Miała trudności ze skupieniem uwagi, chwilami rozpraszała się, ale wpatrzona w ekran nie przerywała pisania. Udało jej się prawie zapomnieć o rzeczywistości, gdy zadzwonił telefon. Natarczywy elektroniczny sygnał przerwał ciszę, niemal przyprawiając Lizzie o atak serca. Popatrzyła na aparat. Czy to możliwe?

Była zbита z tropu, więc umknęło jej, że nie dała Mattowi swojego telefonu, numer ma zastrzeżony, a w redakcji nie ma żywej duszy, więc jak miałby go zdobyć. Odgarnęła włosy ręką i powiedziała zalotnie:

- Halo000?

- Liz, to ja.

Ja, czyli Clare. Lizzie starała się ukryć rozczarowanie.

- Cześć, Clare.

- Jestem w supermarkecie. Co kupię”? Masz z czego ugotować obiad.

- No tak, potrzebuję kilku rzeczy. - Dokuczliwy kac sprawił, że zapomniała o niezbędnych produktach. Dzięki Bogu, że przynajmniej jedna z nich myśli dzisiaj trzeźwo. - Kup to, co zwykle, i nie zapomnij...

- O pieczarkach i czerwonej papryce. Wiem - przerwała Clare.

- Dzięki... - Clare naprawdę bywała czasami idealną współlokatorką. - A do tego parę puszek krojonych pomidorów.

- Załatwione. Do zobaczenia wkrótce.

- Pa.

Clare w trosce o bezcenne tanie minuty zdążyła wyłączyć telefon, nim przebrzmiało ostatnie słowo.

Lizzie czytała powtórnie swoje notatki, żeby odnaleźć wątek, gdy telefon zadzwonił po raz drugi. Znowu opadła na oparcie fotela, przegarnęła włosy palcami i powiedziała niby zwyczajnie, lecz zachęcająco:

- Halo000?

- Liz, tu mama. Ja króciutko. Dzwonię z komórki. Jestem na parkingu w Sainsbury.

- Rozumiem. - Co jest grane? Będzie relacja z gorących promocji w hipermarkecie?

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

- Ależ skąd, mam. - Fajnie, że ma skrupuły. - Właśnie pracuję...

- W sobotę? Cóż za sumienność!

Dwuznaczny komplement. Zabrział prawie jak zarzut.

- W czym rzecz? - Lizzie mimo woli odburknęła dosyć opryskliwie, ale zaraz wzięła się w karby. Zawsze wierzyła, że wszystko łączy się ze wszystkim, toteż nie chciała zasmucać matki i przez to narażać się opatrności, ryzykując, że za karę straci wszelkie szanse na kolejną randkę z Mattem. Typowo kobiece rozumowanie.

- Podałaś mi przepis na tajskie curry...

- No i co?

- Dodajesz świeże zioła?

- Kolendrę. Dużo kolendry. Nie zważaj na przepis, tylko wrzucaj, ile się da. Jeśli kupisz za dużo, możesz zamrozić.

- Dzięki, kochanie. Zostawiłam w domu listę.

- Nie ma sprawy.

- Słuchaj, muszę kończyć. Gdy rozmawiam przez komórkę, zaraz dostaję migreny. Wkrótce do ciebie zadzwonię. Od dawna nie plotkowałyśmy, jak należy.

- Fajnie. Kiedyś pogadamy.

- Pa.

Lizzie należałoby zabronić gotowania, ilekroć odczuwała wilczy głód. Zapewne protestowałyby głośno przeciw takiemu postawieniu sprawy, lecz w gruncie rzeczy góra makaronu stanowiła dla niej uniwersalny lek na smutek i troski. Clare była świadoma, że owa słabość do spaghetti, zapiekanki i lasagne ujawnia się u Lizzie, gdy nadchodzą trudne chwile, jakby ulubione potrawy z młodości stanowiły obronę przed dorosłością. Jeśli sytuacja stawała się nie do wytrzymania, na deser były też irysy i czekolada.

Clare taktownie unikała w rozmowie wszelkich wzmianek o imprezach i perorowała na temat weekendowej promocji swojego lokalu. Jej „Union Jack” cieszył się dobrą opinią, a starzy bywalcy uwielbiali podawane tam dania nowoczesnej angielskiej kuchni, ale trzeba się jeszcze sporo napracować, żeby restauracja zyskała trwałą renomę i została wpisana do londyńskich przewodników albo publikowała własne książki kucharskie. Dzięki kilku pochlebnym artykułom stała się modna. Od czasu do czasu wpadały tam miejscowe znakomitości, co zachęcało do odwiedzin innych londyńczyków, zwabionych możliwością spotkania osób znanych z telewizji albo z okładek kolorowych czasopism.

Układały plan kampanii reklamowej, gdy nagle ktoś zadzwonił do frontowych drzwi.

Na progu stał mężczyzna. Lizzie wydawało się, że widzi jakąś twarz zza wielkiej kokardy przyczepionej do... No właśnie, do czego? Nie miała pojęcia, co to jest, chociaż nosem prawie dotykała ekranu. Zbiegła po schodach, przeskakując po dwa schodki i wróciła w rekordowym tempie, dźwigając ogromny kosz wypełniony smakołykami. Świeże ciasteczka czekoladowe, małe babeczki i wielkie ciacha z kremem piętrzyły się na kraciastych serwetkach. Serce Lizzie kołatało, zapewne z wysiłku, gdy próbowała tych pyszności, jeszcze nim sięgnęła po załączoną kartkę.

- No... - Clare usiadła obok niej na kanapie, poczęstowała się i oblizała palce. Na miejscu Lizzie przeczytałaby bilecik, biegnąc po schodach. Ta manifestacja siły woli była zaskakująca. - Co tam jest napisane? - Spojrzała Lizzie przez ramię, żeby czytać razem z nią. Jak można tak długo i uważnie otwierać kopertkę, starając się jej nie porwać?

Na kartce były trzy słowa: „Zadzwoń do mnie. „, I dalej dwa numery telefonu; krótszy zapewne do biura w centrum Londynu, dłuższy, złożony z siódemek i ósemek prawdopodobnie komórkowy.

Lizzie promieniała, wyrzucając sobie w duchu, że wcześniej zważyła w Matta. Jak długo powinna odczekać, nim zadzwoni?

- Kiedy się do niego odezwiesz? - zapytała Clare, jakby czytała w jej myślach.

Wyrzuciła do kubła na śmieci resztki spaghetti. I tak obie zjadły dziś za dużo. Wchłonęły tyle kalorii, że przez całą dobę nie powinny nic brać do ust.

- Czy ja wiem? Za godzinę? - odparła Lizzie z udawaną obojętnością. Najchętniej od razu wystukałaby numer, lecz wolała nie drażnić Clare, bo ta każdego mężczyznę uważała za potencjalne zagrożenie. Z kolei Lizzie była niepoprawną optymistką i miała nadzieję, że pewnego dnia spotka ją nagroda za tę niezłomną ufność.

- No i super. Zakładasz oczywiście, że kosz jest od Matta.

- Wiesz, gdyby mama oczekiwała, że do niej zadzwonię, zamiast paczki żywnościowej przysłałaby mi aparat telefoniczny.

- A może to prezencik od Danny'ego, pogromcy ulicznych korków?

Lizzie poczuła mdłości, które nie miały nic wspólnego z trawioną właśnie górą słodczy. Dobry nastrój ulotnił się w mgnieniu oka. Po namyśle doszła do wniosku, że słodki Danny w charakterze prezentów rozdaje tylko własne zdjęcia z autografem. Nie ma wątpliwości, że kosz jest od Matta. Na sto procent.

Clare wcale nie chciała się tak czepiać. Musiała przyznać, że wysłanie słodczy to ujmujący gest, z pewnością obliczony na zmiękczenie Lizzie.

- Moim zdaniem nic się nie stanie, jeśli zadzwonisz do niego dziś po południu. - Clare



wiedziała, że Lizzie zrobi, co zechce, ale miała nadzieję, że dając na to zgodę, sama popatrzy na całą sprawę optymistyczniej i uwolni się od przesadnego krytycyzmu, choć faktem jest, że zawiodła się o jeden raz za dużo. - Wiesz co? Zaparzę kawę, a potem zadzwoń. Możesz poczekać, aż wyjdę do pracy. Znikam stąd pół do piątej.

Lizzie pierwsza opróżniła kubek, ale w tej samej chwili ogarnęły ją wątpliwości. Clare przekonywała stale, że nie warto żyć z sercem na dłoni. Lizzie podziwiała jej zdrowy rozsądek. Teraz doszła do wniosku, że nie warto się spieszyć, i postanowiła zadzwonić w poniedziałek rano. Z drugiej strony jednak podejrzewała, że w takim wypadku machnie ręką i zrezygnuje. Na domiar złego sądziła, że dopóki będzie trwała w zawieszaniu, nie zdoła zabrać się do pracy. Poza tym zawsze tłumaczyła czytelnikom i słuchaczom, że zawsze trzeba być sobą, a w związku nie warto stosować żadnych gier, ponieważ to strata czasu, chyba że wszyscy dobrze znają reguły.

OK. Czas wziąć sobie do serca własne rady. Sięgnęła po słuchawkę bezprzewodowego telefonu, i wystukała biurowy numer, zastanawiając się, co z tego wyniknie. Po pierwszym sygnale włączyła się poczta głosowa. Lizzie nie miała pewności, kto nagrał wiadomość, ale z pewnością nie był to Danny. Przedstawiła się, podała numer telefonu i szybko przerwała połączenie na wypadek, gdyby to była pomyłka.

Zadzwoniła na komórkę, pełna nadziei, że recepcjonistka przyjmująca zlecenia w cukierni nie jest dyslektyczką lub analfabatką i potrafi właściwie zapisać kilka cyfr. Z każdym kolejnym sygnałem serce biło coraz mocniej, aż odezwała się znowu ta koszmarna poczta głosowa.

- Witam, tu Matt Baker.

Lizzie chętnie podskoczyłaby z radości, bo trafnie odgadła, kto przysłał kosz.

- Przepraszam, nie mogę teraz odebrać telefonu, ale proszę zostawić numer. Zadzwonię, kiedy to będzie możliwe.

Lizzie rozłączyła się i przycisnęła aparat do piersi. Co powiedzieć? Przez kilka chwil snuła się po pokoju. W końcu postawiła na maksymalną zwięzłość. Zadzwoniła powtórnie i podała swój numer stacjonarny, nie zostawiając wiadomości. Nie zamierzała teraz dzwonić do nikogo, żeby nie blokować linii.

Gdy pięć minut później zabrzmiał charakterystyczny sygnał, obie z Clare omal nie spadły z kanapy. Clare podniosła słuchawkę, bo Lizzie rozpaczliwie machała rękami. Wiedziała, że zachowuje się jak piętnastoletnia smarkula. Z pewnością to nie Matt. Nie tak szybko.

- Annie. Cześć. Tak, dzięki. Matka Lizzie. Znowu.

- Zaraz ci ją dam. Streszczaj się, bo czeka na ważny telefon. - Clare uśmiechnęła się z chytrą miną. - Wiem, wiem...

O co chodzi?

- Dobra. Tak, powiem jej. Świetnie. Dzięki. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Jasne. Na razie.

Cholera, właściwie czyja to matka?

- Powiedziała, że zadzwoni później. Umówiłaś się z nią na pogaduszki, tak?

- Ależ skąd. - Lizzie przewróciła oczami. - Powiedziałam tylko, że porozmawiamy później. No wiesz... Kiedyś, za parę dni, a nie po trzech godzinach. - Annie z trudem przyjmowała do wiadomości, że tylko nieliczne dorosłe dzieci dzwonią do rodziców kilka razy w ciągu tygodnia, dnia czy popołudnia. Z drugiej strony jednak Lizzie zdawała sobie sprawę, że jej matka źle znosi samotność, szczególnie w weekendy.

Ledwie Clare odłożyła słuchawkę, telefon zadzwonił po raz drugi.

- Kurczę, na pewno o czymś zapomniała. - Podała słuchawkę współlokatorce. - Masz, to przecież twoja matka. Poza tym na mnie już pora. Trzeba szykować się do wyjścia.

- Tak?

- Lizzie?

Cholera! To było do przewidzenia. Raz jeden zapomniała o zalotnym „haloooo”, a tu dzwoni on. Los bywa złośliwy.

- Matt! Cześć! Dzięki za paczkę żywnościową. Jest super. Zbyt wylewnie? Nie potrafiła nigdy trzymać się na dystans, więc teraz nie warto zaczynać. Zerwała się na równe nogi i odruchowo pomknęła na górę do sypialni, żeby rozmawiać bez świadków.

Clare ściszyła radio i zachowując się jak najciszej łąwiła uchem strzępy zdań. Oczywiście była świadoma, że podsłuchiwanie jest nietaktem, ale ona i Lizzie nie miały przed sobą żadnych sekretów, więc gdy przyjdzie do szczerzej rozmowy, to im jedynie oszczędzi czasu. Nasłuchiwała pilnie, ale docierały do niej tylko pojedyncze słowa, więc podeszła do schodów. Od razu lepiej.

- Och, świetnie... Jak się czujesz? Bardzo dobrze. Wiem, wiem... Sporo tego...

Ale czego, zastanawiała się Clare. Bakterii, zarazków, bakcyliów kaca? Lizzie wybuchnęła śmiechem, więc Clare znowu skupiła uwagę.

- Pracujesz w niedzielę rano? Biedaku! Aha... tak. Wiem, co chcesz powiedzieć. Poczuj się, że mam dziś randkę ze stosem listów. Taka ze mnie szalona kobieta.

Clare znieruchomiała. Przyjazne zainteresowanie z pewną dozą empatii. Lizzie jak zwykle brnęła w grząskie bagno romantyzmu. Wbrew temu, co wynikało z lektury jej

odpowiedzi na listy, nietrudno było ją otumanić.

- Jutro? Na obiad? Dobrze. Po prostu fantastycznie. Gdzie się spotkamy? Mnie to nie przeszkadza. Jem, co dają. Zwykle wszystko naraz. - Lizzie wybuchnęła śmiechem.

Clare z pogodną miną słuchała tych żartów. Matt uzna pewnie, że ma do czynienia z dowcipną, spontaniczną dziewczyną, ale za jakiś czas odkryje, że to jedna z jej stałych odzywek.

- Tak. Świetnie. Zobaczymy się o pierwszej. Pa.

Clare szybko, choć nie biegiem, wróciła do kuchni, włączyła radio i zaczęła szczerkać naczyniami w zlewie, zajęta szorowaniem rondla, w którym gotował się sos do spaghetti. Postanowiła czekać cierpliwie na sprawozdanie z rozmowy.

Bum, bum bum.

Puls rytmicznie walił pod czaszką Rachel, a dźwięk brzmiał w stereo. Bolały ją stawy, gałki oczne były suche i rozgrzane. To nie zwykły kac. Objawy jasno i wyraźnie wskazywały... Nie mogła przecież złapać grypy. Przez trzynaście szkolnych lat opuściła zaledwie kilka dni. Nie odpuszczała sobie, bo ominęłaby ją ważna lekcja albo ktoś inny z jej klasy zostałby prymusem. Zdawała sobie sprawę, że ma niezłomnego ducha walki i wszędzie musi być najlepsza: w pracy, siłowni albo gwiazdkowej partyjce „Monopolu”. Miała to w genach. Gdy poczłapała do łazienki, desperacko próbując zacząć dzień i zmusić się do działania, uświadomiła sobie, że dziś będzie musiała uznać się za normalną ludzką istotę. Gigantyczne ustępstwo.

Na szczęście była sobota. Można sobie pozwolić na jednodobową przerwę w pracy. Dopiero w poniedziałek uzyskają oficjalne potwierdzenie, ale Rachel była pewna, że dostaną zlecenie. Uśmiechnęła się, patrząc w lustro umieszczone na drzwiach szafki wiszącej nad umywalką, gdy wyobraziła sobie, jak oznajmi kolegom nowinę. Będzie w siódmym niebie.

Na razie straszliwie piekły ją spuchnięte powieki. Nigdy jeszcze nie były takie obrzmiałe. Odchyliła głowę do tyłu, uniosła rękę, przycisnęła język i zajrzała do gardła. Migdałki powiększone. Pokazała język swojemu odbiciu i dla zasady powiedziała aaaaa dla potwierdzenia diagnozy, a potem zajrzała do apteczki, szukając skutecznych lekarstw. Napełniła szklanek ciepłą wodą z kranu, wrzuciła dwie musujące aspiryny i zakręciła naczyniem, jakby miała nadzieję, że lekarstwo szybciej się rozpuści. Było zaledwie pół do dziesiątej, ale dzień wydawał się już stracony.

Rachel spojrzała w lustro i zdziwiła ją własna bledość po tej koszarnej nocy, kontrastująca z oczami podkrążonymi na fioletowo oraz ciemnymi bruzdami wzdłuż nosa. Gdy wypila rozpuszczoną aspirynę, skrzywiła się, czując znajomy smak, trochę gorzkawy, lekko kwaskowaty. Odkąd podrosła i przestała brać leki przeznaczone tylko dla małych dzieci, matka aplikowała jej aspirynę, ilekroć pojawiała się najlżejsza gorączka. Rachel poczłapała z powrotem do łóżka i szcękając zębami wsunęła się pod kołdrę.

Przez cały rok ani razu nie była na zwolnieniu lekarskim i przez cały ten czas pracowała sześć dni w tygodniu. Nie imaly się jej przeziębienia i drobne infekcje. Na szczęście teraz była sama, więc mogła drzemać do woli przed telewizorem. Mąż wyszedł wcześniej, żeby dokończyć w biurze jakąś pracę, a zatem wiedziała, gdzie go szukać, choć rzadko zdarzało się, żeby potrzebowała jego pomocy. To nie jej styl. Z drugiej strony jednak

zastanawiała się, czy nie wolałby, żeby była chwilami bezbronną i mniej samowystarczalną. Przykrą stroną całodziennego wylegiwania się w łóżku był nadmiar czasu na myślenie. Przez tyle miesięcy unikała roztrząsania tych problemów, więc nie zamierzała zastanawiać się nad nimi i teraz, gdy czuła się podle.

Przez godzinę skakała po kanałach i w końcu dotarło do niej, że jest poważnie chora. Dwadzieścia minut oglądania telewizji śniadaniowej powinno wystarczyć, żeby najgnuśniejsza kobieta kanapowa zerwała się na równe nogi i zajęła się czymś ciekawszym niż mrzonki o urządzaniu na nowo ogródka w sąsiedztwie. Tego rodzaju tematy po prostu osłabiły Rachel, która zapadła w sen. Kiedy znów otworzyła oczy, była całkiem rozpalona. Kosmyki mokrych od potu włosów przyłgnęły do skóry, a policzki płonęły.

Przez chwilę była zdezorientowana, lecz wkrótce spostrzegła kartkę leżącą na podłodze. Odwróciła głowę, żeby popatrzeć na budzik: 14:07. Nie miała pewności, jaki to dzień i rok. Jej umysł pracował ospale.

*Rach, Nie chciałem cię budzić. Zostawiam miksturę, dzięki której doczekasz zmroku. Gorączkujesz, więc wykorzystaj na maksa przymusową bezczynność. Zostawiam plik kolorowych czasopism: same plotki, moda, przepisy jadę do Banbury. Robimy burzę mózgow z klientem. Wróć późno. Komórka włączona. Dzwon śmiało, jeżeli trzeba.*

Przy łóżku leżał stos kobiecych pism, a obok butelka lukozade, dla Matta prawdziwe panaceum na wszelkie dolegliwości. Liczyła się intencja, acz przez wszystkie lata spędzone we dwoje Rachel zawsze traktowała ów specyfik z pobłażliwą obojętnością. Ironia losu! Dziś brakło jej sił, żeby otworzyć butelkę. Każdy łyk oznaczał zastrzyk energii, ale najpierw trzeba było zerwać plastikowe zabezpieczenie.

Wzór zakrętki odcisnął się na jej dłoni, nim wreszcie usłyszała charakterystyczny syk. Opadła bezwładnie na poduszkę, omdlewającym gestem uniosła butelkę i upiła trochę pomarańczowego, lepkiego specyfiku. Przy każdym łyku rozpaczliwie krzywiła twarz, jakby sądziła, że nic już w życiu nie przełknie. Balansując między jawą a snem, czekała, aż cukier przeniknie do krwiobiegu. Matt zawsze był troskliwy, a ona nazbyt zapracowana, żeby zwrócić na to uwagę. Powinna zrobić mu niespodziankę i zarezerwować pokój w jakimś superkurorcie.

Zamknęła oczy. Fajnie by wyglądała z opalenizną. Chętnie poczułaby na skórze ciepło słońca i morską bryzę na gołym brzuchu.

Ostatnio stale się mijali. Gdy wślizgiwała się do łóżka, rozpoznawała znajomą

sylwetkę i kształt pleców. Rano słyszała, jak Matt ćwiczy na rowerze stacjonarnym, bierze prysznic i jak co dzień przygotowuje poranną grzanekę. Wychodził o siódmej, więc z przymkniętymi powiekami udawała, że śpi, bo dzięki temu mogła skupić się na swoich sprawach i nie musiała silić się na zajmującą rozmowę podczas mycia zębów. Kochała go na swój sposób, choć miała kłopoty z okazywaniem uczuć.

Skrzywiła się na samą myśl o sypianiu z Mattem. Wcale jej się to nie uśmiechało. Zbyt wiele miała na głowie. Bogu dzięki, była mężatką, więc nie musiała szukać kochanków i epatować współpracowników opowieściami o erotycznych przygodach w niezwyklej scenerii. A przecież był czas, gdy kochała się z mężem, ilekroć się na niego natknęła, o każdej porze, w dowolnym miejscu. Teraz ledwie udawało im się razem wypić herbatę.

W grypowym amoku Rachel uświadomiła sobie nagle, że spała kamiennym snem, gdy Matt kręcił się w pobliżu po jej stronie łóżka. Teoretycznie jakiś drab mógłby włamać się do mieszkania, ukraść wszystko i naszpikować ją pociskami, a ona spałaby jak zabita. E tam, naoglądała się kryminałów. Powinna dać sobie z tym spokój. Zawsze lękała się, że ją obrabują, choć będzie w domu, a chwilowa beczynność jeszcze pogarszała sprawę. Rachel podejrzewała, że lada moment wstanie, aby na wszelki wypadek sprawdzić, czy wszystkie okna i drzwi są pozamykane. Zrobi to za moment.

Wstrząsana dreszczami, owinęła się ciasniej przeпоconym, zmiętym T - shirtem. W telewizji dominował sport, więc zachowała się asertywnie i wyłączyła odbiornik. Blask rozświetlonego ekranu oraz płynące z głośnika dźwięki były dla niej nie do zniesienia. Nawet gdy maksymalnie ściszyła telewizor, wydawało jej się, że wszyscy krzyczą. Dotarło do niej, że prawdopodobnie cały weekend przeleży w łóżku, bo czuła się coraz gorzej. Mówi się trudno, byle tylko mogła w poniedziałek rano iść do biura. Może nawet jutro uda się popracować parę godzin, jeżeli poczuje się silniejsza.

Kartkowała barwne czasopisma. Rzadko mogła sobie pozwolić na taką przyjemność. Nie czytała nigdy tych, które poniewierały się w agencji. Pojawiały się tam jedynie po to, żeby można było obserwować działania konkurencji. Z uznaniem spoglądała na tytuły wybrane przez Matta: kilka jej ulubionych oraz niektóre brytyjskie nowości starannie wybrane z prasowych półek. Dział poświęcony modzie zawsze był dla Rachel lekturą obowiązkową. Gdy przeglądała strony zapowiadające nowe trendy, doszła do wniosku, że modelki są coraz młodsze i szczuplejsze. Wkrótce skończy trzydzieści sześć lat, a wydawało jej się, że zaledwie wczoraj świętowała dwudzieste piąte urodziny. Teraz czuła się staro. W jej rozmyślaniach pojawiły się wątki obecne przed laty w tyradach matki.

Rachel czytała uważnie podpisy towarzyszące zdjęciom. Byłoby świetnie, gdyby

zawierały trochę więcej prawdy. Oto Cristelle; imię modelki mówi wszystko, ponieważ zwykła Joanna albo Jane nie zaistnieje na wybiegu. Dziewczyna nosiła prochowiec, na który przeciętej czytelniczki nigdy nie będzie stać, a gdyby nawet się szarpnęła, z pewnością nie będzie leżał tak dobrze, bo tamta ślicznotka ma pod spodem tylko markową bieliznę, a zwykła kobieta musi się ubrać jak człowiek, żeby polecieć na zakupy. Gypselle całą spryskano oliwą, żeby fajnie wyglądała w bikini. Petra pozowała do zdjęć w ubraniu, którego wartość równała się rocznemu dochodowi narodowemu małego kraju Trzeciego Świata.

Pół godziny później Rachel ubawiona pomysłami projektantów mody, zaciekawiona kilkoma nowymi trendami i zubożona na nieadekwatne horoskopy zabrała się do czytania redakcyjnych porad. Jako licealistka najbardziej lubiła ten właśnie dział: pouczający, dający wgląd w życie innych ludzi, czasami inspirujący. Wszystkie dziewczyny zaczytywały się takimi artykułami i gromadziły sporą wiedzę na temat punktu G, masturbacji i rozmaitych przesądów. Ucząc się na pamięć tych rzeczy, udawały zarazem, że od lat wszystko już wiedzą. Na widok nauczyciela od razu chowały czasopisma pod ławki.

Dwadzieścia lat później Rachel nadal czytała porady z wypiekami na twarzy. Wygląda na to, że redaktorki zmądrzały. Odpowiedzi były dowcipne, konkretne, rzeczowe. Żadnych kazań ani lania wody. Popatrzyła na zdjęcie jednej z dziennikarek. Nawet niebrzydka, na oko w jej wieku. Szybko pochłonęła kilka szpalt i znowu opadła na poduszkę. Nie musiała tracić forsy na psychoterapię, aby uświadomić sobie, że nagle zainteresowanie kłopotami innych ludzi to efekt uboczny jej własnych problemów.

Nie zamierzała bić się w piersi, ale zdawała sobie sprawę, że jakkolwiek na to spojrzeć, arbitralnie uznała Matta za stały element własnego świata, który był, jest i będzie, choć teraz nie miała czasu i energii, żeby się nim zajmować. Z artykułów poświęconych kryzysom małżeńskim wynikało, że nie chodzi o efektowne gesty; liczy się natomiast codzienna bliskość i współdziałanie, lecz Rachel nie miała chwili do stracenia, więc marnowanie weekendów na wspólne wyjazdy w sobotnie popołudnia raczej nie wchodziło w grę.

Była pewna, że za kilka tygodni sytuacja w pracy się uspokoi. To samo mówiła w lipcu, prawda? A teraz był grudzień. Zresztą jeśli na razie brała trochę więcej, niż dawała, z czasem bilans się wyrówna. Przecież w trwałym związku tak się rzeczy mają. Matt namawiał ją, żeby porozmawiali. Zarzucał jej, że nie słucha i zawsze musi postawić na swoim. Śmiali się z tego. Czyżby machnął ręką i dał sobie z tym spokój?

Rachel pokręciła głową. Uwielbiał ją. Wszyscy tak mówili. Gdy gorzej się im układało, zawsze uciekał w pracę. Sama go tego nauczyła. Zresztą czy to źle, że jest

zaabsorbowany? Jej poczucie winy było odwrotnie proporcjonalne do jego za - i pracowania.

Kłopoty Rachel spowodowane były między innymi tym, że nie miała się kogo poradzić. Od matki usłyszałyby pewnie, że musi zmienić hierarchię wartości, ale starsza pani najchętniej cofnęłaby czas, zlikwidowała emancypację kobiet i powróciła do tradycyjnego modelu rodziny. Nie akceptowała stylu życia córki, która zdawała sobie z tego sprawę. Uwielbiała zięcia. Rachel i Matt uchodzili za idealną parę. Na pierwszy rzut oka urodziwi, dobrze ubrani, zamożni; ludzie uwielbiają ładne obrazki. Z pozoru mieli wszystko, czego pragnęli od życia. Złudna mistyfikacja. Rachel była świadoma, że powinna zapomnieć o fałszywej dumie oraz skrzętnie ukrywanym poczuciu niepewności i zadzwonić do jednej z dawnych przyjaciółek, ale uważała to za objaw słabości, na który nie potrafiła się zdobyć.

Wszystkie te przyczyny w połączeniu z wysoką gorączką i osobliwym przypiływem natchnienia sprawiły, że zdobyła się na działanie, które całkiem ją zaskoczyło. Owinięta kocem wzięła czasopismo z działem porad opatrzonym tytułem „Spytaj Lizzie”, poczłapała do gabinetu i włączyła komputer.

Miała wrażenie, że popycha ją obca siła. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby w drzwiach stanęli nagle agent Mulder i agentka Scully, lecz dla niej było za późno na ratunek. Chcąc nie chcąc, włączyła komputer i napisała list.

Słowa płynęły jak rzeka. Palce Rachel z trudem nadążały za myślą. Słowa widoczne na ekranie monitora miały oczyszczający wpływ, a taka terapia była znacznie tańsza niż profesjonalna usługa psychologiczna. Rachel poczuła ulgę, że nie musi głośno mówić o swoich problemach. Pukając w klawisze, była w stanie przyznać, że jest samolubną, egotyczną żoną, która niespecjalnie dba o męża. Rozmowa na ten temat to całkiem inna sprawa.

Długi, zawity wywód dobiegł końca. Rachel podniosła wzrok. Oto jej życie - czarno na białym. Dodała kilka znaków przestankowych, podpisała się odruchowo, a potem usunęła imię i nazwisko. Za jej młodości takie listy podpisywało się pseudonimem, na przykład: „Zrozpaczona wielbicielka Harrisona Forda”. Uśmiechnęła się i opatrzyła swoje zwierzenia poważniejszą adnotacją: „Imię i nazwisko zastrzeżone”.

Z obawy, że nagle stchórzy i zmieni zdanie, od razu wydrukowała list.

Gdy skasowała plik, na moment znieruchomiała, trzymając wydruk nad koszem na śmieci. Najchętniej zmięłaby kartkę papieru w małą kulkę, ale oparła się pokusie. Złożyła list i wsunęła do koperty. Nie podała adresu, bo nie oczekiwała ani nie potrzebowała odpowiedzi. Zwierzyła się obcej osobie ze swoich kłopotów i miała wrażenie, że zrobiła coś pożytecznego. Zaadresowała kopertę i wsunęła ją do teczki. Może wysłе list? Jeśli zmieni zdanie, jutro w



biurze podrze go na drobne kawałki.

Począpała znowu do łóżka, zamknęła oczy i obiecała sobie, że na przyszłość bardziej się postara. Warto zawalczyć o małżeństwo trwające już pięć lat. Była zbyt młoda na rozwódkę. Te redaktorki z działu porad są fantastyczne, przemknęło jej przez myśl. Czuła się teraz znacznie lepiej.

Niedzielny ranek przy Oxford Road pod numerem 56 zaczął się wcześniej niż zwykle. Lizzie od pół godziny leżała całkiem rozbudzona, szczypiąc i naciskając różne części ciała, niepewna, czy zgodnie z zasadami fizjologii mogła widocznie przytyć od piątkowego wieczoru, zważywszy na to, że pożarła sporo babeczek. W stanie podwyższonej koncentracji wyczuła nagle pryszcz na nosie. Tego jej tylko brakowało! A dziś czeka ją pierwsza i decydująca randka. Odczuwała nieodpartą pokusę, żeby natychmiast wytrzeć powłoką na koldrę tłuste czoło, nos i brodę, ale się powstrzymała. Dość leniuchowania, trzeba wstać i jakoś zabić czas. W pozycji horyzontalnej będzie się dłużył tak samo.

Wkrótce po raz drugi w ciągu ostatnich dwunastu godzin zanurzyła się w pachnącej kąpieli. Wieczorna miała usunąć z organizmu wszelkie toksyny, a poranna rozbudzić zmysły, jak obiecywała instrukcja na butelce pieniącego się olejku. Zdaniem Lizzie pachniał landrynkami, a to żaden afrodyzjak. Może przez te wszystkie lata pełne nieudanych randek popełniała takie same błędy?

W życiu Lizzie nastąpiła niezwykła przemiana. W ciągu ostatnich paru lat powoli i stopniowo Clare objawiła jej nowy wymiar higieny. Zwykle mydło i szybki prysznic poszły w odstawkę. Lizzie początkowo marudziła, że długotrwałe ablucje są skomplikowane i kosztowne, lecz w głębi ducha przyznawała, że sprawiają jej wielką przyjemność. Brat nauczył ją pluć w kąpieli na odległość, ale nie miał pojęcia, jak stosować żele pod prysznic. Dzięki Clare poznała elementarne zasady codziennej pielęgnacji ciała.

Przed kwadranssem postanowiła na oczyszczoną twarz nałożyć odżywczą maseczkę, żeby ładnie wyglądać, gdy Matt zabierze ją na obiad, lecz dopiero teraz przeczytała instrukcję na tubce i odkryła, że do zmycia mikstury potrzebuje kawałka gazy. Kurczę, gdzie ją kupić w niedzielę przed jedenastą? Czy potem na coś się przyda? Radość z kąpieli prysła jak bańka mydlana. Lizzie pospiesznie spłukała maseczkę wodą i wyciągnęła korek.

Gdy bezpiecznie powróciła do świata suchych, przyjrzała się uważnie łydkom i sprawdziła, czy podczas depilacji usunęła wszystkie włoski, a jednocześnie zastanawiała się, co na siebie włożyć. Gdy dziewczyna ma randkę po pracy, wystarczy, że poświęci pięć minut na poprawienie fryzury i makijażu w damskiej toalecie. Mycie rąk, papierowy ręcznik i gotowe. Zaproszenie na niedzielny obiad oznaczało, że powinna wyglądać, jak dziewczyna z sąsiedztwa, lecz problem w tym, że nie miała pojęcia, gdzie mieszka Matt i jak wyglądają jego młode sąsiadki, a także dokąd ją zaprosi. Wcierała balsam nawilżający pełna obaw, że niepotrzebnie traci czas. Do tej pory im bardziej się starała, tym mniej udana była randka.

Mniejsza z tym. Ciało pielęgnowała głównie dla własnej przyjemności. Słowo honoru.

Gdy wróciła do sypialni, stanęła przed komodą. Ręcznik ciasno zamotany wokół talii rozluźniał się stopniowo, więc musiała wolno kręcić biodrami, jakby próbowała utrzymać w ruchu niewidzialną obręcz. Clare, która właśnie wtedy weszła z filiżanką herbaty, uznała pewnie, że to sucha zaprawa przed randką. Czyżby próbowała sabotować wysiłki Lizzie? Ta wyczytała gdzieś, że herbata szkodzi na cellulitis. Ręcznik w końcu opadł na podłogę.

- Super, Liz. Matt będzie zachwycony. Nagość jest teraz modna. Na twoim miejscu pomyślałabym jednak o dodatkach.

Lizzie podniosła wilgotny, zimny ręcznik, ciasno owinęła nim tułów i wzięła od Clare herbatę.

- Ha, ha. - Wystarczył rzut oka na zawartość wysuniętej szuflady, żeby w jej głosie dało się słyszeć lekką panikę. - Litości! Co mam na siebie włożyć?

- Warto by zacząć od bielizny, nie sądzisz? - Clare usadowiła się na łóżku Lizzie, żeby ją obserwować, gdy będzie się szykowała. Nie miała ochoty wspominać, że był taki czas, gdy idąc w nocy do łazienki musiała opuszczać pokrywę sedesu, nim z niego skorzystała, a przed myciem czyścić mydło z włosów, bo kudłatemu panu i władcy nie chciało się użyć gąbki. Skoro jednak Lizzie gotowa jest dać kolejnemu facetowi szansę, Clare nie protestowała, gdy udzielił jej się entuzjazm towarzyszący wstępnej fazie podboju. Rzecz jasna, gdyby Lizzie potrzebowała fachowej konsultacji oraz duchowego wsparcia, może liczyć na przyjacielską pomoc.

Miał wyrzuty sumienia. Nie ulega wątpliwości, że należała mu się odrobina szczęścia, a jego małżeństwo właściwie można było uznać za niebyłe. Z pewnością poznał osobę, której towarzystwo sprawiało mu radość. Problem w tym, że był żonaty, nawet jeśli pozostał mężem tylko z nazwy. Tak się sprawy miały. Jakkolwiek na to patrzeć, podsumowanie rozważań było zawsze identyczne: niewierność, kłamstwo, brak zasad.

Choć to brzmi jak banał, Matt uznał Lizzie za wyjątkową dziewczynę. Gdy obudził się wczoraj, po raz pierwszy od miesiący był rześki i wypoczęty. Chodząc po Londynie, przyglądał mu się z ciekawością, chłonał zapachy i dźwięki stolicy. Wszystko wydawało się barwniejsze niż do tej pory. No i proszę, reagował jak zakochany po uszy nastolatek. Beznadziejna sytuacja.

Zdawał sobie sprawę, że postępuje samolubnie, lecz dotychczasowa rzetelność na nic mu się nie przydała. Nie zazdrościł żonie sukcesów, nie miał nic przeciwko temu, że skupiona na pracy spędza w biurze długie godziny. Trudno nazwać go wymagającym mężem. I

dawniej, i teraz był z niej dumny. Nie martwiłoby go, że prawie się nie widują, gdyby chwile spędzane we dwoje dla nich obojga były prawdziwym świętem. Doszło jednak do tego, że przestały być nawet zwykłą rutyną. Żona programowo nie zadawała sobie trudu, żeby to zmienić. Oto największy problem. Bo w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz! Ona w ogóle nie chciała. Nawet wyjątkowo pobłażliwa kontrola jakości uznałaby ich związek za bubel.

Mimo wszelkich okoliczności łagodzących skok w bok nie pasował do Matta, który był przyzwoitym facetem, a nie jakimś donżuanem. Natrętne sumienie nie dawało mu spokoju, protestując przeciwko naginaniu zasad. Postanowił w czasie obiadu wyznać Lizzie całą prawdę. Radziła czytelnikom, jak rozwiązywać życiowe problemy, więc musiał wierzyć, że okaże mu zrozumienie. Miał nadzieję, że nie ucieknie z krzykiem.

Gdy dziewięć po pierwszej zabrzmiał dzwonek u drzwi, Lizzie od dwudziestu minut siedziała na kanapie, udając, że czyta kolorowe czasopismo, ale nie zapamiętała z lektury ani słowa, natomiast wydawało jej się, że w każdej lśniącej jak lustro stronie widzi odbicie swej zafrasowanej twarzy. Nie miała pojęcia, czego się obawia. Tak dawno nie była na prawdziwej randce, że całkiem zapomniała, czy takie podenerwowanie to u niej normalny stan.

Na szczęście Clare przed godziną w końcu poszła do pracy, więc Lizzie nie pozostało nic innego jak tylko siedzieć i czekać, albo na wszelki wypadek po raz kolejny przeglądać się w lustrze, albo biegać do łazienki. Ubrana na luzie, lecz bez niedbałości nadzwyczaj starannie wybrała dodatki i umalowała oczy, uważając jednak, żeby nie przesadzić z makijażem. Na szczęście czekała w domu, zamiast dreptać nerwowo na rogu ulicy, gdzie początkowo zamierzała umówić się z Mattem, chcąc przyjść na spotkanie z kilkuminutowym opóźnieniem, co ostatnimi czasy uchodziło za dowód towarzyskiego obycia.

Zwlekała parę chwil, nim wolno ruszyła do domofonu. Serce podchodziło jej do gardła. To Matt. Fantastycznie. Ogarnęła spojrzeniem salon. Wszystko przygotowane na wypadek, gdyby po obiedzie przyszedł na kawę. Żadnych majtek rzuconych w kącie.

Otwierając drzwi, zastanawiała się, czy pocałować go na powitanie, czy darować sobie takie serdeczności. Pierwsza trudna chwila. Początek cholernych randkowych dylematów. Teraz uświadomiła sobie, że właśnie z ich powodu wybrała samotność. Zresztą trudno powiedzieć, żeby przed drzwiami ustawiała się długa kolejka kandydatów do jej ręki. Nie było nawet krótkiego ogonka.

- Matt! - Była pogodna i ożywiona. Chyba nie przesadziła z perfumami. Nie ma nic gorszego, niż na pierwszej randce natrętym zapachem zrazić do siebie faceta o wrażliwym powonieniu.

Matt nie wydawał się zniechęcony i nie kichał. Dobry znak. Była rozczarowana, gdy oparł się pokusie ucałowania jej przypudrowanych, gładkich policzków lub ust pokrytych szminką i błyszczkiem. Udawała, że się tym nie przejmuje.

- Cześć, Lizzie. Ślicznie wyglądasz. - Mówił szczerze. Ślicznie to za mało powiedziane. Obawiał się, że jego postanowienia i dobre intencje diabli wzięli. - Przepraszam za spóźnienie. Znalazłem miejsce do parkowania, ale musiałem się sprytnie wpasować, prawie zderzak w zderzak.

Przyjechał autem, więc nie będzie pić alkoholu. Lizzie nie mogła się zdecydować, czy to dobrze, czy źle.

- Czym jeździsz? - Lekko odwróciła głowę, przeglądając się dyskretnie w lustrzanej lamperii sięgającej od podłogi mniej więcej do wysokości jej pasa.

Kusiło go, aby z głupia frant odpowiedzieć, że samochodem, ale był świadomy, że dowcipy z brodą rzadko robią dobre wrażenie.

- Karmann ghia...

- Aha. - Lizzie nie była teraz przesadnie elokwentna, ale w duchu przyznała, że wybrał jedno z jej ulubionych aut. Bardzo stylowe. Czy to znak? Przed oczyma stanęła jej Clare z politowaniem kiwająca głową. Ależ skąd! Auto jak auto. Nie należy się w nim doszukiwać żadnych ukrytych znaczeń.

- Moja słabostka. Ostatnie honorarium wydałem w całości na nowy lakier dla autka.

- To kabriolet? - Lizzie знаła odpowiedź, nim zadała pytanie.

- Naturalnie. To podstawa, skoro mamy niemal trzynaście słonecznych dni w roku. - Uśmiechnął się chępliwie, rozbawiony typowo męską logiką tego stwierdzenia.

Lizzie wybuchnęła śmiechem. Znakomicie. Potrafił kpić z samego siebie, a poza tym w tej krótkiej rozmowie ani słowem nie wspomniał o parametrach silnika.

- Karmann ghia ma niezwykle piękny kształt. Od razu widać, że projektanci nie przejmowali się wynikami badań w tunelu aerodynamicznym.

Matt kiwnął głową.

- Musimy się kiedyś wybrać na przejażdżkę.

Na jaką przejażdżkę? Matt nagle spanikował. Tak się mówiło przed czterdziestu laty. Czy używanie wyrażeń z czasów młodości własnych rodziców to objaw starzenia?

- Świetny pomysł. - Lizzie nie zwróciła uwagi na archaiczny zwrot, zainteresowała ją natomiast obietnica kolejnego spotkania złożona na samym początku pierwszej randki. Znakomicie. - To dokąd idziemy?

Lizzie sprawiała wrażenie o wiele spokojniejszej i bardziej wyluzowanej niż w

rzeczywistości. Czowała mocne pulsowanie krwi, oddychała powoli i głęboko, ale ukradkiem, bo nie chciała, aby Matt podejrzewał, że jego wybranka szykuje się do śpiewaczego recitalu.

- Zarezerwowałem stolik w modnej restauracji nad rzeką.

pomyślałem, że moglibyśmy pójść tam piechotą, skoro dzień jest pogodny.

- Super. - Lizzie pomyślała, że facet, którego w niedzielne popołudnie nie ciągnie do pubu na piwko i smażone kielbaski, to prawdziwy unikat. Miał rację, pogoda rzeczywiście była prześliczna. W powietrzu czuło się grudniowy chłód i nadchodzącą zimę. Przenikliwie zimne, świeże powietrze miało lekki zapach dymu, który nawet w Londynie przywodzi na myśl płonące główne i zasypane śniegiem zagajniki.

Zima była chyba ulubioną porą roku Lizzie. Życie stawało się naprawdę fajne, gdy na jasnoblękitnym niebie świeciło bladożółte słońce, a pod butami chrzęściły żdzbla ściętej mrozem trawy. Ludzie w grubych golfach i wełnianych płaszczach przypominali zjawy. Przyjemnie było spacerować, aż uszy i palce u nóg całkiem zmarzną, i cieszyć się świadomością, że u celu wędrówki czeka kubek gorącej czekolady albo obiad w towarzystwie tajemniczego, niedawno poznanego mężczyzny.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Matta.

- Uwielbiam takie dni. Brakuje mi tylko odrobiny śniegu i kilku alpejskich szczytów.

Super! Nadają na tej samej fali.

- Przydałby się też kominek, płonące polana i... ciepły kocyk. - Niewinna uwaga wypowiedziana na głos zabrzmiała bardzo dwuznacznie, lecz na szczęście Matt nie zajrzył, bo ze swadą rozprawiał o korzyściach światła słonecznego dla narażonych na kaprysy pogody Brytyjczyków.

Gdy szli wolno ku rzece, Lizzie westchnęła z zadowoleniem. W takich chwilach odczuwała radość, że jest dojrzałą kobietą, wolną od nadziei i rozczarowań, które ciążyły nad wszystkimi jej rozmowami w czasie randek między dwudziestym i trzydziestym rokiem życia. W tym czasie umawiała się coraz rzadziej i rzadziej, ale owe nieliczne wyjścia rokowały przynajmniej jakieś nadzieje - w przeciwieństwie do improwizowanych spotkań z przygodnymi facetami, które po burzliwym rozstaniu z ostatnim narzeczoną miały udowodnić całemu światu, że jest super i warto z nią chodzić. W końcu uznała, że nikt jej nie będzie dyktować, kim jest i czego chce. Jeśli się komuś podoba, ma być akceptowana z całym dobrodziejstwem inwentarza. Nie chlubne czasy, gdy przed wizytą najdroższego chowała do szuflady z bielizną trefne płyty, na przykład „The Best of Erasure”, minęły bezpowrotnie. Długo to trwało, ale w końcu nauczyła się, jak żyć.

Podczas jedzenia sałatki nie umazała policzków, kawałki zielonych listków

szczęśliwie nie utknęły jej między zębami, a gdy na stół wjechały kolejne dania, niczego nie wylała na obrus ani na siebie. Mieli stolik przy oknie, więc mogli obserwować załogi wioślarskie śmigające po rzece jakby dla przypomnienia cudownych dni, gdy sportowcy nie czuli potrzeby wkładania lśniących kombinezonów upstrzonych znakami firmowymi sponsorów. Tę sielankę mąciły od czasu do czasu przeszklone motorówki o opływowych kształtach, przecinające toń z niezwykłą szybkością i wielkim hałasem, a także megafony trenerów próbujących nadażyć za wioślarzami.

Takie urozmaicenie było jednak mile widziane, ponieważ oboje zaledwie umoczyli usta w winie, więc brakowało im odwagi do zadawania śmiałych pytań, więc rozmowa dotyczyła głównie pracy oraz piątkowej imprezy. Ilekroć zapadała cisza, Lizzie czuła się w obowiązku podtrzymywać konwersację, więc to przez nią, a także przez nadmiernie usłużnego kelnera co chwila sprawdzającego, czy wszystko w porządku, Matt nie miał dotąd sposobności, by wyznać, że jest żonaty. W końcu postanowił poczekać, aż odejdą goście siedzący przy sąsiednim stoliku, odległym zaledwie o parę metrów, którzy przysłuchiwali się im z ciekawością, zapewne dlatego że sami prowadzili wyjątkowo nudne życie. Nie zamierzał urządzić dla nich przedstawienia, a poza tym nie chciał psuć nastroju.

Zmierzchało już, gdy dopijali kawę. Matt pierwszy zaproponował, żeby wyszli i pospacerowali w Bishops Park. Westchnął głęboko, idąc za Lizzie opuszczającą restaurację. Teraz albo nigdy.

Raz po raz powtarzał w duchu tekst swego wyznania, gdy zorientował się, że Lizzie zadała mu pytanie i, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, teraz z błyszczącymi oczyma czeka na odpowiedź. Z rozbawieniem obserwował jej policzki zarumienione jak u małej dziewczynki na ilustracji w dziecięcej książeczce. Uśmiechnął się z ociąganiem, aby zyskać na czasie. Nie jest dobrze. Przyjdzie mu wyznać, że myślał o czymś innym, zamiast pilnie wsłuchiwać się w każde jej słowo.

- I cóż? - Lizzie była trochę zniecierpliwiona.

- Przepraszam... O co pytałaś?

- Chciałam tylko wiedzieć, jak często to robisz?

- Co? - Matt zastanawiał się, czy istotnie przybrał przesadnie obronny ton. Tak mu się przynajmniej wydawało. Lizzie nie sprawiała wrażenia zdziwionej ani zaskoczonej, ale nie miała przecież nic do ukrycia, natomiast jemu wyrzuty sumienia nie dawały spokoju.

- No wiesz... Chodzi mi o piątkowy podryw, odwożenie taksówką pod sam dom, przysyłanie słodkości, niedzielne obiady w dobrej restauracji. Często tak bajerujesz kobiety?

Matt roześmiał się mimo woli. Kiedy był zdenerwowany, emocje zawsze wariowały.

Coś szwankowało w jego obwodach i dlatego tak się wygłupił.

- Nie. Jeśli mam być szczery, w tej dziedzinie całkiem wyszedłem z wprawy. Od lat nie byłem na randce. - Mattowi serce ścisnęło się z obawy. Czas z równą szczerością pogadać o innych sprawach. Nagle uprzytomnił sobie, że przed chwilą zmarnował doskonałą sposobność.

- Naprawdę? - Lizzie była mile zaskoczona. Oto wolny mężczyzna, który nie robi problemu z tego, że jest sam. Nie mogła się doczekać, kiedy powie o nim Clare. To popołudnie z każdą chwilą stawało się przyjemniejsze.

Gdy podeszli do barierki nad rzeką, przymknęła powieki, ciesząc się chwilą, a zarazem chroniąc oczy przed coraz ostrzejszym wiatrem. Matt stanął za nią, więc pochyliła się do tyłu i położyła głowę na jego ramieniu.

Z niedowierzaniem stwierdził, że ma wrażenie, jakby znali się od lat. Lepiej być nie może. Im miłsza stawała się dzisiejsza randka, tym bardziej lękał się ją zepsuć. Szkoda, że w piątek nie wspomniał o swoim małżeństwie. Im dłużej odwlekał szczere wyznanie, tym bardziej wyglądał na krętacza. Nie miał pojęcia, jak oznajmić, że jest żonaty, unikając zarazem towarzyskiej katastrofy. Żaden bohater filmowy nie mówi do dziewczyny, która wpadła mu w oko:

- Wiesz, jestem żonaty, lecz moje małżeństwo to pomyłka. A teraz pocałuj mnie, bo nie warto się nad tym zastanawiać.

Scenarzyści nie szykują widzom takich wolt. Matt za nic nie chciał, żeby Lizzie była przygnębiona. Trochę za późno na epatowanie dobrymi intencjami, uznał ponuro. Gdyby jednak zdołał jej wytłumaczyć...

Stał nieruchomo. Głowa Lizzie nadal spoczywała na jego ramieniu. Wdychał nosem zimne powietrze i kwiatowy zapach jej puszystych włosów. Miał w oczach łzy, ale, rzecz jasna, wszystkiemu winne były chłodne podmuchy. Jak to możliwe, aby w ciągu niespełna czterdziestu ośmiu godzin życie tak bardzo się skomplikowało? Matt objął ramionami stojącą tyłem do niego Lizzie i mocno ją przytulił. Na szczęście nie widział promiennego uśmiechu na jej twarzy, gdy milcząc stali wpatrzeni w rzekę.

Rozpaczliwie szukał odpowiednich słów. W końcu wykrztusił jej imię tonem niepodobnym do swego zwykłego głosu.

- Lizzie?

- Aha?

- Dla mnie to urocze popołudnie. Wiesz, prawda?

- Tak. - Lizzie była z siebie dumna. - Dla mnie również. Cofam wszystko, co mówiłam



o firmowych imprezach integracyjnych. Są naprawdę super.

Wprost kipiała entuzjazmem. Matt poczuł, że coś ściska go za gardło.

- Rzecz w tym... Niestety, mam złą nowinę. Powinienem wspomnieć o tym w piątek, ale jakoś się nie zgadało.

- O co chodzi? - Lizzie znieruchomiała i odwróciła się, pilnie wpatrzona w twarz Matta, który oddychał teraz swobodniej, ale serce kołatało mu gwałtownie. Patrzył na nią z rozrzewnieniem.

- Chodzi o to, że... I tak wkrótce się dowiesz... Sam chciałem ci o tym powiedzieć. Obawiam się... - Śmiało, Matt, skarcił się, no już...

Lizzie wpatrywała się w niego. Stała nieruchomo jak posąg, falowały tylko włosy szarpane wiatrem. Nie potrafił jej skrzywdzić.

- Chodzi o to, że... we wtorek wyjeżdżam na dwa tygodnie, więc tylko do jutra jestem w Londynie, a potem wybywam i pojawię się dopiero w połowie stycznia, a to oznacza, że nie spotkamy się ani na Gwiazdkę, ani w sylwestra. Jeśli starczy ci cierpliwości, byłbym szczęśliwy, gdybyśmy zobaczyli się po moim powrocie.

Lizzie z niedowierzaniem pokręciła głową. Matt widział, jak opada z niej napięcie. W końcu uśmiechnęła się.

- Zabawny jesteś. Sądziłam, że wspomnisz o żonie albo homoseksualizmie, śmiertelnej chorobie, która wykończy cię za kilka miesięcy, albo o czymś w tym rodzaju... - Ulżyło jej, więc znowu popatrzyła na rzekę. - Wierz mi, święta są mocno przereklamowane. Człowiek cierpi męki, spędzając cały dzień z najbliższą rodziną, pochłania góry żarcia, za dużo pije, bo chce to żarcie szybciej strawić, a na domiar złego wieczorem ogląda całkiem nieodpowiedni film w towarzystwie drzemających na kanapie rodziców lub dziadków i na wypadek gdyby się nagle obudzili, udaje, że nie patrzy na ekran, ilekroć bohaterowie idą do łóżka czy rzucają mięsem. Inny wariant to rodzinna kłótnia podczas gry w loteryjkę. Jeśli chodzi o sylwestra... no cóż, wymyślono go chyba, żeby uświadomić większości ludzi, jak nudne wiodą życie. Rok w rok każdy wmawia sobie, że jest zapewne jedyną osobą, która nie została zaproszona na imprezę. W styczniu dostaję zawsze setki listów od zawiedzionych ludzi nakręconych przedświąteczną gorączką, która okazuje się zwykłym chwytem marketingowym.

Lizzie paplała jak najęta, a Matt ledwie jej słuchał. Rzadko chodziła na randki, lecz mimo to domyślała się, że jej facet ma szkliste spojrzenie, choć stała tyłem do niego. Napiął mięśnie i znieruchomiał. Może zmarł?

Postanowiła sprawdzić doświadczalnie, jak się rzeczy mają.

- Mam rację, że byłbyś niepokieszony, gdyby co roku trzy tygodnie przyszło ci spędzać na plaży w Kalifornii, prawda?

- Aha.

Wymijająca odpowiedź rzucona odruchowo, ledwie zrobiło się cicho. Rzeczywiście nie słuchał.

Naprawdę błędził gdzieś myślami. Odtwarzał w pamięci niedawną rozmowę, podczas której stchórzył i zmarnował okazję. Błędne koło. Przy każdej nieudanej próbie wychodził w swoich oczach na coraz gorszego kretyna. To do niego niepodobne. Czysta głupota. Kompletny bezsens. Kłamstwo powiedziane z premedytacją, dziwnie łatwo, lecz po mistrzowsku, aczkolwiek chwyt był dość ograny. Idealny przykład manipulowania półprawdą i niedopowiedzeniem.

Matt rzeczywiście zamierzał wyrwać się na tydzień tuż przed Nowym Rokiem i pojechać na nartach w towarzystwie kolegi z pracy. Mógłby wysłać Lizzie pocztówkę. Bez słowa pokręcił głową, obiecując sobie, że jak tylko wróci z dwutygodniowych rzekomo zimowych wakacji, potraktuje ją jak należy i wyzna szczerze całą prawdę, stawiając czoło wszelkim konsekwencjom. Czy takiego bodźca właśnie teraz potrzebował?

Lizzie znów przyglądała mu się wyczekująco. Tym razem założyła ramiona na piersi i zabawnie tupiała nogą. Przeprosił znowu, bo nie miał pojęcia, co mówiła. Przy odrobinie szczęścia jego problem sam się rozwiąże, bo zapewne już postawiła na nim krzyżyk, nie poświęcał jej dostatecznie dużo uwagi. W takim wypadku powinien mieć pretensje wyłącznie do siebie. Teraz nienawidził się z całej duszy.

- Szczerze mówiąc, Matt, czuję się nieco urażona. Moim zdaniem to zły znak, że tak szybko cię znudziłam. Przyznaję, że mam skłonność do paplania bez sensu, zwłaszcza gdy jestem nakręcona. Clare, moja współlokatorka... Mówiłam ci o niej, ma restaurację.

Matt kiwnął głową.

- Tak, w Notting Hill.

No proszę, jednak słuchał, tylko chwilami się wyłączał. Lizzie potwierdziła skinieniem, złapała oddech i perorowała dalej.

- Ciągłe mnie karci, że tak nawijam, więc próbuję nad tym zapanować. Naprawdę staram się, ale długo potrwa, nim zacznę odnosić sukcesy. Fakt, że utrzymuję się między innymi z gadania, nie ułatwia sytuacji. Widzisz, znowu jestem w ciągu. Już milknę. Natychmiast.

Udała, że zamyka buzię na suwak. Tym razem Matt natychmiast znalazł właściwą odpowiedź.

- Lizzie, proszę, nie bierz tego do siebie. Miałem okropny tydzień i mnóstwo spraw na głowie.

Lizzie gapiała się na niego, więc też się jej przyglądał. Co jest? Mimo roztargnienia był pewny, że ostatnie słowa nie zostały tylko pomyślane.

- Udzielisz mi głosu?

- Jasne! - Roześmiał się i wziął ją pod rękę. - Wiesz? Jesteś stuknięta. - Mimo przekroczonej trzydziestki rozrabia jak dwunastolatka, przemknęło mu przez głowę. Prawdziwa rewelacja w porównaniu z większością jego znajomych, którzy z tak wielką powagą traktowali samych siebie, że w niczym już nie potrafili dostrzec zabawnych stron.

- Popieram ekscentryczność. Precz z cuchnącymi lizolem korytarzami, wyłożonymi popielatym linoleum, i niech diabli wezmą facetów w białutkich fartuchach.

- Aha. Wolisz konowałów z monoklami i łupieżem na kłapach surduta...

Rozbawiona Lizzie szturchnęła go w ramię.

- Na szczęście nie muszę żyć z układania sloganów reklamowych. Moim zdaniem, żeby się tym zajmować, trzeba być kompletnym wariatem. Ja to co innego. Pomagam ludziom.

- I ja też. Dzięki mnie są świadomi, jakie marki należy kupować. Przecież gdyby nie moje podpowiedzi, wyprawa do supermarketu byłaby dla nich istną gehenną. Traciliby mnóstwo czasu, włączając się z wózkiem po sklepie i rozważając zalety oraz wady każdego towaru przed podjęciem ostatecznej decyzji.

- Chcesz powiedzieć, że pomagasz im, wmawiając, że ariel jest lepszy od persila, a pedigree znacznie przewyższa chapi lub odwrotnie?

- Mniej więcej.

- Aha, mój ty niezastąpiony doradco, tylko patrzeć, jak w nagrodę otrzymasz tytuł szlachecki. Proszę wstać, oto sir Matt, obrońca marki, wspomóżyciel zagubionych, niezłomny rycerz supermarketów. Nie mogę się doczekać.

Matt chwycił Lizzie za ramię, udając, że chce ją uszczypnąć, a potem znów ujął jej rękę.

Zgodnie weszli na most. Przed nimi ukazał się widok jak z czarnobiałych zdjęć Roberta Doisneau, który zdaniem Lizzie na pewno uwieczniłby ich, gdyby dziś znalazł się tu z aparatem. Taka fotografia ozdabiałaby potem ściany tysięcy studenckich pokoi. Ich dwoje unieśmiertelnionych ramię przy ramieniu, z roziskrzonymi oczyma; jak wniebowzięci na pierwszej randce, a w tle rzeka.

Gdy przechodzili obok kina, Matt zatrzymał się przed tablicą z bieżącym programem.

Nie miał jeszcze ochoty wracać do domu, ale odechciało mu się spacerować. Zerknął na zegarek, a potem sprawdził, o której zaczyna się kolejny seans. Szczęście im sprzyjało.

- Może poszlibyśmy do kina?

- Dobry pomysł. - Lizzie ceniła spontaniczność, a poza tym nie chciała tak szybko żegnać się z Mattem.

Clare późno wróci z pracy, więc nie było do kogo się spieszyć, żeby zdać relację z randki. Skończyłyby się na tym, że Lizzie zadzwoniłaby do spragnionej plotek matki, która zapewne nalegałaby na rychłą wizytę Matta, a potem zaproponowałaby ustalenie daty ślubu. Lepiej nie igrać z losem, narażając na szwank tak dobrze zapowiadający się związek.

Lizzie poczuła nagle, że ogarnia ją panika. Co to za kombinacje? Jaki związek? Za wcześnie na takie określenia. Oboje mają wrażenie, jakby znali się od lat, ale to przecież dopiero pierwsza randka.

Stali w milczeniu wpatrzeni w kinowy repertuar. Lizzie wiedziała, co chce obejrzeć. Grano teraz romantyczną komedię, którą od dawna wszyscy się zachwycali. Wiadomo, o co chodzi. Facet spotyka dziewczynę. Ona go kocha. On jej nie chce. Podrywa inną, tamta porzucona udaje, że ma to w nosie. On w końcu odkrywa, że ją uwielbia, ale ona już przeboleła zniechęć i żeby zapomnieć o przeżytych rozczarowaniach związała się z nieodpowiednim mężczyzną. Skruszony niedoszły tak długo się kaja, aż dziewczyna tuż przed końcowymi napisami przyjmuje do wiadomości, że został jej przeznaczony. Los chciał, żeby postaci grane przez dwoje bardzo urodziwych, kasowych aktorów filmowych postanowiły być razem. Oprócz romantycznej komedii na afiszu był również thriller. Stylowy film wysoko oceniany przez krytyków, lecz zdaniem Lizzie nieodpowiedni na niedzielne popołudnie. Mimo to przeczuwała, że mężczyzna trzymający ją teraz za rękę jest innego zdania.

- Co myślisz, Liz? Głosuję za komedią romantyczną, jeśli masz... Ale ty pewnie już to widziałaś, zgadłem?

Lizzie po prostu oniemiała. Zaskoczył ją swoim wyborem, a poza tym ani myślał kpić z łzawego melodramatu, jak większość facetów nazywa komedie romantyczne.

- Wiem, że ten thriller jest hitem sezonu, ale do takich filmów trzeba mieć odpowiedni nastrój - ciągnął Matt. - Mnie to dziś nie pasuje, a zresztą od dziecka uwielbiam szczęśliwe zakończenia. - Sumienie kazało mu zamilknąć, lecz po chwili dodał szczerze: - Tak się składa, że wiele nauczyłem się z romantycznych komedii. Parę fajnych dziewczyn poderwałem na filmowe teksty wygłaszane przez Andrew McCarthy'ego, Toma Cruise'a, a nawet Toma Hanksa. Jeszcze większe wrażenie robiły na dziewczynach odżywki Julii Roberts albo Meg Ryan.

Niewiele brakowało, żeby Lizzie natychmiast mu się oświadczyła. Mężczyzna, który przyznaje, że zna na pamięć filmowe kwestie Julii Roberts i Meg Ryan to rzadki okaz. Była pod wrażeniem, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Spryciarz z ciebie, Matt. Podrywasz dziewczyny na filmowe odzywki? No dobrze, skoro chcesz nauczyć się kilku nowych, poświęcę się i odsiedzę dwie godziny. Od dawna chciałam obejrzeć ten film, ale jakoś się nie składało.

- Mam ten sam problem. Ta komedia miała premierę przed kilkoma tygodniami. Chyba tylko my dwoje go jeszcze nie widzieliśmy. To znak.

- Jaki znak? Wierzysz w przeznaczenie? Przestań mnie bajerować! Nie dam się nabrać. Karma, los, przepowiednie oraz wszelkie tego rodzaju banialuki nie trafiają mi do przekonania. Żadne z nas nie widziało tego filmu. To jedyny pewnik.

- Lizzie Ford jako cyniczna realistka? Nie jestem przekonany. Szczerze mówiąc, uważam, że można cię złapać na dobrą odzywkę. Wszystkie kobiety na to lecą!

Odpowiedzią Lizzie był uśmiech. Tajemniczy? A może rozanielony? Nie miała pewności i w ogóle jej to nie obchodziło.

Po ostatnim z filmowych zwiastunów, tuż przed właściwą projekcją, w kinie zrobiło się ciemno. Ku wielkiej radości Lizzie Matt pocałował ją, więc oddała pocałunek. Mocno przytuleni jak para nastolatków w milczeniu oglądali film. Scenariusz był standardowy i przewidywalny, ale przyjemna muzyka rekompensowała widzom jego mielizny. Na szczęście akcja okazała się nieskomplikowana, więc mimo że roztargniona Lizzie niezbyt uważnie śledziła ekranowe perypetie, niewiele traciła. Zastanawiała się, co będzie dalej...

Gdy skręcali w jej ulicę, po raz pierwszy spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma.

- Dziękuję, Lizzie. Spędziłem uroczę popołudnie. Spędziłem... Użył czasu przeszłego. Chyba nie zamierzał jeszcze wracać do domu. Fakt, że byli razem sześć godzin, lecz nie wyglądało na to, żeby w niedzielny wieczór czekała ich pilna robota. A poza tym Lizzie tak się napracowała, sprząając mieszkanie.

- Wstąpisz na małą kawkę, nim odjedziesz w siną dal? - Miała nadzieję, że jej słowa zabrzmiały naturalnie, bez przesadnego nalegania.

Nie chciała być namolna. W końcu musiał tylko przejechać na drugą stronę rzeki, a taka podróż to nie zamorska ekspedycja. Lizzie żałowała, że nie może sobie przypomnieć, o której Clare ma wrócić do domu. Nie żeby się tym szczególnie przejmowała, ale Matt czułby się chyba niezręcznie, gdyby chcąc nie chcąc musiała przedstawić go współlokatorce.

- No dobrze... - Matt się wahał. - Pod warunkiem, że masz nescafe.

- Obawiam się, że jest tylko kenco.

- Aha. - Zmarszczył brwi, jakby rozważał sprawę. - Właściwie... mogę raz zrobić wyjątek, ale muszę wyznać, że mnie zaskoczyłaś. Ogólnie wiadomo, że miłośnicy komedii romantycznych piją tylko nescafe. Wszystkie reklamówki pokazują, że naturalny aromat zbliża ludzi.

- Kenco też ładnie pachnie.

- Zgadza się - odparł z uśmiechem Matt.

- A poza tym możesz wymyślać sobie te swoje haselka reklamowe, ale nie musisz według nich żyć.

- Nie znasz się na żartach? Przecież od razu powiedziałem, że chętnie wpadnę. - Zdawał sobie sprawę, że wypadałoby już iść, ale chciał raz jeszcze pocałować Lizzie, nim się pożegnają.

Uśmiechnęła się, grzebiąc w torebce i szukając kluczy, a Matt perorował dalej.

- Nie wydaje ci się dziwne, że kawa uchodzi za istotny element procesu uwodzenia? Mnie woń kawy rozpuszczalnej kojarzy się z belframami w grubych wełnianych płaszczach, którzy podczas święta szkoły stoją na skraju mokrego boiska, obejmując dłońmi kubki pełne brunatnej cieczy.

Doskonale wiedziała, o co mu chodzi. Świat według Matta Bakera był łatwo rozpoznawalny. Od razu stanęła jej przed oczyma znajoma scena.

- Szczerze mówiąc, niezbyt romantyczny obrazek - dodał Matt.

- Od wieków nie noszę wełnianych płaszczy - oznajmiła nie wiadomo po co, otwierając frontowe drzwi. Matt nie przeszedł jeszcze do kolejnego etapu rozumowania.

- Sądzę, że taki belfer zadowala się mieszanką gorszych i lepszych gatunków, ale znam podobne kombinacje o wyjątkowo delikatnym smaku...

Wszedł do kuchni za Lizzie, która już gotowała wodę w czajniku. Trochę za głośno roześmiał się na widok fotograficznego kolażu stanowiącego retrospektywny przegląd zdjęć jej i Clare w różnych fryzurach, umieszczonego w ramce na ścianie, a następnie złapał się na tym, że uważnie obserwuje samą Lizzie, która stała odwrócona do niego plecami i mieszała kawę ze śmietanką. Zbity z tropu swoim zachowaniem, odwrócił wzrok, nim odczuła natarczywość tego spojrzenia, i zastosował sprawdzony sposób na rozładowanie napięcia, a mianowicie żart. Na szczęście nie narzekał na brak poczucia humoru.

Dowcipkując zaniósł kubki z kawą do salonu i postawił je na niskim stoliku przy kanapie. Usiadł na niej, skrzyżował nogi i przymknął oczy. Gdy Lizzie usadowiła się obok niego, uniósł powieki, odwrócił głowę i popatrzył na nią. Identycznym gestem sięgnęli po kawę, zgodnie upili łyk i jednocześnie postawili kubki na stoliku.

Rysowało się poważne niebezpieczeństwo, że grudzień i świąteczny czas stanie się dla Lizzie ulubioną porą w całym roku. Z trudem oparła się pokusie zanucenia „White Christmas”. Zamiast śpiewać, milczała i z bijącym sercem czekała na rozwój wypadków.

Matt długo wpatrywał się w jej twarz z prawdziwą czułością, a następnie pochylił się, żeby ją pocałować. Ich usta zetknęły się po raz trzeci w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin i tym razem minęło dobrych kilka minut, zanim się rozłączyły.

Lizzie straciła głowę i przeniosła się do innej rzeczywistości, która była znacznie bardziej ekscytująca niż ta, w której przebywała od kilku miesięcy. Gdy opadli na wielkie poduchy kanapy, z przyjemnością poczuła wgniatający ją w nie ciężar. Miała wrażenie, że z siłą gwałtownego wiru porywa ją i wciąga zapach męskiego ciała, a także aura niecierpliwości.

Gdy Matt zaczął ją rozbierać, zachichotała, bo przypomniała sobie Shreka i jego słynną kwestię o cebuli. Warstwy! Ogry mają warstwy. Ona też miała ich kilka, ponieważ z obawy przed chłodem ubrała się... na cebulkę. Starła się być uwodzicielska, a Matt cierpliwie uwalniał jej ciało od kolejnych szmatek. Gdy wybuchnęła śmiechem, usiadł i popatrzył na nią z zabawną miną.

- Dobra. Co jest grane? Mamy coś poza opakowaniem? Ile warstw ciuchów włożyłaś na siebie?

- W grudniu należy się ubierać na cebulkę. Jesteś prawie u celu.

- Dzięki Bogu - mruknął, wracając do swego zajęcia.

Po kilku chwilach uradowana Lizzie usłyszała pomruki zachwytu. Matt podziwiał jej gładziutką i miękką, wymytą, przetartą tonikiem, nawilżoną i skropioną perfumami skórę na piersiach i brzuchu. W duchu dziękowała matce, która od lat wbijała jej do głowy, że przed randką dbałości o wygląd nigdy za wiele. Lizzie wzdychała głęboko i drżała z rozkoszy, gdy czubkiem języka poznawał smak jej skóry.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że chyba się pospieszyli, lecz za parę dni wybierał się na dwutygodniowe wakacje, a zatem powinien zabrać ze sobą piękne wspomnienia. Znała przecież jego imię, nazwisko i numer telefonu komórkowego. W serialu „Seks w wielkim mieście” bohaterki często chodziły do łóżka z nieznanymi i wcale nie czuły się z tego powodu napiętnowane. Do licha, ona też nie była naiwną nastolatką, skończyła trzydzieści dwa lata. Odsunęła na bok wyrzuty sumienia i postanowiła cieszyć się chwilą.

Przeglądała się Mattowi całującemu jej brzuch i czekała, co będzie dalej. Po namyśle uznała, że powinni się przemieścić do sypialni na wypadek, gdyby Clare wcześniej wróciła z pracy. Lepiej, żeby nie przyłapała ich *in flagranti*. Sądząc z tego, jak Matt napierał biodrami

na jej biodra oraz z faktu, że jego dżinsy stały się nagle za ciasne, nie obawiała się odmowy.



Niespełna kwadrans później Matt zapalił papierosa. Lizzie nie mogła zaprzeczyć, że przeżyła cudowne chwile, była jednak trochę zawiedziona. Odwróciła się, zakładając ramiona na piersi.

W filmach takie wpadki się nie zdarzały, a seks był zawsze fantastyczny. Główny bohater nieodmiennie stawał na wysokości zadania i okazywał się wspaniałym kochankiem, znającym niezliczone sposoby zaspokajania swojej partnerki. Lizzie rzadko przyprowadzała mężczyzn do domu, ale gdy już się na to zdecydowała, zgodnie z jej oczekiwaniami świat powinien zdrzeć w posadach. Niestety, to pierwsze zbliżenie nie osiągnęło nawet minimum w skali Richtera, chociaż Matt rzeczywiście odjechał z błogim uśmiechem na ustach.

Po namyśle doszła do wniosku, że dzisiejsze doświadczenie z Mattem dzieli od poprzedniego... z górą rok. Oczywiście dla niej to bez znaczenia. Ponad rok. Nagle to sobie uświadomiła. Lepiej nie rozgłaszać takich rzeczy.

Matt jęknął, przetoczył się na bok i przytulił do Lizzie, dotykając podbródkiem jej ramienia.

- Przepraszam.

Zamierzał się bardziej postarać.

Pocałował ją w szyję. Mimo irytacji czuła na skórze jego wargi długo po tym, jak cofnął głowę.

- No wiesz... trochę mi wstyd. Nie zdołałem nad sobą zapanować. Byłaś taka cudowna. Nie mogłem dłużej zwlekać.

- Aha. - Było fajnie. Bardzo miło, lecz dziesięć minut to stanowczo za krótko. Zwłaszcza jak na pierwszy raz. A gra wstępna tak wiele obiecywała.

- Wynagrodzę ci to, jeśli pozwolisz. - Z brzmienia głosu wywnioskowała, że Matt się uśmiecha.

Najpierw głaskał ją po brzuchu, następnie po udach, więc mimo woli poczuła wzbierające podniecenie. Znów porwał ją znajomy wir. Chyba powinna dać Mattowi jeszcze jedną szansę. Tak będzie sprawiedliwie. Nie miała zadatków na wielkoduszną altruistkę, więc nie zamierzała rezygnować z przyjemności. Jej też coś się od życia należy. Przetoczył się na drugi bok i teraz leżała z Mattem twarzą w twarz. Gdy mocno się do niego przytuliła, bez wysiłku uniósł ją i posadził na łóżku. Był silniejszy, niż jej się wydawało. Do dwóch razy sztuka...

Zrehabilitował się. Co więcej, sam zachęcał Lizzie, żeby trochę poszeptali, nim zasną.

Wspominali czasy młodzięczego buntu i całonocne imprezy. Z drugiej strony jednak sytuacja była dość dziwna. Przed chwilą zasypywali się namiętnymi pocałunkami, a teraz porównywali swój wiek, znaki zodiaku, rodziny i życiowe plany. Tak czy inaczej ten wieczór różnił się całkowicie od codzienności Lizzie, która zasypiała sama i w ciszy, układając plan na dzień następny.

Czuła się jak prawdziwa femme fatale. Nie należała do dziewczyn, które po pierwszej randce ochoczo idą z facetem do łóżka, ale leżąc w objęciach Matta, nie żałowała niczego. Od lat nie nawiązała równie obiecującej znajomości i zamierzała dołożyć starań, aby Matt spełnił pokładane w nim nadzieje.

Wolno poruszał nadgarstkiem, usiłując sprawdzić w półmroku, która godzina. 12:08. Popatrzył na śpiącą obok Lizzie. Była całkiem naga i cudownie odprężona. Pościel emanowała jej zapachem. Matt poczuł, że coś ściska go za gardło. Musiał iść. Ostrożnie pełzył ku brzegowi łóżka, żeby przypadkiem materac się nie ugiął. Omal z niego nie spadł. Zgarnął stertę swoich ubrań, znalazł jeden but, potem drugi i wreszcie na palcach ruszył ku drzwiom sypialni. Nasłuchiwał przez moment, ale w mieszkaniu panowała cisza. Wstrzymał oddech i nacisnął klamkę.

Gdy ją puścił, zabrzmiał cichy trzask i Lizzie poruszyła się, więc Matt znieruchomiał w pół kroku. Odetchnął z ulgą, bo wymamrotała coś przez sen, lecz nadal spała, więc mógł wymknąć się ukradkiem.

Było mu wstyd. Matt Baker okazał się zwykłym oszustem, szarlatanem, prawdziwym mistrzem w sztuce udawania. Mimo wszystko chętnie by to powtórzył. Poniedziałek, środek nocy, a jego nie ma w domu. Trzeba ściemniać, że po raz kolejny zdrzemnął się na kanapie w swoim gabinecie. Naprawdę zdarzało mu się ostatnio tak zapać, ale dziś musiał skłamać.

Gdy przekreślił kluczyk w stacyjce, cisza mroźnej nocy podmiejskiego osiedla została nagle zmacona głośnym dźwiękiem mocnego silnika. Takie stylowe nawiązanie do czasów, gdy samochody wydawały z siebie raczej warkot niż pomruk. Matt skulił się w fotelu, chcąc pozostać niewidocznym i nierozpoznanym. Odczekał chwilę, aż ciepły nawiew roztopi nieco szron na szybach, żeby jako tako widzieć drogę, i zniknął w ciemnościach nocy.

Lizzie budziła się leniwie. Pościel z gładkiej bawełnianej satyny przyjemnie chłodziła nagą skórę. W powietrzu unosił się wszechobecny, drażniący nozdrza zapach świeżych grzanek. Lizzie nie otwierała oczu, starając się w telegraficznym skrócie odtworzyć zdarzenia, które nastąpiły w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Dopiero gdy odwróciła głowę, aby popatrzeć na swego mężczyznę, zorientowała się, że jest sama. Puls jej nagle przyspieszył, gdy obmacywała pościel, szukając karteczki. Daremnie. Co gorsza, zniknęło też jego ubranie, które wczoraj rzucił na podłogę. Czyżby ów fakt miał jakiś związek z przyjemnymi woniami dochodzącymi z kuchni aż na piętro?

Lizzie opadła na poduszkę, przetarła zaspane oczy i kilkakrotnie przeczesła palcami włosy, aby zlikwidować przedziałek tworzący się pośrodku. Trzeba się przygotować na wypadek, gdyby lada chwila miała dostać śniadanie do łóżka. Gotowa była się założyć, że Matt rano jada płatki. Jakie wybierał najczęściej? Zwykle kukurydziane? Z miodem? Czekoladowe? Z lukrem? A może komponuje własne muesli? Po namyśle uznała, że wygląda jednak na faceta, który zadowala się kupnymi.

Czekała cierpliwie. Sięgnęła na zagraconą półkę nad wezłowiem łóżka, wymacała pilota, włączyła radio i z przerażeniem stwierdziła, że spiker czyta wiadomości agencyjne, które idą o jedenastej. Nie miała zwyczaju wylegiwać się do tej godziny. Dla niej był to przejaw wyjątkowego lenistwa. Następnie przyszło uczucie zawodu. Akcje Matta gwałtownie spadły w jej rankingu. Wystarczyło kilkadziesiąt sekund, aby z troskliwego szefa domowej kuchni, szykującego swej damie śniadanie, zmienił się w przeciętnego faceta. Zapewne dawno wyszedł.

Lizzie wypełzła z łóżka, zdecydowana nie myśleć o tym za wiele, i ogarnęła się pospiesznie na wypadek, gdyby Clare uznała, że pora wparować do jej pokoju. Błyskawicznie odnalazła i poskładała rozrzucone ubrania, zlokalizowała najdrobniejsze strzępki opakowań po kondomach i zwinęła je w ciasną kulkę, żeby na dywanie nie pozostał żaden kompromitujący ślad. Fatalne pokłosie miłosnej nocy, myślała, gdy zgrzana, zdyszana i stanowczo niezbyt pociągająca padła ponownie na łóżko.

W następnej sekundzie poderwała się, usiadła prosto, sięgnęła po kosmetyczkę i zaczęła w niej grzebać. Teraz cieszyła się, że wciąż łyka pigułki, choć od dawna jej życie erotyczne praktycznie nie istniało. Listy do redakcji były najlepszym dowodem, że kondomy są zawodne. Pigułki brała z przyzwyczajenia, bo do pewnego stopnia ułatwiały życie. Była świadoma, że nie powinna bez wyraźnej potrzeby na co dzień faszzerować się hormonami, ale

dzięki nim unikała kłopotów z cerą i comiesięcznych wahań nastroju, z którymi” zmagala się jako nastolatka. Tak czy inaczej w tej kwestii nie musiała się przed nikim tłumaczyć, a branie pigułki mimo przedłużającego się celibatu stanowiło dyskretne przypomnienie, że niektórzy ludzie regularnie uprawiają seks.

Owinięta ręcznikiem Lizzie pobiegła do łazienki, żeby się odświeżyć i odzyskać zwykły wigor. Summa summarum, całkiem nieźle wyszła na tym, że poznała Matta. Spędziła z nim fantastyczne popołudnie i kochała się... dwukrotnie. Istniało jednak realne niebezpieczeństwo, że jeśli będą kontynuować znajomość, jej nowy facet okaże się mistrzem drugiego podejścia, a tego by sobie nie życzyła.

Ledwie postawiła na progu łazienki stopę o starannie polakierowanych paznokciach, ujrzała Clare stojącą w drzwiach sypialni z niedojedzoną grzanką w ręku. Przyjemny zapach nie był złudzeniem, a tajemnicza postać rzeczywiście krzątała się po kuchni. Tym razem jednak Lizzie byłaby wdzięczna losowi, gdyby jej współlokatorka pracowała od dziewiątej do piątej. Domyślny uśmiezek na twarzy Clare sprawił, że poczuła się jak osobliwość z wiejskiego jarmarku. Ludzie, ludzie, cuda w tej budzie! Oto dziewczyna, która uległa dwa razy znikającemu czarusiowi!

- Dedukuję, że spędziłaś z panem Mattem miłe popołudnie i wieczór. Tym razem wpadł na kawę, prawda? Milowy krok naprzód.

Lizzie zastanawiała się przez moment, czy Clare nie zainstalowała kamer w ich mieszkaniu, ale w tej samej chwili przypomniała sobie, że zostawili kubki na stoliku, więc nie było sensu zaprzeczać.

- Owszem. Po obiedzie poszliśmy do kina. Matt wpadł na kawę, nim ruszył do domu. O której wróciłaś?

- Było chyba pół do pierwszej. Popiłam trochę i pogadałam o naprawie świata z paroma kumpelami... tak dla odmiany. A ty chyba zdrzemnęłaś się na kanapie, nim po omacku doczołgałaś się do łóżka. Wszystkie światła zostawiłaś włączone. Wiem, że jestem upierdliwa, ale wcale nie musimy urządzać iluminacji w holu, salonie i na schodach, kiedy smacznie śpisz. Byłabym ci nieskończenie wdzięczna, gdybyś wykrzesła z siebie trochę energii i nacisnęła wyłącznik, kiedy go mijasz.

- Jasne. Przepraszam.

Lizzie nie przypominała sobie, żeby zapaliła światło na schodach. Uśmiechnęła się tajemniczo, gdy uświadomiła sobie, że to Matt je zostawił, kiedy wychodził... co oznaczało, że wymknął się przed powrotem Clare. Z tego wniosek, że szybko się zmył, pomyślała Lizzie i natychmiast przestała się uśmiechać. Do tej pory łudziła się, że emanuje nieodpartym

urokiem, ale musiała przyjąć do wiadomości, że tak nie jest. I pomyśleć tylko, że niedawno z radością przypuszczała, jakoby Matt zszedł do kuchni, aby przygotować dla niej grzanki.

Clare natychmiast spostrzegła, że w ułamku sekundy kąciki ust Lizzie uniosły się i opadły.

- Lizzie Ford, mów prawdę! Puściłaś się, co?

Lizzie nienawidziła tego określenia. Było takie pospolite, bez krzty romantyzmu, obce jej wyobrażeniom o tych sprawach. Clare powinna wykazać odrobinę taktu, zamiast walić prosto z mostu. Na pewno zdawała sobie sprawę, że Lizzie jest dzisiaj wytrącona z równowagi.

- I cóż? Nasz Matt jest szczęściarzem, prawda? Słuchając Clare uparcie wracającej do tematu, Lizzie po raz pierwszy od chwili przebudzenia ucieszyła się, że nie został na noc.

- Właściwie... - Unikała kontaktu wzrokowego. Zniecierpliwiona Clare nie miała ochoty czekać, aż Lizzie wydusi z siebie całą prawdę we własnym tempie.

- No mów! Zrobiliście to? Czy on... No wiesz... Mówże! Zatkanęło cię?

Lizzie udawała, że nie rozumie, o co chodzi, więc trzeba było zadać pytanie wprost, nie owijając niczego w bawełnę.

- Zaliczyłaś go, tak?

Zapadła grobowa cisza, lecz Clare otrzymała „upragnioną odpowiedź, bo Lizzie poczerwieniała, i choć na ustach przyjaciółki zobaczyła szeroki uśmiech wyrażający niemal matczyną dumę, czuła się łatwa. Jak klasówka z ortografii w pierwszej klasie podstawówki.

Clare dramatycznie ściszyła głos i scenicznym szeptem zadała kolejne pytanie.

- W takim razie gdzie on teraz jest?

- Skąd mam wiedzieć? - Lizzie chciała, żeby te słowa zabrzmiały beztrąsko, ale jej starania nie przyniosły spodziewanych efektów. Na domiar złego obronnym gestem założyła ramiona na piersi.

- Aha! Nawet się nie pożegnał, tak?

- Owszem. Gdy obudziłam się rano, już go nie było. Nie zostawił karteczki. Zero informacji.

Clare skarciła się za bezdusność. Była okropnie zła na tego Matta. Natychmiast zmieniła ton i pozę. Z oskarżycielki stała się prawdziwą powiernicą.

- Tak się sprawy mają, co? - Podeszła bliżej, uściśnęła Lizzie i łagodnie pogłaskała ją po policzku. - Znajomość na jedną noc?

- Chyba tak. Zabawiłam się i tyle. - Takie postawienie sprawy wydawało się Lizzie całkiem logiczne, choć teraz nie czuła się szczególnie rozradowana. Wolałaby, żeby Clare

przestała się tak nad nią roztkliwiać, ponieważ od tego zbiera się człowiekowi na płacz, a łzy nic tu nie pomogą. Należało trzymać Matta na dystans. Pozwoliła mu się zbliżyć, więc sama jest sobie winna.

- Warto było?

Lizzie spłonęła rumieńcem, a Clare już wiedziała, co myśleć. Mogłaby powiedzieć, że należało z tym poczekać, ale było już za późno na takie pouczenia, a poza tym w podobnych chwilach nikt nie lubi słuchać komentarzy przemądrzałych współlokatorów.

Lizzie siedziała w gabinecie, wpatrzona w ekran komputera, i usiłowała pracować, gdy zabrzmiał dzwonek u drzwi. Nie miała pojęcia, która godzina. Odkąd się ubrała, dzień włókł się niemiłosiernie.

- Otworzę! - krzyknęła Clare.

Lizzie odetchnęła z ulgą. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Trzasnęły frontowe drzwi, a po chwili usłyszała ostrożne pukanie.

- Tak? - Nawet nie podniosła głowy. Nie była w nastroju do rozmów.

- Liz, dobra nowina. Facet ma chyba udział w firmie kurierskiej.

- Co? Słucham?

Lizzie spojrzała przez ramię. Clare stała na progu, trzymając ogromny bukiet.

Aura przygnębienia ulotniła się w mgnieniu oka. Uradowana Lizzie ścisnęła ramię Clare, biorąc od niej kwiaty, i pomaszerowała do kuchni, żeby znaleźć wazon i w spokoju przeczytać bilecik. Kompozycja była prześliczna i gustowna, owinięta brązowym papierem. Zamiast różowych wstążek modny sznurek. Bardzo ciekawa mieszanka zimowych odmian w pastelowych kolorach. Co ważniejsze, ani jednego goździka. Z pewnością najpiękniejsze kwiaty, jakie Lizzie kiedykolwiek dostała. Rzecz jasna, przyjęłaby z wdzięcznością nawet skromniutki bukiet. Miała nadzieję, że jej domysły dotyczące ofiarodawcy okażą się słuszne.

*Kochana Lizzie...*

Po prostu super!

*Proszę, wybacz, że tak nagle zniknąłem. Dzięki za tę noc. Życzę Ci wspaniałej Gwiazdki. Zobaczymy się w przyszłym roku, kiedy wrócę z gór.*

*Całuję mocno.*

*Twój Matt*

„Kochana”! Ktoś mógłby powiedzieć, że to przesada, ale Lizzie była w siódmym niebie, kiedy wyobraziła sobie, że Matt na głos wypowiada ten wyraz. Poczuła, że się rumieni. Raz jeszcze przeczytała bilecik, nim przypięła go do korkowej tablicy zawieszanej w kuchni. Podniosła wzrok. Krótka cieszyła się samotnością. Clare przyszła za nią, gotowa do wyjścia, i zerknęła na bilecik.

- Aha, jeździ na nartach.

- W rzeczy samej.

- Ale nie szpanuje.

- W żadnym razie.

- Dobra. Już wychodzę. Zobaczymy się później... kochana Lizzie. - Clare znacząco uniosła brew, a jej współlokatorka znowu stanęła w pąsach. Czowała się jak nastolatka.

Gdy wyprawiła Clare do pracy, przez otwarte drzwi zobaczyła w holu na parterze Colina, znanego przystojniaka zajmującego parterowe mieszkanie z ogródkiem. Był obładowany gwiazdkowymi zakupami, więc pierwsza pomachała mu na powitanie. Ona i Clare znały go z widzenia, ale nie miały ochoty się przyjaźnić. Wystarczyły im dobre sąsiedzkie kontakty oparte na sympatii i zaufaniu. Podczas wakacji podlewali sobie nawzajem kwiatki i pilnowali mieszkań. Lepsze to niż obawy, że w tej samej klatce zaszył się przypadkiem jakiś Hannibal Lecter.

Colin miał zajęte obie ręce, więc tylko skinął głową i powiedział dzień dobry. Odwiedzały go tłumy facetów, więc sąsiadki miały o czym plotkować. Latem podglądały urodziwych gości, którzy opalali się na trawniku w skąpych szortach. Lizzie skarciła się w duchu, że myśli o takich głupstwach. Powinna natychmiast zadzwonić, więc postanowiła nie schodzić na dół, żeby pogadać z Colinem, ale uśmiechnęła się do niego, aby nie pomyślał, że zamyka drzwi, bo jej podpadł.

Zamierzała tylko życzyć Mattowi udanego urlopu. A poza tym pragnęła cieszyć się brzmieniem jego głosu w tej luksusowej sytuacji, gdy ma do swojej dyspozycji całe mieszkanie. Wystukała numer jego komórki, nim zaczęła się zastanawiać, co powiedzieć, a co przemilczeć, jakie tematy poruszyć, a jakich lepiej unikać. Odebrał natychmiast.

- Matt? Tu Liz. - Twoja kochana Lizzie, pomyślała z uśmiechem. - Dziękuję za kwiaty. Stary czaruś z ciebie!

- Tylko nie stary, jeśli łaska! Miło, że bukiet ci się podoba. Spędziłem z tobą cudowną noc.

Matt wyszedł ze sklepu, w którym marnował czas. Niełatwo kupie prezent gwiazdkowy dla żony, z którą od miesiący prawie się nie rozmawia. Tym trudniej, jeśli

poprzedniej nocy człowiek przespał się z inną kobietą. Matt nie miał pojęcia, czego potrzebuje jego połowica.

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie, ponieważ oboje wspominali niedawne zdarzenia.

- Gdzie cię poniosło w środku nocy? Miałam nadzieję, że rano bez pośpiechu zjemy śniadanie w łóżku. - Rzecz jasna, należało ugryźć się w język. Przecież Matt ją przeprosił. To jej powinno wystarczyć, a jednak drażyła sprawę. Jak zniechęcić do siebie mężczyznę po pierwszej randce? Gadać niczym żona albo matka. Lizzie pokazała właśnie, że to potrafi.

- Nie mogłem zasnąć. Strasznie chrapiesz.

- Nieprawda! - Lizzie była oburzona. A może jednak? Od dawna sypiała sama, więc może coś się zmieniło. Czyżby nieświadomie nabrała fatalnych nawyków, w ogóle nie zdając sobie z tego sprawy?

Matt nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem, słysząc przerażenie w jej głosie.

- No dobrze, wygrałaś. Wcale nie chrapiesz. Tylko żartowałem. Troszkę posapujesz.

- Ach, ty draniu! - Lizzie poczuła ulgę.

- Obudziłem się w nocy, więc postanowiłem wrócić do domu i wcześniej wstać, bo jak znam życie, gdybym został, odwiódłabyś mnie skutecznie od tego chwalebego zamiaru. Zobaczyłem, że ty, młoda damo, śpisz słodko, taka piękna i, co warto zaznaczyć, zupełnie cichutka, więc postanowiłem się wymknąć. Jak minął dzień? - Matt zmienił temat tak szybko, jak się dało.

- Nie najgorzej. Mnóstwo pracy, więc nie mam czasu na głupstwa. Pomyślałam, że zadzwonię do ciebie i podziękuję za kwiaty. Są śliczne. Życzę wspaniałego szusowania. - Lizzie powtarzała sobie, że nie należy poddawać go żadnej presji. Lepiej żartować, pod żadnym pozorem nie ujawniając skrywanych nerwic i kompleksów.

- Postaram się wypocząć. No wiesz: śnieg, słońce, sznapsik. Proste życiowe przyjemności. Zadzwonię do ciebie po powrocie. Powinienem być w domu szóstego stycznia.

Rano? Po południu? Wieczorem? Lizzie chętnie by o to zapytała, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić. Tylko raz poszli do łóżka. To jej nie uprawnia do kontrolowania jego terminów.

- Świetnie. Baw się dobrze i uważaj na siebie. Mam nadzieję, że w styczniu czeka nas wiele przygód i romantycznych komedii.

- Ja również. Dbaj o siebie.

Rachel wygrała przetarg na upragnioną kampanię reklamową. Był szampan i jowialne uściski. Żeby uczcić zwycięstwo, odbyła turę po markowych sklepach. Los się do niej



uśmiechał. Przyplącała to wprawdzie chronicznym zmęczeniem, ale nie żałowała, bo obecne sukcesy windowały ją na najwyższą półkę. Wyszła z biura wcześniej, zdecydowana porobić świąteczne zakupy, ale gdy ujrzała salony znanych projektantów na Bond Street, zmieniła plany.

Za dwa dni Boże Narodzenie. Rachel z obawą myślała o nadciągających świętach. W domu nie było żadnego biurka, za którym można się skryć. Cztery dni z nim i jej matką. Tylko ich troje i świąteczny program w radiu. Trzeba być miłą. Nadchodzi czas próby. Spoko, pomyślała, spoglądając na swoje odbicie w lustrze przymierzalni, mąż na pewno nie zdoła się jej oprzeć! Wyglądała jak wcielona pokusa. Trzeba jeszcze kupić parę modnych gadżetów i dobre wino. Erotyzm, koronki i szampan - niezawodny zestaw ratujący małżeństwo. Nadchodził czas pojednania.

Ledwie rodzina Fordów spróbowała świątecznego indyka, natychmiast rozpoczęła coroczną dyskusję o tym, gdzie i kiedy Lizzie może spotkać miłego faceta, przy którym wreszcie by się ustatkowała. Od niej samej nie oczekiwano, rzecz jasna, udziału w rozmowie, podczas której matka postanowiła nagle podbić stawkę.

- Chodzą słuchy, kochanie, że w tym tygodniu ktoś przysłał ci kwiaty.

Jakie słuchy? Skąd matka wie o kwiatkach?

- Skromny bukietek.

- Naprawdę? - Annie zrobiła efektowną pauzę, wodząc spojrzeniem po twarzach zaciekawionych widzów. - Zdaniem Clare, był dość okazały.

Clare. No super! Wspaniale, że jest na tyle uprzejma, aby gawędzić z matką Lizzie, ale istnieją przecież niepisane zasady dotyczące ujawniania nowin.

- Dostałam kwiaty od znajomego. - Lizzie utkwiała wzrok w pieczonych ziemniakach, ale czuła na sobie zaciekawione spojrzenia brata, jego żony oraz dzieci.

- Babciu?

Wciąż nie mogła się przyzwycząić, że Jess i Josh nazywają jej matkę babcią. Jakże to... nieodwołalne i postarzające.

- Tak, koteńku?

Koteńku? Litości! Jess mimo skończonych dziewięciu lat nadal była nazywana koteńkiem! Tylko patrzeć, jak matka całkiem dziecinnieje, zacznie chować w rękawie zużyte chusteczki do nosa i ubierać się na różowo.

- Znajomym nie wysyła się kwiatów, prawda? - Jessika rzuciła Lizzie znaczące spojrzenie, jakby chciała dać do zrozumienia, że doskonale wie, do czego zmierza. Jonathan w milczeniu zerknął porozumiewawczo na siostrę. Fordowie znani byli z tego, że potrafią szybko podgrzać atmosferę. Wygląda na to, że dzieciaki mają to w genach i pomimo szczenięcego wieku doprowadzili już tę zdolność do perfekcji.

- Kwiaty, kwiaty - powtarzał jak papuga czteroletni Josh. Lizzie upiła łyk wina, szczerze żałując, że nie może się stać niewidzialna choć na parę godzin.

- Racja, kochanie.

Annie zwracała się do Jessiki, ale patrzyła na Lizzie. Gdy zorientowała się, że ta jest wyraźnie zakłopotana, na jej twarzy z wolna pojawił się uśmiech. Lizzie postanowiła śmiało wyłożyć wszystkie karty na stół w nadziei, że rodzina przestanie drażnić sprawę.

- Poznałam go na gwiazdkowej imprezie mojego radia. Jesteśmy dopiero po pierwszej

randce. Przez dwa tygodnie go nie będzie, wyjeżdża na narty. Mam nadzieję, że po powrocie nadal zechce się ze mną spotykać. Pracuje w reklamie jako copywriter, to znaczy wymyśla hasła reklamowe. Zapomniałam spytać, czym zajmują się jego rodzice, gdzie chodził do szkoły, jaki ma numer buta oraz ile wyciąga rocznie.

Promienny uśmiech Lizzie przeznaczony był dla matki, która nie zadowolala się nigdy ogólną informacją i żądała szczegółów. Byłaby uszczęśliwiona, gdyby mogła każdemu potencjalnemu zięciowi podsunąć do wypełnienia pięciostronicowy kwestionariusz. Rzecz jasna, Lizzie nie oczekiwała w ogóle oświadczeń Matta, natomiast zdaniem jej matki każdy znajomy trzydziestodwuletniej kobiety stawał się automatycznie kandydatem na zięcia.

- Przestań się bocyć, kochanie. - Matka i szwagierka Lizzie wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

A kto się bocy? Lizzie sądziła raczej, że swobodnie żartuje, lecz najwyraźniej sprawiała całkiem inne wrażenie.

- Jak się nazywa?

Powinna była przewidzieć, że Alex przyłapie ją na elementarnym przemilczeniu i zażąda uzupełnienia danych. Chodzący ideał. Jedna z tych matek, które fruując bez wysiłku między sklepem z markową odzieżą dziecięcą i salonem Prądy, znajdują także czas na manicure i ćwiczenia w siłowni. Alex miała idealnie płaski brzuch, więc można by podejrzewać, że Jess i Josh pochodzą ze sztucznej hodowli prowadzonej poza jej organizmem. Lizzie dodała umiejętność przesłuchiwania do listy niezliczonych talentów Alex i odparła nieufnie:

- Matt... Matt Baker.

- Ile ma lat? - spytała Alex takim tonem, jakby zamierzała przerwać krótkie przesłuchanie.

- Nie widziałam jego metryki. - Lizzie uśmiechnęła się z ociąganiem. - Jest chyba w moim wieku. - Z drugiej strony jednak nie mogła wykluczyć, że to dobrze zakonserwowany pięćdziesięciolatek. Po namyśle doszła do wniosku, że ta ewentualność nie wchodzi w grę. Stary wapniak żyłby w innym tempie i nie czułby pulsu terażniejszości.

Lizzie zapewniła rodzinę, że znajomość dopiero się rozkręca, a facet da się lubić. Oczywiście nie wspomniała, że już spali ze sobą, pominęła też cyniczne uwagi Clare, która podejrzewała, że kochaś Lizzie gzi się z jakąś pokojówką. Biesiadnicy zmienili temat, a Lizzie wypila za zdrowie Matta szusującego po ośnieżonych zboczach. Kochała najbliższych, ale wolałaby teraz być z nim.

Dwudziesty piąty grudnia jest chyba najsmutniejszym dniem w całym roku dla

bezdzielnego faceta nieszczęśliwego w małżeństwie, który nie ma dzieciatych krewnych, a jego rodzice postanowili spędzić święta u drugiego syna i synowej mieszkających w Ameryce. Nawet wyjazd na narty w przyszłym tygodniu nie stanowił żadnej pociechy, bo miał nastąpić dopiero za pięć dni, a tymczasem każda godzina wlokła się tygodniami.

Prezenty rozdane zostały po śniadaniu. Rachel dostała naszyjnik ręcznie kutą w srebrze, wieczorny abonament opłacony w renomowanym centrum wody źródlanej, album z portretami Maria Testina, jej ulubionego fotografa, oraz roczną prenumeratę „Vanity Fair”. Jemu dała niebieski pulower, bardzo drogi i co najmniej o jeden numer za duży, który będzie można wymienić, do tego księgę przepisów Jamiego Olivera, swego ulubionego szefa kuchni, i „Śniadanie u Tiffany’ego”, jej ulubiony film w wersji DVD.

Przedpołudnie spędzili w kuchni, przygotowując razem obiad. Przy okazji wypróbowali nowy przepis Jamiego Olivera na brukselkę. Matt z wyjątkową uwagą śledził opowiadane przez nią nowinki, a ona okazywała znacznie więcej zainteresowania jego sprawami niż przez ostatnie pół roku, lecz mimo wszystko atmosfera była napięta. Za głośno i trochę przedwcześnie śmiali się z opowiadanych przez siebie dowcipów. Aż nazbyt ochoczo przypominali rodzinne anegdotki dowodzące, że byli świetnym małżeństwem. Przez te lata zaszła w nich ogromna zmiana. Stali się parą obcych ludzi, mających wspólne wspomnienia, które nie wystarczyły, żeby naprawić sytuację.

Cholerne święta. Rachel była rozdrażniona, a jej duma mocno ucierpiała. Wszystko idealnie dopracowane: świece zapalone, szampan otwarty, a on nie ma nastroju. Coś podobnego! Teraz zamknął się w łazience i podobno relaksuje się w wannie.

Wydała fortunę. Czowała się jak prawdziwa uwodzicielka: stanik typu pushup, pończochy, podwiązki, niemal przezroczysty negliz pod szlafrokiem... i nic. A odstawiła nawet prochy. Sama już nie wiedziała, czy jest rozdrażniona, wściekła, czy może po prostu zawiedziona. Wymarzyła sobie wieczór jak dawniej: beładnie porozrzucone ubrania, drzące i spocone ciała, szalone podniecenie, wspólny prysznic i jeszcze raz od początku. Zawsze jej pragnął. Dziś była chętna. A kiedy coś sobie postanowiła, musiało tak być i już, do jasnej cholery!

Patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, sfrustrowana wtuliła głowę w poduszki, a potem zerwała się nagle, usiadła na łóżku i znalazła kaptur. Musiała napić się wódki; jedna kolejka nie wystarczy; w przeciwnym razie puszcza jej nerwy. Wesołych świąt! Ho, ho będzie, kurde, super, choćby miała utopić smutki w alkoholu. Mówi się trudno.

- Dobra. Idę do łóżka. Tam obejrzę dalszy ciąg filmu. Przez twoje sapanie nie mogę

się skupić.

Matt wymamrotał coś sennie, wtulając twarz w poduszki. Był na skraju hiperwentylacji i kusiło go, żeby otworzyć oczy, ale wiedział, że chytry plan działa. Żona pochyliła się i pocałowała go w policzek. Wstrzymał oddech, bo po całym dniu ostrego picia nieprzyjemnie cuchnęła alkoholem.

- Dobranoc. Czekam na górze.

Począł, aż ucichnie odgłos kroków na schodach, zerknął na jej matkę drzemącą w fotelu i włączył telewizor. Wymacał książkę leżącą na podłodze, ułożył się wygodnie, a potem wyobraził sobie Lizzie i zaczął się zastanawiać, co dzisiaj robiła. Za wcześnie, by rezygnować. Był na to zbyt młody.

Telefon ukryty wśród papierów rozłożonych na biurku Lizzie brzęczał natrętnie. Uważając, żeby nie zaprzepaścić porannej pracy, wyjęła słuchawkę spod stosów kartek, w których mimo pozornego bałaganu znakomicie się orientowała, choć kto inny uznałby, że panuje tu potworny chaos.

- Halo?

- Lizzie, to ja. Zdaję sobie sprawę, że jestem żałosna, ale strasznie mi Ciebie brak. Mama daje czadu. Chyba oszaleję.

Dzwoniła Clare. Była wytrącona z równowagi i mówiła podniesionym głosem, relacjonując na żywo święta w rodzinnym domu, w rozkoszonym wiejskim domu niedaleko Wendover.

- Wracam za dwa dni, więc ciesz się chwilową samotnością i póki mnie nie ma, słuchaj tych swoich idiotycznych płyt!

- Za dwa dni... - powtórzyła machinalnie Lizzie, zaabsorbowana listem, na który właśnie odpowiadała, gdy zadzwonił telefon. - Dobra. Jasne. - Uświadomiła sobie, że pora się przestawić i na serio włączyć do rozmowy, która na razie była rozpaczliwym monologiem Clare. - Jaki mamy dzień?

- Niedzielę. Od świtu. Widzę, że robota Cię wciągnęła. Nie przeszkadzam, mój pracusiu. Radź nieudacznikom, ale muszę Ci jedno powiedzieć, byle nie za głośno, bo rodzinka nadstawia uszu. Nudzę się jak mops. Wiesz, że bardzo kocham matkę, ale nie można w kółko rozmawiać o tym samym i udawać, że jej nowiny są porywające. Czasami chce mi się wyć.

Lizzie wybuchnęła śmiechem.

- Aż trudno uwierzyć - ciągnęła Clare - że stąd do Marylebone jest zaledwie czterdzieści osiem minut. Tutaj czas stanął w miejscu. Zaczynam podejrzewać, że cały ten świąteczny odpoczynek działa mi na nerwy. Jeśli matka znów zaproponuje mi przeczytanie kolejnego kryminału Agathy Christie, chyba zacznę krzyczeć. Nawet zakupy nie wchodzi w grę, bo w okolicy brak fajnych sklepów. Z konieczności żyję oszczędnie, bo nie ma na co wydawać pieniędzy. Złapałam się na tym, że z błyskiem w oku wertuję katalogi firm wysyłkowych. Niewiele brakowało i zmówiłabym bluzkę koszulową, chociaż wiem, że jest ohydna.

- Trzymaj się dzielnie. Ja tu haruję, więc nic nie tracisz. Żadnych fajnych imprez. Putney jest wyludnione. Moim zdaniem dziewięćdziesiąt procent sąsiadów pojechało do

rodziców albo na narty. Raz wybrałam się po południu do supermarketu. Wyobraź sobie, żadnych kolejek do kas.

- Niewiarygodne.

Clare skonstatowała z przerażeniem, że uwagi Lizzie są równie nudne, jak opowieści matki. Trzeba dziewczynę rozruszać. Obiecała sobie, że po powrocie zorganizuje fajne wyjście do miasta. Jeśli nadal obie będą tak zaabsorbowane codziennością, ani się obejrzą i staną się matronami w średnim wieku, które zamiast gadać o kochasiach, omawiają zalety i wady środków czystości. Cóż za okropna perspektywa!

- Ktoś do mnie dzwonił?

- Niestety, nie.

- A do ciebie?

Lizzie zawahała się na moment. Z pewnością Clare nie jest na tyle znudzona, żeby ciekawiło ją, ile razy matka i Jonathan odzywali się w ubiegłym tygodniu. Wstyd powiedzieć, ale nie wystarczyłoby palców obu rąk, by zliczyć te rozmowy.

- Kilka osób.

Clare westchnęła. Lizzie nie ułatwiała jej zadania. Może to niezbyt taktowne, ale trzeba zapytać wprost.

- Sama wiesz kto nie dzwonił do ciebie?

Lizzie uśmiechnęła się, doceniając starania Clare, która bawiła się teraz w dyplomację. Tak czy inaczej staranne pomijanie imienia sama wiesz kogo wcale nie oznaczało, że się o nim nie myśli.

- Matt? - A niby kto? Czyżby oczekiwała, że zadzwoni do niej co najmniej kilku przystojnych adoratorów? - Nie. Pojechał na narty.

Tyle Clare już wiedziała. Miała także świadomość, że istnieje telefonia stacjonarna i komórkowa działająca zarówno na wzniesieniach, jak i w dolinach. Z pewnością między jednym a drugim kuflem piwa można znaleźć chwilę i zadzwonić. Postanowiła jednak darować sobie na razie tę uwagę.

- Jasne. Kiedy wraca?

- Chyba szóstego albo siódmego. A przy okazji... Serdeczne dzięki, że powiedziałaś mamie o kwiatach.

- Nie bądź przewrażliwiona. Dobrze się stało, że o nich wie, bo takie wiadomości podtrzymują w niej nadzieję. Ma dobre intencje. Na swój sposób pragnie twego szczęścia.

- Przecież jestem szczęśliwa. - Lizzie postanowiła zmienić temat na mniej związany ze swoim osobistym życiem. - Co słyhać na wsi? Poszłaś z mamą na tańce do tamtejszej

remizy?

- Na szczęście udaje mi się skutecznie wyperswadować jej takie pomysły. Czasami żałuję, że jestem jedynaczką. Gdybym miała brata albo siostrę, matka nie tylko mnie okazywałaby troskę. Wciąż uważa mnie za czternastolatkę. Przecież to śmieszne. Rozkręciłam własny interes, mam personel...

Clare przerwała monolog znudzonej córki. Lizzie słuchała jej nieuważnie, zajęta pospieszną lekturą kolejnych listów. Chętnie od razu zaczęłaby na nie odpisywać, lecz oparła się pokusie, bo wiedziała, jakie to irytujące, gdy podczas rozmowy telefonicznej słyszy się cichy stuk komputerowej klawiatury, chociaż dzwoniący oczekuje, że zostanie wysłuchany z należną uwagą.

- Słuchaj, muszę kończyć. Mama poszła na spacer z psem, ale już wraca. Będę miała kłopoty, jeśli zaczniesz podejrzewać, że pod jej nieobecność przegadałam z tobą mnóstwo czasu, choć spędzamy razem cały rok. Do zobaczenia we wtorek. Pa.

- Pa.

A więc to już niedziela. Drugiego dnia świąt Lizzie rzuciła się w wir pracy i po paru dniach wypełnionych ciężką harówką zostało jej lektury i pisanie ledwie na kilka godzin. Uporała się z zaległościami, ale w przyszłym tygodniu zostanie na pewno zasypana listami od poświętecznych i przed walentynkowych smutasów. Od stycznia do marca zawsze była najbardziej zapracowana.

Zajęła się kolejnym listem, który należałoby raczej nazwać spowiedzią. Podobnie jak wiele osób piszących do redakcji, autorka sama odpowiedziała na większość swoich pytań. Lizzie wiedziała jednak, że mnóstwo czytelniczek będzie się z nią identyfikować.

*Droga Lizzie,*

*Moje małżeństwo jest w fazie rozkładu.*

Byle nie cuchnęło, pomyślała Lizzie, i natychmiast skarciła się za głupi dowcip. Ludzie piszą do niej o poważnych sprawach, a ona sobie z nich kpi.

*Od pięciu lat jestem mężatką, ale przez ostatnich sześć miesięcy źle się między nami układa. No, może od roku. Jestem świadoma, że setki ludzi piszą do Ciebie o takich sprawach, aleja dopiero w tym tygodniu po raz pierwszy czytałam Twoją rubrykę, bo do tej pory sądziłam, że dział porad w kolorowych czasopismach jest dla nastolatek, znerwicowanych psycholi oraz dla ludzi, którzy nie potrafią zdobyć przyjaciół. Kiedy zobaczyłam, co im odpisujesz, zmieniłam zdanie. Wszystkie rady brzmią sensownie. Mam przyjaciół, ale nie wiem, do kogo zwrócić się z tymi problemami. Większość znajomych nie ma pojęcia, że w*



*moim małżeństwie źle się dzieje. Na domiar złego mąż i ja przyjaźnimy się z tymi samymi ludźmi, którzy w razie konfliktu musieliby opowiedzieć się za jednym z nas. Poza tym nie mam ochoty, żeby prawili mi kazania. Postanowiłam więc sprawdzić, co doradzisz, jeśli Twoje sugestie mi się nie spodobają, mogę je zignorować. Nie chcę Cię urazić, ale moim zdaniem takie rady przypominają trochę horoskopy: bierzemy pod uwagę jedynie te elementy, które nam odpowiadają.*

*Teraz napiszę coś o sobie, żebyś wiedziała, z kim masz do czynienia. Jestem po trzydziestce. Uchodzę za typową przedstawicielkę generacji przekonanej, że wszystko się nam należy, oczywiście nie za darmo. Żeby to osiągnąć, bardzo ciężko pracuję, a praca jest teraz dla mnie najważniejsza, co mój mąż zawsze rozumiał... albo przynajmniej tak mi się wydawało. W biurze mam sporo obowiązków, ale czuję, że wielki sukces jest w zasięgu ręki.*

*Mój mąż to naprawdę fajny facet. Nie jest transwestytą ani sadomasochistycznym fanatykiem, ani nawet popapranym awanturnikiem. Gdyby tylko okazał trochę cierpliwości, z pewnością wyszlibyśmy znowu na prostą. Kiedy wdrapię się na kolejny szczebel kariery, bez wątplenia ubędzie mi zajęć i przestanę żyć w ciągłym biegu. Problem polega na tym, że mój mężczyzna chyba już machnął na to ręką. Zastanawiam się, czy nie rozgląda się za inną. A może już kogoś ma? Chyba nie wybaczyłabym mu zdrady. Nie wdając się w szczegóły (choć wiem, że czytelniczki tej rubryki są ich spragnione), dodam, że właściwie ze sobą nie sypiamy. Jestem przepracowana, zestresowana, więc uprawianie seksu to ostatnia rzecz, na którą mam teraz ochotę. Na szczęście, kiedy wracam, on zwykle śpi albo nie ma go w domu.*

*Przez kilka miesięcy chowałam głowę w piasek, wierząc naiwnie, że wszystko się ułoży, ale teraz wiem, że mąż czuje się zaniebawiany. Przestał nawet ze mną rozmawiać jak dawniej. Ostatnio więcej pracuje, jakby chciał udowodnić, że już mu na mnie nie zależy. A byliśmy tacy szczęśliwi. Jestem pełna obaw, że nic się nie da zrobić, więc piszę do Ciebie. Dlaczego? Sama nie wiem. Chyba w nadziei, że posiadasz magiczną różdżkę. Tak czy inaczej, będę wdzięczna za wszelkie sugestie.*

*Imię i nazwisko zastrzeżone*

Lizzie zaczęła już układać odpowiedź, nim przeczytała list do końca.

*Droga Kobieto Sukcesu,*

*Obawiam się, że opisanych przez Ciebie problemów nie da się usunąć żadnym czarodziejskim zaklęciem, lecz Twoja świadomość, że sprawy źle się mają, to już wielka pomoc. W liście sama rzuciłaś kilka trafnych sugestii, ale dobrze jest, gdy osoba postronna*

*dokonuje systematycznego podsumowania.*

*W dwudziestym pierwszym wieku trudno być kobietą. Tyle jest wyzwań, a stale doskwiera nam brak czasu. Na dodatek wiele kobiet odkrywa w sobie ogromne zdolności i siłą rzeczy chce je spożytkować, co wywołuje niezliczone konflikty interesów. W czasach gdy dziewczyny nie mogły zdobywać wykształcenia, nawet im się nie śniło, że mogą zajmować się tym, do czego dziś aspirują. Radzą sobie tak dobrze jak mężczyźni, a czasami lepiej. Z góry przepraszam wszystkich czytelników tej rubryki, ale taka jest nasza opinia, panowie. Niewiedza dawała błogi spokój. Poranna toaleta, pranie, lektura, szycie, gotowanie, konne przejażdżki oraz... te sprawy; takie zajęcia wypełniały czas nawet paniom noszącym stałe koronkowe kołnierzyki, halki i szerokie spódnice. Każda miała dość czasu na okazywanie miłości i uwielbienia mężowi, gdy wracał z pracy, gdzie zarabiał na utrzymanie rodziny. Pod nieobecność pana i władcy można się było zastanawiać, jak mu dogodzić. Dziś sytuacja się zmieniła, a kobieta przypomina żonglera, który nie może przegapić żadnej z piłeczek. Mąż to jedna z nich.*

*Z drugiej strony jednak należy pamiętać, że dla mężczyzn współczesność jest równie trudna jak dla nas. Większość kobiet doskonale wie, że nie potrafią oni zrozumieć naszych obecnych wyzwań, a nadal domagają się miłości i troski. Dobrze wiem, że trudno jest odnosić zawodowe sukcesy i stworzyć udany związek. To nie przypadek, że waszej Lizzie brak stałego partnera, który by o nią dbał lub szukał jej opieki. Dlatego jeśli znalazłaś fajnego faceta, trzeba go zatrzymać. Piszesz, że Twój wielki sukces jest w zasięgu ręki. Chyba nie uciekniesz, jeśli wyrwiesz się na dwa tygodnie, co? Wiem, że niełatwo podjąć taką decyzję, ale staraj się myśleć trzeźwo, jak wysoką cenę gotowa jesteś zapłacić, żeby w pracy dopiąć swego?*

*Z punktu widzenia Twego męża najgorsze jest odrzucenie. Każdy chce być kochany, wszyscy chcemy czuć się potrzebni. Mężczyznom też brakuje czasem pewności siebie, w tej kwestii kobiety wcale nie mają wyłączności. Spraw, aby mąż naprawdę uwierzył, że zajmuje ważne miejsce w Twoim życiu i jest dla ciebie interesujący. W przeciwnym razie zaczniesz się rozglądać za bratnią duszą albo przynajmniej znajdziesz sobie kobietę gotową zająć się nim.*

*A teraz najważniejsza sprawa. Choćbyście oboje byli strasznie zabiegani, coś was musi łączyć. Powinniście mieć wspólne sprawy, jesteście po ślubie, ale to nie znaczy, że możecie spocząć na laurach i tylko odliczać lata do srebrnego wesela. Trzeba się porozumieć. Rozmawiaj z nim. Wyjaśnij, co czujesz. Nie będzie ci łatwo, ale przestań udawać, że nie popełniasz błędów. Przyznaj się do nich i śmiało weź na siebie część odpowiedzialności za Waszą sytuację. Niewiele zyskasz, jeśli będziesz mu stale powtarzać, że jesteś chodzącą doskonałością, natomiast on powinien być wyrozumialszy i elastyczniejszy.*

*Nie zwlekaj, bo będzie za późno. Znajdź dla niego czas od razu, nawet jeśli to będzie jeden dzień. Dzięki Eurostar wspólny wyjazd na obiad do Paryża nie powinien Cię zrujnować. Taka wyprawa nie zajmie też wiele czasu. Wszyscy jesteśmy zaharowani, ale świat się nie zawali, jeśli dasz sobie kilka godzin wolnego. Zrobiłaś pierwszy krok we właściwym kierunku, a mianowicie napisałaś do mnie, ale to z mężem powinnaś szczerze porozmawiać. Zapewne nie ma pojęcia, co czujesz. Zabawne, ale mężczyźni bywają porażająco skryci.*

*Nim rozpoczniesz swoją batalię, bardzo cię proszę o jedno: zadaj sobie pytanie, czy naprawdę kochasz męża, czy tylko obawiasz się życiowej porażki. Jeśli nadal darzysz go miłością, powinien o tym wiedzieć. Jeżeli natomiast chcesz walczyć o swoje małżeństwo przez wzgląd na opinię innych ludzi, oszczędź sobie sercowych dylematów i zadzwoń do adwokata.*

*Napisz do mnie, gdybyś potrzebowała więcej informacji. Chętnie zaproponuję kilka dobrych paryskich restauracji. Mój adres mailowy: [lizzie@outlout.co.uk](mailto:lizzie@outlout.co.uk)*

*Powodzenia.*

Gdy odpowiedź była gotowa, Lizzie zeskanowała list czytelniczki i wraz ze swoim tekstem oraz resztą dziennego urobku wysłała emailem do redakcji. Kolejne wydanie rubryki było gotowe. W nagrodę postanowiła zjeść ciastko i wypić herbatę.

Nagle usłyszała znajomy dźwięk. Przeskakując po dwa stopnie, popędziła do gabinetu. Zdażyła w ostatniej chwili.

- Halo? Halo? - Dyszała ciężko po szybkim biegu. Najwyższy czas zadbać o kondycję, a raczej zbudować ją od podstaw. Dodała kolejny punkt do wydłużającej się listy noworocznych postanowień.

- Halo? - powtórzyła ostrożnie. Ktokolwiek dzwonił, był wyraźnie zdumiony dziwnymi odgłosami wydawanymi przez Lizzie. - Mama?

- Nie wiem, czemu wydajesz się taka rozczarowana, kochanie.

- Ależ skąd! Sądziłam tylko... Zresztą mniejsza z tym. Jak się czujesz?

- Ten chłopak nie odezwał się do ciebie?

- Już mówiłam, że pojechał na narty.

- Tak. Oczywiście. Gadam głupstwa.

Przez tę upartą indagację Clare i matki nabawię się kompleksów, pomyślała Lizzie. W sprawach serca ich asysta naprawdę nie była jej potrzebna.

- Jak się czujesz, mamó?

- Och, sama wiesz. Może być. Dom wydaje się pusty po tygodniu spędzonym u Alex, Jonathana i dzieciaków, ale dobrze jest wrócić na swoje śmieci. A co u ciebie?

Lizzie wyrzucała sobie, że sama nie zadzwoniła wcześniej do matki, ale każda ich rozmowa kończyła się drobną utarczką. Annie Ford miała szczególny talent do wyprowadzania swojej córki z równowagi.

- Bardzo ciężko pracuję. Clare wraca pojutrze. Muszę jak najszybciej uporać się z zaległościami, bo od przyszłego tygodnia będę znowu zajęta.

- Masz tyle zajęć, córeczko. Wiem, że to konieczne, ale ! powinnaś się czasem zabawić. Może któregoś wieczoru poszłybyście z Clare na dyskotekę?

- Mamo...

- Jasne. Twoim zdaniem wtrącam się w cudze sprawy, ale ; robię to dla twego dobra. Popatrz na Alex i Jonathana. Wspaniała z nich para, a Jess i Josh to cudowne dzieciaki. Chyba nie chcesz skończyć jako stara panna.

- To nie ma nic do rzeczy. - Matka znów zawracała jej głowę swoimi obawami. - Jeśli poznam odpowiedniego mężczyznę, 'i wtedy pogadamy. Pomyśl o Clare. Odkąd zostawiła Joego, jest naprawdę szczęśliwa. Odnosi same sukcesy, a Union Jack znakomicie prosperuje.

- A jednak biedaczka nadal chowa urazę do mężczyzn. Z czasem to minie i wtedy będzie gotowa, żeby kogoś sobie znaleźć.

- Nie byłabym taka pewna. Matka puściła jej słowa mimo uszu.

- Nie mów bzdur. Prędzej czy później musi się z kimś związać.

- Wcale nie. - Lizzie zdawała sobie sprawę, że mówi podniesionym głosem, lecz brak wiadomości z Alp sprawił ją , w rozdrażnienie, a gadanina matki jeszcze pogorszyła sprawę.

- Nie każdy czuje potrzebę posiadania statystycznego dwa i pół dziecka. Przybywa kobiet, które są tak zapracowane, że nie mają na to czasu.

Annie westchnęła.

- Kochanie, urodzenie ciebie i Jonathana to najlepsze, co w życiu zrobiłam. Gdy przychodzą na świat dzieci, życie nadal toczy się normalnie. Bez was moja egzystencja byłaby pozbawiona sensu.

Lizzie nie miała ochoty dyskutować na ten temat. Rzecz jasna, myślała o dzieciach, ale najpierw musiała znaleźć wymarzonego mężczyznę.

- Mamo, wiesz, że bardzo cię kocham, ale pamiętaj, że mam trzydzieści dwa lata i potrafię sama o sobie decydować. Wierz mi, jeśli spotkam odpowiedniego kandydata na męża, nie będę się wzdragać przed założeniem rodziny, a do tego czasu nie zamierzam się zadowalać namiastkami. - Lizzie miała dość tej rozmowy. Zrobiła sobie przerwę na ciastko i herbatę, a nie na terapię. - Posłuchaj, muszę kończyć. Zadzwonię do ciebie wieczorem, dobrze?

- Jasne. Cudownie. Tylko pamiętaj, że między ósmą a dziesiątą nie odbieram telefonów, bo oglądam teatr telewizji.

Lizzie westchnęła. Po rozmowie z matką była trochę wytrącona z równowagi. Wróciła do kuchni, gdzie okazało się, że po raz kolejny zapomniała o zaletach przenośnej słuchawki, z którą mogła wędrować po całym domu.

Usiadła na kanapie, planując pięciominutowy relaks przy pouczającej lekturze kolorowego czasopisma, gdy znów zadzwonił telefon. Co znowu?

- Tu automatyczna poczta głosowa. Masz jedną nową wiadomość.

Lizzie przerwała połączenie i wybrała numer odsłuchu.

- Cześć, Lizzie. To tylko ja.

Omam nie podskoczyła z radości. Tylko ja? Dobrze sobie! To przecież on.

- Dzwonię, żeby powiedzieć: cześć.

Chyba był pijany. A może to zakłócenia na linii?

- Mam nadzieję, że Boże Narodzenie było fajne i świetnie się bawiłaś przy suto zastawionym stole. Pewnie sporo bankietujesz albo oglądasz świąteczne odcinki seriali, albo robisz jedno i drugie. No dobra, muszę kończyć. Nie widzę powodu, żeby dłużej zanudzać tę panią z poczty głosowej. Szczęśliwego Nowego Roku, pozdrawiam z gór. Do zobaczenia wkrótce.

Życie jest ciężkie. Dopiero niedziela. Wiele dni pozostało do kolejnego spotkania. Matt na pewno szusował po nartostradach, a jednak znalazł trochę czasu i zadzwonił. Co za pech, że mateczka go ubiegła, więc zamiast pogadać, nagrał tylko wiadomość. Albo nikt nie dzwoni, albo wszyscy naraz. Lizzie kilkakrotnie wysłuchała wiadomości, zastanawiając się, o co w niej chodzi. Z wolna dochodziła do wniosku, że jej zdrowy rozsądek wyraźnie szwankuje. Potem skasowała nagranie, żeby Clare się do niego nie dorwała. Zapewne natychmiast przekazałaby Annie dobrą nowinę.

Wystarczyło kilka miłych słów, żeby podświadomość zaczęła jej podsuwać sielskie obrazki. Matt i ona otuleni białymi frotowymi szlafrokami siedzą przy śniadaniu w słonecznej kuchni, czytają gazety i piją sok pomarańczowy, a po chwili przyłączają się do nich urocze, wielkookie, rozumne, czyściutkie i cichutkie dzieci w wieku przedszkolnym, z włoskami ostrzyżonymi na pazia i piegami na noskach. Gdy oczyma wyobraźni ujrzała Matta ubranego w sweter typu kardigan, obchodzącego ich wspólny ogród, natychmiast się opamiętała, ponieważ:

1. Nie miała ogrodu.
2. Nie znosiła facetów w kardiganach.

3. Matt pojechał na narty.

4. Spotkali się tylko dwa razy. Koniec, kropka.

Rachel upewniła się, że w pobliżu nie ma żadnych znajomych, a następnie sięgnęła po najnowszy numer tygodnika „Na Głos”. Przekartkowała go pospiesznie, wyrzucając sobie po raz kolejny, że zdecydowała się na wysłanie kompromitującego listu. Musiała być znacznie bardziej chora, niż jej się wydawało. To wiele tłumaczy.

Przeoglądanie tygodnika w każdy czwartek stało się dla niej swoistym rytuałem. Zwykle wsuwała go między kartki branżowego czasopisma o znacznie większym formacie. Nie miała pojęcia, z jakim wyprzedzeniem pracuje Lizzie, więc nie mogła przewidzieć, kiedy zostaną opublikowane jej zwierzenia. Wskoczyła z biura, żeby sprawdzić, co się pokazało w centrum handlowym na styczniowej wyprzedaży markowych butików. No i proszę! Niby przypadkiem trafiła do supermarketu i teraz stoi przy stoisku z prasą, kartkując nowe pisemko, a od ulubionych sklepów dzieli ją całe piętro.

Wreszcie znalazła poszukiwany niecierpliwie dział porad, zajmujący w numerze aż dwie strony. Stało się. Jej list został opublikowany. Cholerny dowód przejściowej demencji. Czowała, że na przemian rumieni się i blednie. Odruchowo przycisnęła tygodnik do piersi i znieruchomiała. Po kilku sekundach odzyskała władzę w kończynach i odłożyła czasopismo równie dyskretnie, jak po nie sięgnęła.

Długo krążyła po hali sprzedaży, starając się odzyskać równowagę ducha, nim wróciła do stoiska z prasą. W pierwszej chwili chciała wykupie wszystkie egzemplarze, ale szybko ochłonęła, więc tylko jeden został wrzucony do koszyka wraz z innymi tytułami. Przy kasie znów straciła tupet i poczuła się zawstydzona. Ledwie śmiała spojrzeć w oczy kasjerce. Żalotne zachowanie. Przecież nikt nie wie, że to jej list i jej problemy. Mimo wszystko wychodząc ze sklepu miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą. Nagły atak manii prześladowczej.

- Nie łącz żadnych rozmów. Potrzebuję dziesięciu minut zupełnego spokoju - powiedziała do Kitty, swojej osobistej sekretarki, i zamknęła za sobą drzwi gabinetu.

Z dala od ciekawskich spojrzeń współpracowników dwukrotnie przeczytała własną pisaninę i odpowiedź Lizzie. A więc redakcja drukuje prawdziwe listy. Rachel знаła mechanizmy funkcjonowania mediów i dlatego uważała cynicznie, że dziennikarze sami wymyślają opisywane problemy. Teraz jednak widziała czarno na białym swój tekst napisany w gorączce. Wydrukowany. Dostępny całemu światu. Każdy może go i przeczytać i ocenić.

Imię i nazwisko zastrzeżone. Tropiła uważnie wskazówki, ‘ które mogły zdradzić, kto

jest autorką listu. Na dobrą sprawę nikt nie miał szans, by ją zdemaskować. Wśród znajomych nie miała chyba nikogo, kto czyta „Na Głos”, „Vanity Fair”, „Vogue” - to są rozrywkowe czasopisma warte uwagi, gdy odkłada się na bok specjalistyczne magazyny opisujące życie na odpowiednim poziomie.

Lizzie była świetna. Niemal cała odpowiedź sprawiała wrażenie oczywistej, lecz nie banalnej. Dobry pomysł z obiadem w Paryżu. Muszą razem uzgodnić termin. Rachel zastanawiała się, czy romantyczny wyjazd da się pogodzić z buszowaniem po markowych sklepach, w których wkrótce będą nowe kolekcje. Chyba nie.

Już miała po raz trzeci przeczytać oba teksty, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Tak się szczęśliwie złożyło, że powiesiła płaszcz na oparciu fotela po drugiej stronie biurka, częściowo zasłaniając szybę, przez którą goście mogli ją podglądać, gdy poprawiała makijaż, nim ruchem ręki dawała znać, żeby weszli. Rzuciła czasopismo na niski stolik, otworzyła skoroszyt z dokumentami i położyła go przed sobą na biurku. Pukanie zabrzmiało po raz drugi, więc kazała natrętowi wejść. Co się dzieje z tymi ludźmi? Przecież nie było jej dla nikogo, a zresztą wiadomo, że należy się z nią wcześniej umawiać na spotkanie. Czasami zastanawiała się, za co płaci osobistej sekretarce. Następnym razem trzeba wyraźnie dać do zrozumienia, czego się od niej wymaga. Miał być całkowity spokój.

- Proszę - burknęła niezbyt zachęcającym tonem.

- Jeśli nie masz czasu, przyjdę później. Chciałem tylko zamienić słówko...

Rachel natychmiast zapomniała o irytacji, bo na progu stanął Will. Przystojny i zarazem chłopeć. Ile ma lat? Dwanaście czy dwadzieścia pięć? Odkąd przekroczyła trzydziestkę, coraz trudniej było jej ocenić wiek takich młodziaków. Musiała przyznać, że mimo rozbuchanej seksualności, nadmiernej pewności siebie i samochwalstwa był świetnym pracownikiem. Z obawą myślała, że choć bywa wredna, Will chyba się jej nie boi. W głębi ducha przyznawała, że lubi z nim flirtować i czerpie z tego ogromną przyjemność.

Will natychmiast rozsiadł się na kanapie. Stopę w markowym sportowym bucie oparł o brzeg niskiego stolika i zapalił papierosa. Gabinet Rachel był jednym z niewielu miejsc na szóstym piętrze, gdzie palacze mieli swój azyl. Will często tu wpadał. Rachel niemal czuła, że z pozoru sztuczne, a w rzeczywistości prawdziwe kwiaty doniczkowe rozstawione w gabinecie nieruchomieją w oczekiwaniu na dym. Will podsunął jej otwartą paczkę.

- Nie, dzięki.

- Nadal udajesz, że rzuciłaś palenie?

- Nie zaciągnęłam się ani razu od... - Horyzont czasowy nie był przesadnie odległy. - Od miesiąca w ciągu dnia nie wzięłam ani jednego.



- Mówimy o papierosach? - Will odchylił głowę do tyłu, wydmuchując dym, który prostą smuzką uniósł się ku sufitowi.

Rachel nie znosiła, gdy ludzie młodszy od niej, zwłaszcza podwładni, bez pytania sięgali po papierosy, lecz postanowiła najpierw wysłuchać, co Will ma do powiedzenia, i dopiero wtedy robić uszczypliwe uwagi. Obeszła biurko i ostrożnie przysiadła na blacie.

- Z czym przychodzisz?

- Chciałbym przedstawić kilka pomysłów dotyczących kampanii. W czasie przerwy obiadowej nasz zespół urządził istną burzę mózgów, więc uznałem, że od razu spróbuję cię tu złapać i pogadać w cztery oczy o tym, do czego doszliśmy. Dzięki temu będziesz mogła szybko ocenić nasze pomysły i ewentualnie je dopracować. Proszę o szczerą ocenę. Jeśli uznasz, że to dno, wal śmiało.

- Zapewniam cię, że tak zrobię.

- Jasna sprawa. Nie masz zwyczaju owijać w bawełnę, prawda?

- Owszem.

Rachel dobrze знаła Willa, więc przypuszczała, że podczas burzy mózgów sporo wypił.

- Chcesz kawy? Posiedzisz tu z pół godziny, więc przy okazji ja też podniosę sobie poziom kofeiny.

- Dobra. Poproszę z mlekiem.

Rachel z portfelem w ręku wyszła do sekretariatu i poleciła Kitty przynieść dwie kawy ze słynnej włoskiej kafejki znajdującej się w pobliżu. Gdy wróciła do swego gabinetu, z przerażeniem stwierdziła, że Will trzymał w ręku egzemplarz „Na Głos”, który niedawno rzuciła na niski stolik. Czytał rubrykę porad. Nakazała sobie rozwagę i spokój, choć miała do czynienia z nieobliczalnym smarkaczem. Siedziało przed nią rozparte na kanapie uosobienie młodości w workowatych spodniach, ze śladami opalenizny po ostatniej snowboard owej wyprawie. Ten szczeniak jawnie szydził z czytanego tekstu i śmiał się w głos. Z oburzeniem stwierdziła, że bawią go publikowane listy, ale udawała, że podziela jego odczucia. Oby szybko znudził się lekturą. Natychmiast przejęła inicjatywę.

- Niektóre teksty są przedziwne, co? Zastanawiam się, kto pisze takie bzdury. Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie tracą czas.

- Ja wiem. To nieudacznicy. Tylko im chce się wysłać te gryzmoły do redakcji.

Rachel próbowała się odprężyć. Na szczęście list był anonimowy. Niestety, Will drążył temat.

- Pewnie brak im kumpli, nie? Nie mają komu się zwierzyć. Albo wiesz co? Idę o

zakład, że redaktorzy sami piszą listy dotyczące problemów, które im pasują do tematów przewodnich kolejnych numerów czasopisma.

Rachel odchrząknęła znacząco, ale zdawała sobie sprawę, że nie może podjąć dyskusji. Gdyby ktokolwiek z jej działu domyślił się prawdy, kpinom nie byłoby końca.

- Czy ja wiem? Moim zdaniem nie brakuje maniaków piszących, gdzie się da - kombinowała niezbyt przekonująco. Na szczęście Will zajęty własnymi przemyśleniami nie zwrócił uwagi na jej zakłopotanie.

- No fakt. Jestem pewny, że ci sami ludzie rozwiązują krzyżówki i wysyłają kupony z odczytanymi hasłami, a nawet uczestniczą w teleturniejach. Posłuchaj tego. - Rozpierzony energią Will zerwał się na równe nogi i zrobił kilka kroków w stronę Rachel. - Ten fragment jest po prostu super! - Zaczął czytać piskliwym głosem: - „Mój mąż to naprawdę fajny facet. Nie jest transwestytą ani sadomasochistycznym fanatykiem, ani nawet popapranym awanturnikiem. Gdyby tylko okazał trochę cierpliwości, z pewnością wyszlibyśmy znowu na prostą... Problem polega na tym, że mój mężczyzna chyba już machnął na to ręką. Zastanawiam się, czy nie rozgląda się za inną. A może już kogoś ma?” Jasne, że gość przygruchał sobie jakąś kobitkę, skoro jego ślubna wprost pisze, że przestała z nim sypiać. Trzeba popatrzeć na sprawę z jego punktu widzenia. Ożenił się z babką, która czyta rubrykę porad i sama pisze do redaktorek. Współczuję facetowi. Moim zdaniem powinien się z tego wyrwać.

Rachel usiadła przy biurku i kiwała się niebezpiecznie w fotelu, udając rozbawioną spektaklem brawurowo zagranym przez Willa. Co to było? Głośne odczytanie opublikowanych wyznań z oczywistą sugestią, że pisała je kompletna idiotka? Tego nie planowała na dzisiejsze popołudnie. Will usiadł na jej biurku i przebiegł wzrokiem list, nadal komentując jego treść, - Ta kobieta powinna wyjść ze swojej skorupy i zacząć naprawdę żyć. Jeśli mam być szczery, odpowiedź też jest do chrzanu. Posłuchaj tego zdania: „Obawiam się, że opisanych przez Ciebie problemów nie da się usunąć żadnym czarodziejskim zaklęciem...” Spadaj na bambus! Nie trzeba być dyplomowaną dziennikarką, żeby wciskać ludziom taki kit, i prawda?

Przebrał miarę. Rachel miała tego dość. Zachowanie Willa i uświadomiło jej, że dzieli ich spora różnica wieku. Młodzieńczy urok nagle przestał na nią działać. Oparła się pokusie, żeby bronić anonimowej autorki listu, ale była oburzona i czuła, że ukryte pod włosami uszy czerwienieją jej ze złości.

- Zdjęcie tego nie oddaje, ale z tej Lizzie fajna laska. Chętnie zwierzyłbym się jej ze swoich problemów. To ta blondynka, która rozmawia ze słuchaczami w City FM. Fajny

towar, pod każdym względem. Jest w twoim wieku.

Rzucił Rachel wymowne spojrzenie, więc popatrzyła mu prosto w oczy. Musiała przyznać, że chłopczkowi nie brak tupetu. Najpierw powłóczyście spojrzenie, potem błysk pożądania w oku, następnie krok do tyłu i taktyczny odwrót na kanapę. Przezornie zwiększył dystans i perorował dalej.

- To jedna z wielu seksownych kobitek w średnim wieku, dla których teraz wszyscy tracimy głowy. Moim zdaniem niektóre pisma zapłaciłyby Lizzie mnóstwo kasy za rozbieraną sesję zdjęciową. Idę o zakład, że rozwiązałyby wiele problemów, gdyby popracowała ciałem. Moim zdaniem ty masz podobne zdolności. Może powinnaś zostać redaktorką działu porad?

Rachel słuchała uważnie jego gadaniny. Wyłowiła komplementy spośród dwuznacznych aluzji, chwyciła tygodnik i rzuciła nim w Willa z obrzydzeniem, które tylko częściowo było udawane.

- Jesteś żalony, Williamie. Wiesz łatwy żywot dwudziestolatka, ale za jakiś czas zrozumiesz, że każdy ma problemy, a fajny seks nie jest celem samym w sobie.

- Naprawdę? - odparł ze szczerym żalem i niedowierzaniem, jakby trochę zawiedziony.

Był ogromnie przekonujący, więc Rachel wybuchnęła śmiechem tak serdecznym, że omal się nie rozplakała. Pochylona w stronę kanapy, na której siedział Will, założyła nogę na nogę, dając znak, że rozmowa skończona.

Gdy wyszedł, w pokoju unosił się wyraźny męski zapach pomieszany z wonią płynu do zmiękczenia tkanin i papierosów marlboro light. Już mężczyzna, ale smarkacz. Mniejsza z tym. Był podporą zespołu, lecz Rachel nie zamierzała mu tego mówić.

Lizzie po raz drugi w ciągu ostatnich siedmiu godzin wstała z łóżka. Matt zaskoczył ją, wpadając z prowiantem na wczesny obiad, lecz oboje szybko zapomnieli o jedzeniu, zaspokajając inne apetyty. Gwizdząc weszła pod prysznic. Nie da się ukryć, że praca w domu ma swoje plusy.

Matt wrócił i mimo wszystko spotkał się z Lizzie. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Nieprawda! Ściemniał i tyle. Doskonale wiedział, dlaczego tak mu zależało na kolejnym spotkaniu. Tęsknił za nią. Zadzwoił pełen dobrych intencji i już miał wyznać całą prawdę o żonie, pięcioletnim pożyciu i tym podobnych, gdy zaskoczyła go zaproszeniem na obiad w rewanżu za poprzednie spotkanie. Nim doszedł do słowa... A zatem to jej wina? Skądże! Nie był taki głupi, żeby się przy tym upierać.

W domu żadnej poprawy. Gdy wrócił, żona na dzień dobry wręczyła mu wykaz rachunków zapłaconych kartą kredytową, wyraźnie oczekując, że zachowa się, jak przystało na głowę rodziny i zapłaci za nową garderobę kupioną w markowych sklepach. Jego zdaniem za własną, naprawdę wysoką pensję mogła sprawić sobie górę ciuchów, które powinny wystarczyć, ale gdy żartobliwie zaproponował, aby przyznała wreszcie, że jest uzależniona od zakupów i poddała się terapii grupowej, natychmiast ostro przywołała go do porządku. Wtedy całkiem serio zarzucił jej, że go wykorzystuje, no i zaczęło się... Wrzeszczała okropnie, obrzucała go wyzwiskami, omal się nie rozpląkała, lecz nie zaprzeczyła postawionym zarzutom.

Powinien odejść. Nie chciał mieć żony i kochanki. Potrzebował jednej kobiety. Tak się fatalnie złożyło, że nie tej, którą poślubił.

Clare domagała się, żeby najdroższy przyjaciółki został jej przedstawiony. Lizzie go przed nią nie ukrywała, ale godziny pracy całej trójki były tak różne, że trudno było ustalić termin spotkania. Poza tym Lizzie miała świadomość, że Clare przeżywa trudne chwile. Właśnie mijały dwa lata od chwili, gdy odkryła, że Joe ma romans. Takiej rocznicy młoda rozwódka tuż po trzydziestce nie obchodzi z fanfarami. Nietaktem byłoby w takiej chwili przedstawić jej ukochanego. Lizzie postanowiła najpierw zorganizować wieczorne wyjście w damskim gronie. Była strasznie zapracowana, spotykała się z Mattem i dlatego zaniedbywała najlepszą przyjaciółkę.

Gdy po kąpieli wycierała się do sucha, obiecała sobie, że od razu naprawi ten błąd.

Telefon dzwonił całe wieki, nim ktoś odebrał.

- Union Jack.

Aparat stał chyba między szafką na sztucce i zmywarką. Zgiełk i hałas tłumnie odwiedzanej restauracji kontrastował z domową ciszą towarzyszącą Lizzie, przywykłej pracować w domu. Pożałowała nagle swojej decyzji, ale odkładając teraz słuchawkę, zachowałyby się dziecinnie.

- Z Clare Williamson proszę - odparła niemal urzędowym tonem.

- Chwileczkę. - Mężczyzna, który odebrał telefon, położył słuchawkę obok ekspresu do kawy, więc w uszach brzmiało Lizzie bulgotanie wody, syk pary i szum trzepaczki do ubijania mleka. Oczekiwanie przedłużało się, ale w końcu zabrzmiał znajomy głos.

- Clare Williamson.

- Cześć, to ja!

- Liz? Cześć. Teraz nie mam czasu. Dzwonisz z domu?

- Tak.

- Wszystko dobrze?

- Tak.

- Możesz zatelefonować później? Powiedzmy... około pół do czwartej.

- Jasne.

Gdy Lizzie odpowiadała monosylabami, lubiła od czasu do czasu zmienić płytę.

- Świetnie.

Rozmawiały, jakby się paliło. Ten ciągły pośpiech... Do trzeciej trzydzieści trzy Lizzie niewiele zrobiła, lecz za to utwierdziła się w przekonaniu, że roztargnienie Clare wcale nie oznacza, jakoby ich przyjaźń przeżywała kryzys. Zadzwoiła ponownie. Tym razem Clare sama odebrała. Głos miała spokojniejszy, ale odpowiadała dość lapidarnie, za to Lizzie usiłowała wykrzesać z siebie więcej energii w nadziei, że ożywienie udzieli się jej rozmówcy.

- Pani Williamson, prawda? Mówi pani osobista asystentka do spraw rozrywki i życia towarzyskiego. Przepraszam, że niepokoję w godzinach szczytu, ale stale zapominam, że gdy inni ludzie mają wreszcie czas, żeby pogadać, restauratorom robota pali się w rękach.

- Litości! Przestań szczebiotać, Liz, bo i tak z trudem znoszę ten twój nagły zachwyty urokami życia i miłości.

Aha. Lizzie usłyszała nutę irytacji, więc zmieniła ton na mniej żartobliwy. Pomysł z gejzerem energii nie wypalił. Zapewne nie jest to również odpowiednia chwila, aby wspomnieć, że Matt wpadł do ich mieszkania wczesnym popołudniem. Ta rozmowa miała

wszak podnieść Clare na duchu.

- W takim razie przechodzę do meritum i już mówię, dlaczego zadzwoniłam. Najwyższy czas, żebyśmy wybrały się do eleganckiego lokalu na szampana i plotki. Ustalimy, co należy zrobić, żeby świat był w porządku, i pogadamy o tym, jak dobrze ci zrobiło definitywne rozstanie z tym oszustem, czyli twoim byłym.

Clare roześmiała się mimo woli. Pamiętna rocznica nadal była dla niej bolesna, a Lizzie okazała się niezawodną przyjaciółką.

- Dzięki, Liz, to bardzo fajny pomysł - powiedziała łagodniejszym tonem. - Od wieków nie wychodziłyśmy razem wieczorem. Moment, zajrzę do terminarza. - Zapadła cisza przerywana jedynie szelestem kartek. - O kurczę, co za tydzień, prawdziwe urwanie głowy. Co myślisz o wtorku?

- Jestem w radiu, odbieram telefony i gram muzykę.

- Jasne! Zapomniałam! - Clare sprawiała wrażenie trochę roztargnionej. - A poniedziałek?

- Doskonale. Wszystko załatwię.

Lizzie miała ochotę zadzwonić do Matta i zapytać, czy ma wtedy czas, ale z dwóch powodów oparła się pokusie. Po pierwsze, widziała się z nim przed niespełna dwiema godzinami, więc telefonowanie byłoby lekką przesadą; po drugie, nie chciała, żeby Clare podejrzewała ją o sabotowanie dziewczynskiego wieczoru, który Lizzie sama obiecała zorganizować. Porzuciła głupie pomysły, z nerwowym ożywieniem sięgnęła po kolejny stos listów i włączyła płytę z klasycznym koncertem fortepianowym, żeby nabrać ochoty do pracy.

Po kilku chwilach błyskawicznie przebierała palcami po klawiaturze w rytm fortepianowych pasaży, nieświadomie naśladowując gesty i pozy wirtuoza fortepianu. Narzucała sobie coraz szybsze tempo, więc szybko przybywało napisanych odpowiedzi. Wkrótce straciła poczucie czasu.

- Kiedy go poznam?

- Kogo? Matta?

- Nie! Robinsona Crusoe! Jasne, że Matta. Cudownego mężczyznę, który sprawia, że stale się uśmiechasz i myślisz pozytywnie. Od wieków nie wyglądałaś tak promiennie. Dzięki niemu ubyło ci z dziesięć lat.

- Aż tyle?

Clare chyba trochę przesadziła, ale to jej specjalność. Lizzie nie sądziła, żeby od dwudziestego drugiego roku życia tak bardzo się postarzała, by różnica była wyraźnie widoczna. Popatrzyła na kieliszek, obserwując ukradkiem swoje odbicie na jego ściankach. Nie do wiary, że osiągnęła wiek, w którym mogłaby ująć sobie dziesięć lat i nadal uchodzić za osobę dorosłą. Upiła łyk szampana i podjęła ważne postanowienie. Najwyższy czas kupić i zastosować krem przeciwzmarszczkowy. I pomyśleć tylko, że obojętnie wzruszyła ramionami, gdy kilka dni temu sprzedawczyni w stoisku Clarinsa zaproponowała jej próbkę takiego specyfiku.

- No, może nie dziesięć, ale dwa na pewno.

To już bliższe prawdy. Lizzie uniosła kieliszek, zachęcając siebie i współbiedniaczkę do wypicia za swą relatywną młodość.

- No więc kiedy poznam twojego kochasia? - Clare nie dawała za wygraną. - Zadzwoń do niego i poproś, żeby wpadł tu na kieliszek szampana.

Lizzie zwlekała z odpowiedzią. Lepiej byłoby zorganizować spotkanie na trzeźwo, w mieszkaniu, przed południem. I tak Clare zadawałaby zbyt wiele pytań, indagując Matta z wątpliwym wdziękiem agenta służb specjalnych. Niestety, pod wpływem alkoholu stawała się nieprzewidywalna. A jeśli zacznie opowiadać Mattowi historię amorów swojej najlepszej przyjaciółki, która, nawiasem mówiąc, zdecydowanie nie życzyła sobie, aby najdroższy wysłuchiwał uszczypliwych komentarzy na temat swych poprzedników?

- Sądzę, że jest zajęty.

- Znowu unik! Liz, czasami bywasz nie do zniesienia. - Clare uniosła prawą brew i rzuciła jej karcące spojrzenie. Idiotyczna wymówka. Ktoś tu marnie ściemnia.

Lizzie była świadoma, że daremnie odwleka nieuniknioną konfrontację. Skoro Clare coś postanowiła, urzeczywistnienie jej zamysłów było jedynie kwestią czasu.

- Zadzwoń do niego. Jeśli jest w pobliżu, na pewno zechce wpaść. Przecież nie widzieliście się... chyba ze dwa... nie, raczej trzy dni. Biedactwa!

Lizzie pogrzebała w torebce.

- Cholera! Nie mam komórki.

- Proszę, weź moją. Tylko nie udawaj, że nie pamiętasz numeru Matta. Jestem pewna, że znasz go na pamięć.

Lizzie zeszła po schodach, bo na pięterku nie było zasięgu. Matt odebrał natychmiast. Ironia losu! Gdy nie chcemy kogoś zastać, jak na złość zawsze podnosi słuchawkę.

- Matt?

- Cześć, Liz.

- Możesz rozmawiać?

- I tak, i nie. Właściwie nie powinienem, bo jest dziewiąta wieczorem, a ja wciąż jestem w pracy, gapię się na ekran monitora i próbuję wydusić z siebie kilka fajnych hasełek, żeby coś zaproponować podczas jutrzejszego zebrania, które zaczyna się o ósmej rano. Powinienem harować, ale jestem padnięty, więc marzyłem, żeby na moment oderwać się od komputera. Fajnie, że dzwonisz. Wszystko w porządku? Mówiłaś chyba, że wypuszczacie się gdzieś z Clare. Sądziłem, że właśnie obgadujecie facetów, aż miło.

- Owszem... ale nie wszystkich. Trochę plotkowałyśmy, no i Clare... Właściwie obie doszłyśmy do wniosku, że milej by nam się gadało o facetach, gdyby choć jeden okaz wpadł tu na kieliszek szampana. No wiesz, można teoretyzować, zarzucając im wszystko, co najgorsze, ale potrzebujemy konkretów.

Matt zamilkł. Nie roześmiał się, nie powiedział ani słowa. Lizzie zważyła w swoje poczucie humoru, ale perorowała dalej:

- Spoko, żartowałam. Słuchaj, jesteśmy w klubie „Atlantic”. Clare naprawdę bardzo chce cię poznać, więc uznałam, że zadzwonię i spytam, czy masz ochotę zajrzeć na chwilę i napić się z nami. Krótka przerwa dobrze ci zrobi.

Znowu cisza. Lizzie pomyślała, że połączenie zostało przerwane. Całkiem prawdopodobne, że przez ostatnią minutę gadała do siebie. Spojrzała na ekranik komórki, odsuwając ją na tyle, żeby słyszeć głos Matta, gdyby w końcu się odezwał. Rząd ciemnych kresek biegł wzdłuż bocznej krawędzi ekranu. Miała zasięg. Połączenie trwało.

- Halo? Halo? Jesteś tam?

Matt nie był przeciwny spotkaniu z Clare i zależało mu, aby zrobić na niej dobre wrażenie. Pomysł Lizzie przypadł mu do gustu. Przedstawi się Clare w fajnym klubie, przy kieliszku szampana - a nie przypadkiem, w mieszkaniu, gdy będzie miał na sobie tylko bokserki. Poza tym lubił patrzeć na Lizzie, kiedy była lekko wstawiona, bo pod wpływem alkoholu przestawała! się przejmować swoją pracą.



- Halo? Halo? Oczywiście, jestem.

- Słyszysz mnie?

- Teraz lepiej niż przed chwilą. Pole zanika. - Kłamał, ale niedostatki współczesnej techniki to wiarygodna wymówka.

- Co sądzisz o mojej propozycji? Jeśli nie możesz, trudno, ale decyduj natychmiast, bo muszę wracać do Clare. Jest trochę stuknięta, więc boję się, że pod moją nieobecność zamówi coś horrendalnie drogiego. No wiesz, ja stawiam.

- Dobra, wpadam na drinka, ale pilnuj, żebym się nie zasiedziało. Muszę wrócić do pracy, a poza tym nie chcę być potem obwiniany, że zepsułem wam fajny wieczór.

- Świetnie... - Naprawdę doskonale. - Siedzimy na piętrze. Stolik w rogu, po... - Przez moment poruszała nadgarstkami, żeby się upewnić, gdzie jest prawa, a gdzie lewa. Gdy sporo wypła, od razu miała problemy z lateralizacją. Z tego wniossek, że dziś, nie zdając sobie z tego sprawy, wysączyła za dużo szampana. - Po lewej... po lewej stronie baru. Oczywiście wyglądamy super. Najfajniejsze laski w całym lokalu. Pospiesz się i przyjdź, zanim film mi się urwie.

Pożegnała go i pomknęła do łazienki, żeby poprawie makijaż, a następnie ruszyła na piętro, żeby uprzedzić Clare, na co się zanosi. Była trochę niepewna, lecz ogólnie zadowolona. Wiedziała, że przyjaciółka nie będzie jej miała za złe krótkiej zwłoki.

Matt wszedł do klubu, starając się opanować zdenerwowanie. Szybko znalazł dziewczyny i przyłączył się do nich.

- I co? Wiecie, jak naprawie nasz smutny padół? Czy Anglia bez mężczyzn stanie się rajem na ziemi?

Clare obserwowała Lizzie i Matta, którzy parzyli na siebie z czułością. Pociągnęła spory łyk szampana. Dlaczego wpadła na pomysł, żeby ściągnąć dzisiaj do klubu tego faceta? Z drugiej strony jednak dobrze się stało, ponieważ teraz miała pewność, że nowy ukochany nie jest tylko wytworem bujnej wyobraźni Lizzie. Mityczny Matt nabrał konkretnych kształtów. Trochę chłopięcy. Ładnie się uśmiecha. Ze sposobu, w jaki spogląda na Lizzie, można wywnioskować, że naprawdę stracił dla niej głowę. Clare postanowiła wreszcie przerwać ich wzajemne zapatrzenie. Jeszcze moment i zzielenieje z zazdrości.

- Aha, więc to jest Matt, znany copywriter.

Natychmiast popatrzył na nią i wrócił do rzeczywistości. Pod stołem ścisnął mocno rękę Lizzie.

- Ciałem i duszą zaprzędany reklamie. Ale słyszałem, że z kolei dla ciebie Union Jack

jest drugim domem. Trzeba tam kiedyś zajrzeć. Lizzie zapewnia, że to świetne miejsce, a ja go nie znam. - Matt szybko zmienił temat, bo nie chciał rozmawiać o sobie.

Po krótkiej wymianie zdań na temat londyńskich restauracji, pełnej taktu i wzajemnej życzliwości, zaczęli dyskutować o cenach nieruchomości w Notting Hill, gdzie według rankingów zamieszczonych w porannych gazetach było teraz drożej niż w sąsiednim Kensington. Matt przeczuwał, że wkrótce zacznie się kolejna seria pytań.

- Gdzie mieszkasz? Zakładam, że między wizytami u nas w Putney raczej nie koczujesz w swoim biurze.

- W Chiswick, choć właściwie to już Turnham Green. Wiesz, gdzie to jest? - zapytał, a Clare kiwnęła głową. - Ładna dzielnica. Jeden z najlepiej strzeżonych londyńskich sekretów. Udało się tam zachować sielski urok cichego przedmieścia. Mamy sporo małych sklepików: rzeźniczy, rybny, kwiaciarnię. Niewątpliwą uciążliwością jest brak pasażu i spacerujących po nim w soboty wytwornych par z eleganckimi dziećmi w markowych wózkach, ale zalet jest więcej niż wad.

- Lubisz tę swoją wiochę, co? - Clare przybrała ton żartobliwy i sarkastyczny, zapewne najmniej stosowny do okoliczności, lecz dający skuteczny odpór zachwytom Matta, z uśmiechem opisującego podlondyńską sielankę. - Twoje lokum jest własnościowe czy wynajmowane?

- Własnościowe. To najlepsza z moich inwestycji. Obyło się zresztą bez większych wyrzeczeń, bo muszę przyznać, że nieźle mi płacą, więc sporo odkładam. Wy zdecydowałyście się na wynajem, prawda? - zapytał Matt, chociaż znał odpowiedź.

- Owszem. Rzecz jasna, obie jesteśmy świadome, że wyrzucamy pieniądze w błoto, prawda, Liz?

Lizzie była mocno wstawiona i pod wpływem alkoholu przestała się kontrolować. Skinęła głową, nie odrywając oczu od Matta. Wpatrywała się w niego jak urzeczona, ale przynajmniej słuchała. Clare uznała, że to już coś i perorowała dalej.

- Poza tym obie dostajemy wysypki na samą myśl o tym, żeby ustatkować się i zapuścić korzenie. Rozumiesz, o jedno rozczarowanie za dużo.

Facet szykujący Lizzie kolejny poważny zawód wypił do dna i ponownie nappełnił kieliszek. Szkoda, że nie wyznał prawdy, nim doszło do spotkania z Clare. Teraz okłamywał następną osobę, która, jak podejrzewał, nie będzie skłonna, żeby spojrzeć na całą sprawę z jego punktu widzenia.

Lizzie włączyła się do rozmowy.

- Moim zdaniem obie wolimy się uważać za wolne ptaki bez zobowiązań. Chętnie

wmawiamy sobie, że jeśli tylko przyjdzie nam ochota, możemy jutro wyjechać na drugi koniec świata i uczyć się nurkowania w Australii. Prawda jest taka, że od paru lat nie udaje nam się wykroić nawet paru dni na porządny urlop, więc nie jeździmy ani po kraju, ani po świecie.

Wolne ptaki? Niechęć do zobowiązań? Dobre sobie! Raczej lęk przed toksycznym związkiem, nieufność wobec innych i strach przed cierpieniem. No i obawa przed zaciąganiem wysokich kredytów. Dwieście tysięcy funtów długu to horror dla dziewczyny na dorobku.

- Uznałyśmy - ciągnęła Lizz - że mimo wszystko na razie wynajmowanie jest dla nas opłacalne, a poza tym, choć to śmieszne, po prostu nie mamy czasu na szukanie innego mieszkania.

Clare z powagą kiwnęła głową.

- Kobiety są w takich sprawach bardzo rzeczowe i rozważają wszelkie ewentualności. Zakup nieruchomości to poważna sprawa. Domu lub mieszkania nie można zwrócić, kiedy się znudzi. Poza tym dla mnie nie do zniesienia jest myśl, że za pięć lat nabytek będzie wart mniej niż teraz.

- W Londynie? Mało prawdopodobne. Bardzo mi się podoba wasze mieszkanie. Doskonale rozumiem, dlaczego na razie nie macie ochoty wyprowadzać się stamtąd - zapewnił Matt.

Lizzie była zadowolona, że on i Clare tak sobie miło rozmawiają, chociaż poruszali strasznie poważne tematy. Rozczuliła się nieco, mając przy sobie i ukochanego, i najlepszą przyjaciółkę.

- Matt, kiedy mnie zaprosisz do Chiswick? - Pytanie było całkiem niewinne. - Najwyższy czas, żebym obejrzała twoją kolekcję płyt, kosmetyki w łazience oraz kompromitujące fotografie w szkolnym mundurku albo w towarzystwie młodzieńczych miłości. Pewnie są ukryte za korkową tablicą.

Lizzie naprawdę ciekawiły te szczegóły, z drugiej strony jednak cieszyła się, że Matt chętnie do niej przychodzi. Często powtarzał, że jemu wystarczą czyste bokserki i szczoteczka do zębów, natomiast ona przyjechałaby z wizytą, dźwigając sporą walizkę wypełnioną kosmetykami do zmywania, nawilżania oraz pielęgnacji, flakonami perfum, butlami odżywek, a także kilkoma zestawami ciuchów i butów do włożenia następnego dnia. Bardzo słuszne zastrzeżenie.

Matt próbował zmienić temat. Zapewne był trochę przewrażliwiony, ale miał nieodparto wrażenie, że od Clare powiało chłodem.

Podchmielona Lizzie spojrzała mu prosto w oczy, pochyliła się ku Clare i powiedziała scenicznym szeptem:

- Nie sądzisz, że on umyślnie odwleka moją wizytę? Jeśli mam być szczerą, podejrzewam, że ukrywa mnie przed żoną.

Oczywiście żartowała. Wiadomo, że czasami mówi się takie głupstwa. Puściła nawet oko do Matta, kiedy tak kpiła z niego. Problem w tym, że nagle spoważniał. Czas stanął w miejscu, a żołądek podszedł Lizzie do gardła.

Clare wyczuła sprawę i taktownie pomaszzerowała do łazienki. Sprawa była oczywista, a jednak Lizzie potrzebowała kilku chwil, żeby pojąć, w czym rzecz, choć przeciętnie inteligentny pięciolatek natychmiast zorientowałby się, co jest grane. Łzy stanęły jej w oczach, nim zrozumiała. Spływały po policzkach wielkimi kroplami. Z przerażeniem spostrzegła, że i on ma mokre oczy, lecz nagle ogarnęła ją egoistyczna złość. Czuła się upokorzona, bo Clare była świadkiem zajścia. Wspaniała pożywka dla jej nienawiści do żonatych mężczyzn.

- Masz żonę, tak? - Lizzie starała się mówić cicho i spokojnie. Byli przecież wytwornymi gośćmi z West Endu, a nie hołotą z ubogiej dzielnicy. Poza tym chciała zachować resztki godności, chociaż zdawała sobie sprawę, że wkrótce poczuje się jeszcze bardziej zdołowana.

- Liz, na miłość boską, wiem, że powinienem ci powiedzieć... Miałem taki zamiar, ale tak się złożyło, że nasza znajomość była znacznie ważniejsza niż tamte sprawy. Zgadza się, mam żonę, ale od prawie roku nic mnie z nią nie łączy. Przyznaję, że poszedłem na łatwiznę i mimo wszystko zostałem z nią, ale teraz muszę odejść. Zostawię ją. Przysięgam. - Matt zdawał sobie sprawę, że histeryzuje i mówi coraz bardziej piskliwym głosem. Odetchnął głęboko i dodał: - Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym zaprzepaścił szansę, która została nam dana. Nie spotkałem dotąd dziewczyny takiej jak ty.

Zerknął na nią. Utkwiła spojrzenie w blacie stolika jakby z obawy, że gdy popatrzy na niego, całkiem się załamie.

- Wierz mi, za każdym razem, ilekroć zamierzałem wyznać ci prawdę, coś się działo i odpowiednia chwila mijała. A teraz... Wcale bym się nie dziwił, gdybyś zareagowała gwałtownie... Na pewno mnie zniechęcisz i... - Matt pokręcił głową. - Czemu wszystko tak się skomplikowało? Liz? Lizzie? Proszę, spójrz na mnie.

Podniosła głowę. Oczy miała załzawione. To jego wina. Ujął w dłonie jej smutną buzię. Była tak zrozpaczona, że nawet się nie zachnęła.

- Lizzie, nasz związek jest wyjątkowy. Oboje zdajemy sobie z tego sprawę. Rozumiem,

że przeżyłaś szok...

Pokręciła głową. Co on wie!

- Nic mnie już z nią nie łączy - ciągnął. - Moje małżeństwo od wielu miesięcy jest w stanie totalnego rozkładu. Przyrzekam, że od niej odejdę. Wiem, że to jeden wielki banał, nawet dla takiego króla banałów jak ja, ale mówimy o nas. Jeśli choć w połowie zależy ci na mnie, tak jak mnie na tobie, zrozumiesz, do czego zmierzam. Przysięgam, że nie kłamałem z rozmysłem.

Lizzie raz po raz ocierała łzy, które uparcie spływały po policzkach. Nie umiała powiedzieć, co czuje. Powinna wrzeszczeć i awanturować się albo przynajmniej rzucić w niego szklanką i oblać szampanem, ale była jak otepiała. Siedziała nieruchomo, sparaliżowana od stóp do głów. Poraziło ją, i tyle.

- Clare znienawidzi mnie... - myślał głośno Matt. Zachował się jak krety. - Chętnie zawiózłbym cię do domu, przygotował kąpiel, zaparzył herbatę i próbował wytłumaczyć...

- Ale nie chcesz narażać się żonie, bo zrobi ci szlaban? Och, daruj sobie, Matt. Nie jestem aż taka głupia. - Lizzie pokręciła głową, bo powoli uświadamiała sobie całą prawdę. - A może jestem? I pomyśleć tylko, że uważałam cię za prawdziwy unikat wśród facetów, niemal za skarb. - Jej głos cichł stopniowo, jakby mówiła do siebie.

- I wcale się nie myliłaś. Taki będę. Wyjątkowy. Przekonasz się. Przyrzekam. - Matt zajął jej w oczy, ale patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. Spojrzenie miała puste. - Strasznie mi przykro. Chciałem inaczej wyznać ci prawdę i bałem się tej chwili, a teraz wszystko zepsułem. Jeśli to będzie dla ciebie jakimś pocieszeniem, powiem ci tylko, że chyba zmarnowałem sobie życie. - Matt daremnie próbował się uśmiechnąć. - Liz, chcę z tobą być. Wiem, że jeszcze za wcześnie na takie wyznania, ale kocham cię do szaleństwa. Jesteś niezwykła...

Lizzie słuchała go z roztargnieniem. Wydawało jej się, że to senny koszmar. Może zaraz się obudzi?

- Zadzwoń jutro... - Matt pochylił się nad blatem stolika, czule pocałował ją w policzek i wstał. Nie musiał spoglądać w stronę baru, aby wiedzieć, że Clare czeka tam, przesywając go spojrzeniami ostrymi niczym sztylety.

Clare objęła przyjaciółkę, która rozplęnęła się we łzach. Była na skraju rozpacz, ale poczuła się nieco lepiej, bo nie musiała już sama zmagać się ze swoim nieszczęściem. Szlochała w domu na ramieniu Clare.

- Już dobrze, dobrze. Wypłacz się, kochanie.

- Ma żonę.

- Rozumiem. Cholera. - Clare była wściekła.

- Powiedział, że od wielu miesięcy nic ich nie łączy. Ale skąd mam wiedzieć, czy nie ściemnia? Wysłałam na kompletną idiotkę...

- Daj spokój, kochanie. Z nimi tak zawsze. Obiecywał ci, że ją rzuci? Nie do wiary. Cała ta jego gadka to obelga dla twojej inteligencji.

Normalka. Clare nawet nie próbowała zdobyć się na obiektywizm. W jej świecie mężczyźni zawsze byli winni, dopóki nie udowodnili swojej niewinności, a proces rzadko bywał uczciwy. Matt sam sobie założył stryczek na szyję.

- Powinam była przewidzieć...

Lizzie wciąż szlochała, świadoma, że nie radzi sobie z problemem. Z drugiej strony każdy ma prawo do chwili słabości. Wkrótce jednak do głosu doszło pozytywne myślenie.

- Może wszystko się ułoży? Powiedział, że mnie kocha. Clare była na nią wściekła za to dziecinne gadanie.

- Do jasnej cholery, Liz, przestań się wygłupiać! Facet udawał, że jest wolny, a teraz zapewne ma ci w głowie, obiecując, że zostawi żonę.

- Powinam go wysłuchać. Tylko z nim porozmawiam. Wiem, gdzie mieszka. W informacji dadzą mi numer telefonu. Chyba zadzwonię.

- A jeśli żona odbierze? - Clare pożałowała natychmiast pogardliwego tonu.

Lizzie znowu się rozkleiła, i to przez nią. Od tej chwili rozmawiały spokojniej.

Lizzie opadła na kanapę w salonie, mocno ściskając telefoniczną słuchawkę.

- Żonatym facetom powinno się z urzędu tatuować obrączkę na serdecznym palcu. Ten twój nie nosił swojej, chociaż powinien - oznajmiła mściwie Clare.

- Pewnie od początku tego nie robił. Wielu mężczyzn uważa, że to biżuteria, a podobno jedyny złoty gadżet pasujący do faceta z klasą to stalówka markowego pióra. Niektórzy są na tym punkcie mocno przewrażliwieni.

- Niektórzy zapominają o potrzebie wierności. Marzy im się mały skok w bok. Wiadomo, że tacy nie przestrzegają żadnych zasad.

- Ale nie Matt. On jest inny. - Samotna łza spłynęła po policzku Lizzie. Julia Roberts ani Meg Ryan nie zagrałyby tego lepiej.

Clare coraz bardziej się irytowała, że Lizzie najwyraźniej nie jest w stanie przyjąć do wiadomości niepodważalnych faktów. Matt niczym się nie różnił od innych facetów.

- Idź spać. Założę się, że rano spojrzysz na tę sprawę z właściwej perspektywy.

Lizzie nie tyle zasnęła, co odjechała po długotrwałym łkaniu w nadzwyczaj higroskopijną poduszkę.

Kiedy obudziła się po pamiętnej nocy, przez ułamek sekundy była szczęśliwa, ale zaraz przypomniała sobie, co zaszło. Powinna była przeczuć, że coś jest nie tak. Wszystko szło zbyt dobrze. Z doświadczenia wiedziała, że w styczniu zazwyczaj sprawy wyglądały najgorzej, jeśli chodzi o nastrój, mężczyzn i pieniądze. Daremnie się łudziła. Po raz kolejny początek roku okazał się typowy i przewidywalny. Najchętniej zapadłaby teraz w sen zimowy i obudziła się, gdy czas uleczy rany. Nie miała ochoty świadomie uczestniczyć w tym procesie.

Teoretycznie powinna machnąć ręką na kolejny nieudany związek i zająć się tym, co stanowiło jej prawdziwy żywioł, a mianowicie pomagać innym ludziom w rozwiązywaniu ich życiowych problemów, ale na razie nie była w stanie zapomnieć o swoich kłopotach.

Tak długo się nad nimi głowiła, że straciła poczucie czasu. Z ponurej zadumy wyrwał ją dzwonek telefonu. Nadal leżała w łóżku, a zasłony były zaciągnięte. Zza okien dochodził plusk deszczu. Fantastycznie. Marna pogoda to kolejny powód do depresji. Czemu wszystko sprzysięgło się przeciwko niej?

Nie miała ochoty podnieść słuchawki, ale gdyby dzwoniący nie zostawił wiadomości, zachodziłaby w głowę, kto próbował się z nią skontaktować. Z dwojga złego lepiej odebrać.

- Halo? - Rzeczowy i uprzejmy ton. Żadnych efektów specjalnych, pełna kultura.

Po drugiej stronie ktoś milczał.

- Halo?

Tym razem usłyszała równie cichy, mocno znużony głos.

- Liz? To ja. Strasznie mi przykro.

Niech diabli porwą telefony bezprzewodowe. Nie można się nawet powiesić na sznurze, gdy wszystko idzie na opak.

Miała świadomość, że powinna odłożyć słuchawkę, że nie wolno jej z nim rozmawiać, lecz ucieszyła się, gdy zadzwonił. A przynajmniej przez moment tak jej się wydawało.

- Liz... Jesteś tam?

- No. Która godzina?

- Za dziesięć dwunasta. Jeszcze nie wstałaś? Przeciągnęła się, aby poczuć, że nadal ma ciało, a nie tylko ciężką głowę spoczywającą na poduszce. Zwinęła się w kłębek.

- Aha. Nie mam po co wstać.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna tego mówić, bo się obnaża i daje do zrozumienia, że wciąż jej na nim zależy. Ale stało się. I tak nie może być gorzej niż wczoraj wieczorem. Skoro Matt chce złamać jej serce, może je całkiem sponiewierać, nim odejdzie w siną dal. Wtedy trzeba się będzie pozbierać.

- Powinienem był wyznać ci prawdę w taksówce, pierwszego wieczoru, ale zależało mi na kolejnym spotkaniu. Postąpiłem samolubnie, ale to ze strachu. Bardzo proszę, chodźmy razem na obiad. Nieustannie zastanawiałem się nad tym wszystkim. Setki razy układałem sobie w głowie to wyznanie, ale wczoraj wieczorem byłem zbity z tropu i wszystko mi się rozsypało.

Gdy Lizzie słuchała jego głosu, ogarnął ją dziwny spokój. Chętnie cofnęłaby czas, wracając do wczorajszego ranka, ale sytuacja zmieniła się nieodwołalnie. Tyle było pytań, ale nie miała ochoty słuchać odpowiedzi. To na nic.

- Wybacz, Matt, ale moim zdaniem ta rozmowa nie ma sensu. Z nami koniec. Jest wiele powodów. - Jeszcze mocniej wtuliła głowę w poduszkę, chociaż przed chwilą wydawało jej się, że to niemożliwe.

- Wiem, że musisz tak odpowiedzieć, żeby ocalić swoją dumę i poczucie godności. Potraktowałem cię haniebnie, więc potrzebujesz czasu, żeby się z tym uporać, ale mam nadzieję, że w końcu potrafisz mi wybaczyć.

Zapadła cisza. Matt czekał, aż Lizzie się odezwie. Niech coś powie. Cokolwiek. Problem w tym, że nie była w stanie wykrztusić słowa. Wobec totalnego braku reakcji Matt postanowił mówić dalej. Na wypadek gdyby nie przyjęła zaproszenia na obiad, zapewne to jego ostatnia szansa, żeby wyznać, co mu leży na sercu. Z drugiej strony miał świadomość, że sam jest sobie winien i dla dobra sprawy gotów był znieść znacznie większe upokorzenia.

- Na pewno otrzymywałaś listy od ludzi, którzy znaleźli się w sytuacji takiej jak moja. Wielu facetów tkwi w małżeństwie bez miłości, ponieważ łatwiej jest zostać, niż rozwalić stary układ. Zdaję sobie sprawę, że wyglądam na konformistę, ponieważ dawno powinienem odejść. Ona się zmieniła. Nie jest już tą samą osobą, którą przysiągłem kochać i szanować, więc postanowiłem ją zostawić. Wiem, że krótko się znamy, ale moim zdaniem nasz związek dobrze rokuje na przyszłość, więc jest o co walczyć. Mimo najlepszych chęci nie powiedziałem ci prawdy na samym początku, dlatego że po prostu nie byłem w stanie. Bałem się ryzyka, bo tak wiele mogliśmy zyskać. Proszę tylko o kolejną szansę. Mam nadzieję, że z czasem zdołam cię przekonać, abyś mi wybaczyła.

Perorował jak bohater klasycznej tragedii. Desperacko pragnęła mu uwierzyć, ale im dłużej myślała o nim jako o człowieku żonatym, który przed laty poślubił konkretną kobietę i do dziś dzieli z nią łóżko oraz szafę, tym trudniejsze stawało się zaufanie.

Ciekawe, czy nadal ze sobą sypiają. Jeśli tak, czy jest im dobrze? Może na narty pojechali we dwoje? Lizzie chciała wiedzieć takie rzeczy, a zarazem bała się usłyszeć odpowiedź na swoje pytania. Może była kolejną z wielu kochanek - substytutem kochanej



żoneczki. Pewnie tak. Z listów aż za dobrze znała ten życiowy scenariusz, pojawiający się również w telefonach od słuchaczy. Zdawała sobie sprawę, że przez takie afery ludzie wylewają morze łez. Nie zamierzała w pojedynkę naprawiać świata, ale miała swoje zasady.

Matt czekał na odpowiedź.

Pewnie by ją dostał, gdyby Lizzie była w stanie mówić. Woląca nie ryzykować, że usłyszy głośny szloch.

Milczała, a jej odczucia zmieniały się jak w kalejdoskopie. Była przygnębiona, potem wściekła. Na niego. Na samą siebie, bo nie wyczuła sprawy. Rozczarowana. Nieufna. Znużona. A jeśli chodzi o odpowiedź na propozycję Matta, zdołała wydusić z siebie tylko nieartykułowany pomruk albo jęk, a potem głębokie, pełne goryczy westchnienie.

Była żalosna. Powinna okazać większą siłę i stanowczość, zdobyć się na uszczypliwy ton, a nawet rzucić obraźliwy komentarz. Nie potrafiła.

- Posłuchaj, Liz. Serce mi się kraje, kiedy jesteś taka przygnębiona. - Na miłość boską, co on narobił? Ukochana płacze. Z jego winy.

- Nic mi nie będzie. - Przerwa na mruganie powiekami i głęboki oddech, aby przekonać samą siebie, że wszystko jest w porządku.

- Jasne. A ja jestem Harry Potter.

- Nie martw się o mnie. Wrócę do równowagi. - Lizzie wiedziała, co mówi. W końcu się uda. Za jakiś czas. Nie obejdzie się pewnie bez kilku butelek.

- Zrozum, nie musisz borykać się z tym sama. Błagam, spotkajmy się. Zjemy tylko obiad. Żadnych dodatkowych atrakcji. Wystarczy mi rozmowa. Obiecuję znaleźć jakiś cichy lokal.

- Ale nie dziś.

- Może jutro?

- Zgoda.

- Świetnie. Zadzwoń rano i powiem ci, co proponuję. Dzięki, Liz. Kocham cię.

To dziwne, ale po rozmowie z Mattem Lizzie nabrała otuchy. Miała nadzieję, że Clare wyszła już do pracy. Nie mogła wyznać kobiecie gotowej spalić na stosie wszystkie kochanki, że w pełni świadomie umówiła się na obiad z żonatym facetem. Na szczęście jedną z zalet wieku dojrzałego jest prawo do popełniania życiowych błędów na własny rachunek.

Od rozmowy z Mattem minęły niespełna dwadzieścia cztery godziny, a Lizzie zdążyła już zjeść porcję lasagne, która wystarczyłaby za dwa obiady, oraz wielkie pudełko czekoladek. Przez cały ten czas niewidzącym wzrokiem często spoglądała w dal. Pod tym względem nawet zagapiony i zbolący Hugh Grant nie mógłby jej dorównać. W środę rano obudziła się bardzo wcześnie i nie mogła zasnąć. Na długo przed świtem umyta i ubrana poszła do gabinetu.

Od soboty nie włączała komputera, więc postanowiła zacząć od przejrzania poczty, żeby powoli wdrożyć się znowu do pracy. Dostała dwadzieścia trzy wiadomości. Po skasowaniu reklam, łańcuszków szczęścia oraz innych śmieci zostało piętnaście.

Trzy z nich wysłała anonimowa czytelniczka, której list został niedawno opublikowany. Miała na imię Rachel. Od pewnego czasu prowadziły ożywioną korespondencję. Nietypowa wymiana myśli stanowiła dla Lizzie chwilę oddechu. Nie chodziło już o udzielanie porad. Emailową znajomość wypadaloby z braku lepszego słowa nazwać przyjaźnią, o ile przyjaciółką może być osoba, której nigdy się nie widziało. Ostatni list Rachel przyszedł o 22:12. Pracowita kobieta.

*Wszystko w porządku? Zapewne jesteś zawałona robotą. Wierz mi, dobrze znam tę przypadłość. Odzywam się, ponieważ od trzech dni nie dałaś znaku życia, a mamy już luty. jak ten czas leci! U mnie standard:*

*istne szaleństwo. Tylko nie marudź! Zadzwońłam do Eurostar, a raczej kazałam to zrobić sekretarce. Wczoraj. Pierwszy krok we właściwym kierunku. Rób listę restauracji z romantyczną atmosferą.*

*R*

Lizzie postanowiła natychmiast odpowiedzieć Rachel. Cieszyła się z korespondencyjnej przyjaźni. Nowa znajoma wiedziała o niej jedynie to, co wyczytała z listów.

*Cześć, R!*

*Bez obaw. Jeszcze żyję, lecz trochę się nad sobą roztkliwiam, bo mój ostatni związek, który dobrze się zapowiadał, przeżywa kryzys. Normalka, więc nie powinnam się dziwić, a jednak ta sytuacja mnie zaskoczyła. Dość narzekań. Redaktorka działu porad, głównie*

*sercowych, powinna mieć twardą skórę, myśleć pozytywnie i niczym się nie przejmować. Mam nadzieję, że Twoja kampania nabiera rumieńców. Nie mogę się doczekać Twoich spotów. Kiedy zaczynacie?*

L

Gdy chodziło o sprawy osobiste, Lizzie była dosyć skryta. Korespondencja z Rachel łączyła się z pracą, a płacono jej przecież za udzielanie rad, nie za prywatne zwierzenia. Wysłała list. Było dopiero pół do siódmej.

Do dziewiątej odpowiedziała na wszystkie prywatne emaile i wydrukowała teksty, żeby je umieścić w archiwum. Przejrzała też listy czytelników i zanotowała kilka pomysłów do wykorzystania w swojej rubryce. Mimo trosk trochę się rozpogodziła. Niedawne kłopoty wydawały się jej coraz bardziej oderwane od rzeczywistości, jakby miała nadzieję, że nowinę o żonie Matta usłyszała w koszmarnym śnie wywołanym ciężko strawną kolacją.

09:17. Sygnał, że przyszedł kolejny list. Korespondencja się ożywiła.

*Współczuję, że ostatnio kiepsko u Ciebie, lecz dobrze wiedzieć, że nie jesteś stuprocentowo odporna na kłopoty osobiste. My, zwykli życiowi nieudacznicy, od razu czujemy się lepiej. Potraktuj tę wpadkę jako doświadczenie zawodowe. Teraz wiesz, przez co przechodzi większość z nas. Godne podziwu (a zarazem trochę przerażające), że o 6:36 siedzisz przed komputerem, jak to robisz? Ja wciąż czekam, aż druga kawa mnie obudzi.*

*W pracy urwanie głowy. Na razie nie ma szans, żeby spoty kinowe i telewizyjne oraz plakaty szybko się pokazały. Kryzys osobisty w toku. Na razie nie oczekuję kolejnych rad, ale fajnie było wyrzucić to z siebie. Wydaje się, że on i ja z każdą godziną oddalamy się od siebie, jestem niemal pewna, że ma romans. Wiem, że są małżeństwa, które stale wybaczą i zapominają, ale mnie to nie pasuje. Pełny luz w małżeństwie mierzi mnie i przeraża jak skoki na bungee. Przyznaję, że mimo pozorów wcale nie jestem kobietą wyzwoloną, co by wynikało z mojego życiorysu. Wystarczy jednak poznać kilka faktów z mego życia i uruchomić szare komórki, żeby rozszyfrować te zależności.*

*Miałam wtedy dwanaście lat, lecz doskonale pamiętam dzień, gdy mama odkryła, że tata znalazł sobie kochankę. Nadal byli razem. Wiadomo: ślubowali sobie na dobre i na złe, brali też pod uwagę dobro dziecka. Żyli pod jednym dachem do śmierci ojca, ale mama nie darowała mu zdrady. Przyrzekłam sobie, że nie pozwolę, aby mnie przytrafiło się coś takiego. Na szczęście nie mamy dzieci, więc to zmartwienie odpada. Teraz jednak najbardziej mnie boli, że prawdopodobnie sama go do siebie zniechęciłam. Pytanie za milion dolarów: czy*

*potrafiłabym wybaczyć mu zdradę? Odpowiedzi na kartkach pocztowych. No, pora wziąć się do roboty.*

*R*

Dzieci. Czy Matt ma dzieci? Może jest nie tylko mężem, lecz i tatą? Lizzie dodała to pytanie do swej listy wątpliwości. Każde z nich stanowiło powód do niepokoju. Podczas wspólnego obiadu trzeba go wypytać. Zaczęła pisać odpowiedź na list Rachel.

*Szkoda, że nie wszystko układa się po Twojej myśli. Moja rada, zawodowa i prywatna: nie odkładaj niczego na później i natychmiast zacznij z nim rozmawiać. Nie obawiaj się porażki, jeśli naprawdę go kochasz i chcesz, żeby wszystko się ułożyło, powiedz mu o tym. W tej sprawie jest wiele niejasności. Zapewne trudno się z tym pogodzić, ale oboje jesteście winni. Jeśli dla was obojga uratowanie małżeństwa jest ważną sprawą, przetrwacie tę burzę. Myśl o przyszłości, zapomnij o dumie i poczuciu winy. Tylko wy dwoje macie świadomość, jak dawniej było między wami, czy potraficie to odzyskać i czy jest o co walczyć. Głowa do góry i naprzód! Trzymam kciuki. Milej środy.*

*L*

Odpowiedź przyszła natychmiast.

*Nie owijasz w bawełnę! Ale dzięki. Jak zwykle masz rację.*

*R*

Clare zajrzała do gabinetu o 10:28. Przyniosła kubek herbaty i miseczkę herbatników w czekoladzie. W jej ocenie emocjonalne zawirowania wymagały stanowczych działań, więc wspólnie z przyjaciółką zrobiła wczoraj zakupy, żeby w kredensie nie zabrakło jej ulubionych smakołyków. Obawy były przedwczesne. Lizzie rzadko traciła apetyt. Z drugiej strony jednak ostatnia paczka herbatników przetrwała dziwnie długo, czyli pół dnia. Jeśli chodzi o ciasteczka, dla Lizzie to niemal wieczność. Takie symptomy źle wróżyły na przyszłość.

- Spanie wyszło z mody? - Clare unikała niebezpiecznych tematów z obawy, że Lizzie zacznie płakać. Szczerze mówiąc, wachlarz tych, które mogła poruszać, był mocno ograniczony.

- Obudziłam się przed świtem i uznałam, że trzeba pożytecznie spędzić rano,

zwłaszcza że wczoraj cały dzień siedziałam z oczami w słup albo oglądałam czarnobiałe filmy na wideo. Czasami myślę, że nasza egzystencja stałaby się o wiele prostsza, gdyby wszystko było czarnobiałe. - Lizzie popadła w ponure zamyślenie, lecz Clare najwyraźniej nie miała ochoty na takie rozważania, więc puściła jej słowa mimo uszu. Interesowały ją wyłącznie konkrety.

- Nie zapominaj, że wczoraj prowadziłaś audycję. Czy to nie jest praca? Czasami mam wrażenie, że sama najbardziej sobie dowalasz.

Wczoraj wieczorem Lizzie wzięła się w garść i usiadła przed mikrofonem. Szczerze mówiąc, poczuła ulgę, bo musiała skupić się na pracy, więc chwilowo zapomniała o swoich problemach.

- No tak. Dzięki za herbatę.

- Nie ma za co. Posłuchaj, wychodzę za kilka minut. Przed popołudniowym szczytem mam jeszcze do załatwienia parę spraw. Radzę ci włączyć automatyczną sekretarkę i darować sobie odbieranie telefonów. Chyba nie chcesz narażać się na przykre niespodzianki.

- Nie mam mu nic do powiedzenia - odparła Lizzie ze smutnym uśmiechem. - Było, minęło, prawda?

Miała nadzieję, że Clare wyjdzie z domu, nim Matt zadzwoni, żeby ostatecznie ustalić, gdzie i kiedy mają się zobaczyć. Nie wspomniała o planowanym spotkaniu z obawy, że zostanie zamknięta na klucz w schowku na odkurzacz. Clare bez wahania udaremniłaby nielegalną randkę. Tymczasem jednak była zadowolona, że Lizzie potakuje i sprawia wrażenie pogodzonej z losem.

- To rozumiem. Wiem, że nie jest ci łatwo, ale to jedyny sposób.

- Aha. - Lizzie udawała, że jest zaabsorbowana listami od czytelników. Czowała się podle, oszukując przyjaciółkę, która była jej bliska jak siostra. Z drugiej strony jednak lepiej się nie wrywać, bo nie wiadomo, czy Matt w ogóle zadzwoni, a wtedy problem sam się rozwiąże. Lizzie uświadomiła sobie, że Clare stoi w drzwiach i uważnie jej się przygląda.

- Clare?

- Tak?

- Przestań się nade mną litować. To nie do zniesienia.

- Nie mów głupstw. Właśnie pomyślałam, że jesteś bardzo dzielna, choć przeżywasz trudne chwile.

Co ona wie? Trudne chwile, dobre sobie. Przecież to życiowy kataklizm!

Clare podeszła bliżej i matczynym gestem pogłaskała Lizzie po głowie. Była niemal pewna, że biedactwo wybuchnie płaczem, ledwie usłyszy trzask zamykanych frontowych

drzwi. Jakie to denerwujące, że poza okazywaniem współczucia nic się nie da zrobić.

- Uważaj na siebie. Gdybym ci była potrzebna, wiesz, gdzie mnie szukać. Widzę, że rano umyłaś włosy. I bardzo dobrze. Nareszcie wyglądasz jak człowiek i od razu masz lepsze samopoczucie. Całuski. Pa, kochanie.

Lizzie odczekała, aż trzasną frontowe drzwi i wrzuciła herbatniki do metalowej puszki. Zostaną na później. Czowała się zagubiona i mocno zdołowana, ale to nie oznacza, że ma tyć.

Kilka minut później zadzwonił telefon, jakby Matt wyczuł, że Clare już wyszła. Zgodnie z obietnicą zarezerwował stolik w cichej restauracji w Richmond i obiecał, że jadąc tam, wpadnie po Lizzie.

Milczeli w taksówce, jakby poważną rozmowę odkładali do momentu, aż usiądą przy stole, a zwykle pogaduszki zgodnie uznali za objaw hipokryzji. Lizzie zajrzała do torebki i z ulgą stwierdziła, że ma ciemne okulary. Dzień nie był przesadnie słoneczny, ale po wyjściu z restauracji mogą się okazać potrzebne.

Matt wydawał się zmęczony. Oczy pozbawione blasku, twarz pociągła i wymizerowana, skóra... po prostu szara. Gdy zajęli miejsca przy stoliku, wyciągnął rękę i ujął dłoń Lizzie.

- Strasznie mi przykro. Nie masz pojęcia, jak bardzo. Dałbym wszystko, żeby można było cofnąć czas. Wtedy na samym początku wyznałbym ci całą prawdę, jak wcześniej planowałem.

Gdyby mi wszystko powiedział, zastanawiała się Lizzie, czy zgodziłabym się z nim umówić? Trudne pytanie. Chyba nie. W takim wypadku nie wiedziałyby nawet, co traci. W pewnym sensie rozumiała, dlaczego Matt ściemniał. Zreflektowała się natychmiast, powtarzając sobie, że ją zwodził, oszukiwał i kłamał, co było nie do przyjęcia... ale jej schlebiało.

- Dzięki, że zgodziłaś się na spotkanie. Chciałem tylko ustalić fakty, a także uświadomić ci, co czuję, i wytłumaczyć się. Miałem najlepsze intencje...

Lizzie nagle pobladła i szeroko otworzyła oczy. Uniosła rękę i odgarnęła włosy do tyłu. Matt był zbity z tropu. Przecież nic takiego nie powiedział. Same ogólniki. Nagle zerwała się na równe nogi z fałszywym uśmiechem przyklepionym do twarzy. I Patrzyła w głąb sali. Matt zerknął w tę samą stronę.

Uwaga! Świat jest mały. Znajomi na horyzoncie. Zupełnie nie w porę. Fajna laska, zgrabna jak Elizabeth Hurley, szła ku nim w towarzystwie dobrze ubranej starszej pani, której rysy kogoś mu przypominały.

- Kochanie! - zawołała elegancka matrona, a potem odwróciła się do urodziwej dziewczyny. - No widzisz! A nie mówiłam? Cóż za niesamowity zbieg okoliczności. Od razu cię poznałam, Lizzie, natomiast Alex próbowała mi wmówić, że siedzisz przy komputerze i pracujesz zamiast włóczyć się po restauracjach. Ale ja wiem swoje. Nowy sweterek? Bardzo ładny. Do twarzy ci w tym kolorze. Śliczna apaszka. Gdzie ją kupiłaś?

Lizzie patrzyła na matkę. Nie ma co, ukochana rodzicielka fatalny wybrała sobie moment na sprawdzanie metki przy jedwabnej chusteczce. Lizzie pochyliła się i pocałowała ją w policzek. Starsza pani straciła impet.

- Masz dużo pracy? - Czy to Alex przybrała kpiącą minę, czy też Lizzie miała wyrzuty sumienia i czuła się winna?

- Mamo, Alex, co za niespodzianka!

Matt wstrzymał oddech. Matka Lizzie. I sławetna Alex. Wiele o niej słyszał. To osobliwe, ale na pierwszy rzut oka naprawdę sprawiała wrażenie chodzącej doskonałości. Nie wyglądała na kobietę po dwu porodach. Matt nie wiedział, gdzie oczy podziać. Zastanawiał się, czy rodzina Lizzie wie o nim. A może tkwią w błogiej nieświadomości? Postanowił czekać na wskazówki.

- Robocze spotkanie przy dobrym obiedzie? - Podekscytowana Annie Ford niemal zacierała ręce.

- Owszem. Wy także postanowiliście tu zjeść? - Lizzie modliła się w duchu, żeby się im spieszyło. Niech sobie idą. Nic tu po nich.

- Niestety, nie.

Lizzie poczuła ulgę. Dla niej była to dobra nowina.

- Wpadliśmy tylko na kawę - ciągnęła Annie - i miałyśmy już wyjść, gdy zobaczyliśmy ciebie.

- Annie, na nas już pora. Za dziesięć minut muszę odebrać Josha i odjechać z parkingu. Muszę być na czas, bo moje dziecko uzna, że je opuściłam.

Lizzie chętnie wycalowałaby szwagierkę, ale matka ani myślała odejść. Zerknęła na Matta, najwyraźniej oczekując, że zostanie jej przedstawiony. Lizzie musiała dokonać szybkiej prezentacji.

- Przepraszam. Co za nietakt! - Spojrzała na niego niemal przepraszająco. - To jest David. Pracuje w agencji reklamowej, która promuje City FM.

Matt alias David rozpromienił się natychmiast. Lizzie niepotrzebnie się obawiała, że zawiedzie. Miał przecież doświadczenie i potrafił kłamać jak z nut.

- Miło cię poznać, Davidzie.

- Mam przyjemność z... - Matt zawiesił głos.

- Jestem Annie. Annie Ford, matka Lizzie.

- Po prostu niemożliwe! Jest pani za młoda. Nie wygląda pani na jej mamę.

Lizzie była zadowolona, że zmieniła mu imię. Wstyd się przyznać, że jest zakochana w facecie, który publicznie wygaduje takie idiotyzmy. Z drugiej strony jednak rozpromieniona twarz Annie stanowiła widomy dowód, że komplement się spodobał.

Nalegania zniecierpliwionej Alex sprawiły, że panie wkrótce pożegnały się i wyszły. Lizzie i Matt przezornie odczekali, aż zamkną za sobą drzwi lokalu.



- Przepraszam, Liz. Skąd miałem wiedzieć, że twoja mama mieszka w Richmond?

- Nie mieszka. Pewnie na cały dzień urwała się ze swego Hampstead. Sądziś, że coś podejrzewają? Idę o zakład, że Alex wie, co jest grane. Miała dziwny błysk w oku.

- Niby co ma wiedzieć? Przecież nic szczególnego się nie dzieje, prawda? Nie przypuszczam, żebyś wcześniej opowiadała najbliższym o tajemniczym Davidzie z agencji reklamowej.

- Skądże! Ale ty nie znasz mojej rodziny. Taki drobiazg jak zmienione imię to dla nich żadna przeszkoda. Cholera jasna. Plotki mogą dojść nawet do Clare. Ma głowę nie od parady, więc szybko się zorientuje. - Przez moment Lizzie rozważała mnóstwo niefortunnych wariantów.

- Nawiasem mówiąc, obie panie robią bardzo miłe wrażenie. Miałaś rację co do Alex. Jest super, ale trochę zbyt wymuskana jak na mój gust.

Istna paranoja! Lizzie żałowała teraz, że zgodziła się na spotkanie. Nie powinna tu przychodzić.

Oboje zamilkli, odpoczywając po niespodziewanej konfrontacji, która wytrąciła ich z równowagi. Matt otrząsnął się pierwszy.

- Liz, wróćmy do naszych spraw. Zrozum, w gruncie rzeczy...

- Matt - przerwała, nim zaczął się tłumaczyć - nic z tego nie będzie. Jesteś żonaty. Domyślam się, że masz dzieci.

- Nie. Żadnych dzieci. Z żoną nic mnie już nie łączy. Naprawdę? Lizzie miała ochotę zapytać, kiedy ostatnio spali ze sobą. Chciała się tego dowiedzieć, ale potem zmieniła zdanie.

- Tak czy inaczej ożeniłeś się z tamtą kobietą. Ona zapewne o nas nie wie. - Lizzie spojrzała Mattowi prosto w oczy. Popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Nie musiał odpowiadać. Domyśliła się prawdy. - Z mego doświadczenia wynika, że twoja żona szuka sposobu, żeby uratować małżeństwo. Przypuszczam, że nadal regularnie z nią sypiasz.

- Ależ skąd! Naprawdę uważasz, że byłbym do tego zdolny? W tej chwili Lizzie nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Matt ujął jej rękę w obie dłonie i ścisnął mocno, szukając odpowiednich słów. Lizzie odezwała się pierwsza.

- W głowie mi nie postało, że możesz tak ściemniać... aż do poniedziałku. - Nie potrafiła walczyć o swoje z nieznajomą. Poza tym nie miała ochoty na takie zmagania. Koniec, kropka. Zasługiwała na mężczyznę, który będzie należeć wyłącznie do niej.

- Powiem jej i odejdę. - Matt usłyszał swój głuchy, bezbarwny głos.

A więc jego żona jeszcze nie wie, pomyślała Lizzie. Clare jak zwykle miała rację. Normalka. Facet chce zjeść ciastko i je mieć.

- Gdybyś mnie nie spotkał, zostałbyś z nią, prawda? Co ja gadam? Przecież nadal z nią jesteś. Chodzi mi o to, że nie odszedłeś... nie zamierzałeś odejść... Mniejsza z tym.

Długo milczeli.

- Raczej nie. - Matt westchnął. - Byłem pogodzony z losem. Uznałem, że złe małżeństwo jest lepsze od samotności. Kiedy poznałem ciebie, zrozumiałem, że w ogóle nie powinienem się z nią zenić, ale wśród naszych znajomych było parę lat obfitujących w śluby, więc poszliśmy za przykładem. Trudno powiedzieć, żebyśmy nie mogli bez siebie żyć. To raczej kwestia przyzwyczajenia. Oczywiście lubiłem ją, ba, nawet kochałem. Brałem ślub, wierząc, że będziemy razem do końca życia. Gdybym miał wątpliwości, chyba bym się nie zdecydował. Ale ona się zmieniła. Ważna jest dla niej tylko praca, wysokie zarobki, markowe ciuchy, opinie innych ludzi, ale na mnie już jej nie zależy... prawie wcale. Interesują ją głównie moje pobory. Przyznaję, że próbowałem ratować nasz związek. Chciałem, żebyśmy się dogadali. Jestem uparty i nie lubię przegrywać. Wiem, że małżeństwo nie jest sielanką. Moi rodzice nadal są razem, bo w przeszłości bardzo się starali, żeby uzdrowić sytuację. Ale ona mnie w ogóle nie słucha. Nie potrafiła albo nie chciała popatrzeć na sprawy z mego punktu widzenia. Ty znasz mnie lepiej niż ona.

- Do niedawna rzeczywiście sądziłam, że sporo o tobie wiem.

- Bo tak jest. Naprawdę. Oboje cierpimy. Dlaczego? Bo powinniśmy być razem. Teraz boję się, że wszystko zepsułem, nim nadarzyła nam się sposobność, żeby spróbować. - Matt poczuł ucisk w gardle i palące łzy pod powiekami.

- A jeśli żona nadal cię kocha, lecz jest zbyt dumna, żeby się do tego przyznać? - Lizzie pomyślała o emailach od Rachel. - Dostaję listy od ludzi będących w podobnej sytuacji.

- Skoro mnie kocha, dziwny wybrała sposób, żeby mi to okazać. Zastanów się, Liz. Znasz dobrze takie sytuacje, oglądałaś je ze wszystkich stron.

- Nie chcę być przyczyną rozpadu twojego małżeństwa. Jeśli nie ma czego ratować, odejdz. Jeśli istnieje jakaś szansa, zostań. Nie decyduj pod wpływem przelotnej zachcianki. Wyprowadź się, o ile to dla ciebie korzystne. Nie powinieneś uzależniać decyzji od tego, czy będę z tobą, czy też nie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - W głosie Matta zabrzmiał ton paniki.

- Doskonale wiesz, że mi trudno, ale sprawa dotyczy nie tylko nas obojga. Myślę o tym, jak bym się czuła, będąc na miejscu twojej żony. Nie ma gwarancji, że każde małżeństwo przetrwa kryzysy. Nie muszę ci mówić, że marzy mi się szczęśliwe zakończenie. Byłoby cudownie, gdybyśmy we dwoje pogalopowali w kierunku zachodzącego słońca, ale to

nie film, tylko rzeczywistość. Oboje pracujemy i ważna jest dla nas zawodowa kariera. Ty masz żonę, ja - zasady.

- Ja również. Wcale nie próbuję wymienić jej na nowszy model. Przecież to bzdura. Chcę tylko, żebyśmy byli razem. Liz, błagam...

Matt pobladł. Wyglądał okropnie. Lizzie przestraszona, że coś mu się stanie, powiedziała łagodniejszym tonem:

- Posłuchaj. Dla mnie to wszystko jest równie trudne, pod każdym względem. Wiesz, jak bardzo mi na tobie zależy. Nie mogę spać. Straciłam apetyt. Ta sytuacja mnie przerasta. Ale nie chcę być twoją kochanką.

- Wiem...

- Od trzydziestu sześciu godzin obsesyjnie myślę, że jestem tą trzecią. Najgorzej jest w kiosku z gazetami. Od razu wyłapuję wszystkie tytuły dotyczące romansów, zdrady, niewierności, trójkątów małżeńskich. Zapewne od lat o tym pisano, ale przedtem nie zwracałam uwagi na takie artykuły, bo mnie nie dotyczyły. Teraz stały się moją obsesją. Jako kochanka czuję się napiętnowana i wyrzucona poza nawias społeczeństwa. Nie mogę tak żyć. Wszystko mnie boli. To niesprawiedliwe.

- Przepraszam. Naprawdę sądziłem, że nam się uda. I ja też, pomyślała Lizzie.

Prawie nie tknęli zamówionych dań. Zmienili temat i rozmawiali o błahostkach, unikając najważniejszej kwestii.

Gdy taksówka zatrzymała się przed domem Lizzie, Matt objął ją i mocno przytulił. Nie miał pojęcia, co będzie dalej, lecz nie chciał się z nią rozstawać.

- Może wstąpisz na kawę? - ze zdumieniem usłyszała własny głos.

Odsunął się zaskoczony, ale jego wahanie trwało zaledwie ułamek sekundy. Zapłacił taksówkarzowi i ruszył za idącą chodnikiem Lizzie, która jeszcze nie ochłonęła ze zdumienia. Co jej strzeliło do głowy? Przecież tego nie planowała. Wygląda na to, że myślała sercem, nie rozumem.

Po raz pierwszy kochała się z Mattem, w pełni świadoma, że jest żonaty, ale postanowiła sobie w duchu, że to jej nie wejdzie w krew.

Jak to mówią, dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane.

Niech przepadną różowości, czerwienie oraz wszelkie gadzety w kształcie serca. Dla Lizzie był to zwykły czwartek, ale reszta świata celebrowała dzień świętego Walentego. Uważny obserwator mógłby dojść do wniosku, że obchody tego święta trwają cały tydzień, bo od kilku dni Londyn tonął w najrozmaitszych odcieniach czerwieni. Na miłość boską, komu przyszło do głowy, żeby święto zakochanych urządzać w połowie lutego? Czy to jest odpowiedni moment, żeby wyznawać sobie dozgonną miłość? Najchłodniejszy, najbardziej mroczny czas w roku, cery blade, lekka nadwaga dla ciepła i z łakomstwa, portfele i konta puste po gwiazdkowym szaleństwie.

Lizzie zawsze uważała, że najwierniejszymi orędownikami walentynek są wydawcy pocztówek i właściciele restauracji, którzy gotowi byli na wszystko, byle sprzedać swoje produkty. Teraz jednak wszyscy używali czerwonego serduszka jako chwytu reklamowego. Optyk z Putney na przykład zachęcał do zbadania wzroku, ostrzegając, że kto tego nie zrobi, przegapi fajną laskę albo przystojnego chłopaka.

Stare dobre małżeństwa zapewniały, że nie potrzebują szczególnej okazji, żeby rozmawiać o uczuciach, natomiast reszta świata ze wstrzymanym oddechem czekała na listonosza, udając, że całe to miłosne szaleństwo niewarte jest uwagi. Kto doznał zawodu, dzwonił albo pisał do Lizzie. Na szczęście w tym roku miała audycję w sam dzień świętego Walentego, więc samotnicy łykający łzy, bo zabrakło dla nich pary i miejsca przy dwuosobowym stoliku, mogli liczyć na jej zdrowy rozsądek i wycucie proporcji. Przygotowała fajną muzyczkę. Niech George Michael na innych falach eteru szepce o zawiedzonej miłości i zebrze o przebaczenie. U niej Aretha Franklin domagać się będzie należnego respektu, zabrzmiały pochwały wolności oraz zapewnienia, że można wyjść z najgorszej opresji. Pełna kultura. Żadnych antymęskich kawałków, pochwała mądrej kobiecości i swobody wyboru.

Dzień zleciał błyskawicznie. Lizzie zmagala się z niełatwą rzeczywistością. Przez cały czas nie zaglądała do skrzynki e-mailowej, chociaż sygnał dźwiękowy odzywał się raz po raz. Odkładała przejrzenie poczty na później, ale w końcu musiała to zrobić. Zamówiona taksówka od dobrych dziesięciu minut czekała na dole, a kierowca się niecierpliwił.

Lizzie podświetliła nowe wiadomości i nacisnęła ikonę drukarki. Dzięki temu będzie je mogła przejrzeć, jadąc taksówką do studia. Nie można wykluczyć, że dostała list, który warto by znać, nim wejdzie na antenę. Gdy drukarka zaskrzeczała i wzięła się do pracy,

Lizzie pobiegła na górę po żakiet. Jakie to szczęście, że nie pracuje w telewizji, bo musiałaby godzinami układać włosy, robić makijaż, dobrać strój i właściwe dodatki. Radiowiec może usiąść przed mikrofonem w jutowym worku, jeśli ma na to ochotę, i nikt się nie zorientuje.

Wpadła do gabinetu po wydruk, błyskawicznie wyłączyła komputer, wcisnęła do torby listy, notatki oraz szalik i pomknęła do taksówki. Popatrzyła na zegarek. Punkt siódma. Jak to możliwe, skoro jeszcze niedawno była piąta trzydzieści pięć? Powinna już być na zebraniu radiowego zespołu. Gdy wskoczyła do auta, niecierpliwym gestem poklepała swoje kolano. Kierowca skręcił w główną ulicę, a Lizzie westchnęła rozpaczliwie. Korek! Kierowca do tej chwili milczał jak zaklęty. Nagle okazało się, że jest dość rozmowny.

- Okropne, co? Londyn to wielki koszmar. Z dnia na dzień jest coraz gorzej. Czasami chce mi się walnąć w tył auta stojącego przede mną, ale wiem, że to nic nie da. Zresztą prędzej czy później jakoś się dojedzie.

- Aha - mruknęła z roztargnieniem, nie chcąc, aby taksówkarz uznał, że interesuje ją ruch uliczny w wielkim mieście.

- A wszystko przez te baby w wielkich furach, proszę pani.

- Baby? W jakich furach? - spytała, mimo wszystko zaciekawiona.

- Żony nadzianych facetów. Mężowie kupują im wielkie samochody terenowe. Do takiej maszyny trzeba mieć odpowie - I dnie podejście, ale one sobie z nimi nie radzą i tamują ruch. Żal tych fajnych aut.

Lizzie z całą surowością nakazała sobie milczenie. To nie była odpowiednia pora na wykład o kobiecej godności i potrzebie równouprawnienia. Zresztą taksówkarze to beznadziejne przypadki. Ich nie da się przekonać. Wiedzą swoje i już. Lizzie miała nadzieję, że to już koniec monologu, bo dłużej nie była w stanie znosić niesprawiedliwych zarzutów wobec swojej płci.

- Rozumiem, że pani się spieszy?

- Tak. Muszę być w radiu za kwadrans ósma.

I tak wpadnie w ostatniej chwili, przepaszając cały zespół, i zdyszana usiądzie przed mikrofonem. Będzie miała zaledwie pięć minut, żeby ochłonąć.

- Dowiozę panią najszybciej, jak się da, skarbie.

Skręcił w przecznicę i zagłębił się w labirynt wąskich uliczek. Lizzie wyjęła komórkę i zadzwoniła do Bena, skarżąc się, że utknęła w korku. Miała nadzieję, że jeśli niebiosa pozwolą, przed sygnałem dotrze do studia, ale na wszelki wypadek umówiła się z Philem, dyżurnym realizatorem, że wypchną od razu pierwszą piosenkę, by zyskać na czasie. Gdyby utknęła gdzieś na dobre, miała powitać słuchaczy, łącząc się ze studiem telefonicznie.

Odetchnęła z ulgą, kiedy okazało się, że taksówkarz wybrał trasę dłuższą, ale przejezdną. Uspokojona zajęła się wydrukiem, trzymając wysoko kartki, aby wyraźnie dać mu do zrozumienia, że jest zajęta i nie należy jej przeszkadzać.

Przejrzała listy. Jeden od Rachel, jeden od Susan Sharples, naczelnej pisma, z przypomnieniem, że tekst kolumny porad powinien być na jej biurku w czwartek, porażająco głupi kawał wysłany przez jedną z dziewczyn pracujących w radiu City FM do całego zespołu oraz załącznik z ich e - mailowymi adresami, jeden list od Matta.

Lizzie pomyślała z uśmiechem, że zapomniał jej wysłać kartkę w kopercie ozdobionej czerwonym serduszkiem, lecz mimo wszystko odezwał się czternastego lutego. Zdawała sobie sprawę, że walentynki nie są teraz jego ulubionym świętem. Postanowiła wiadomość od niego zostawić sobie na koniec. Zaczęła od listu Rachel.

*L, Tylko kilka słów.*

*Staram się i nie chodzi o pracę. Przed chwilę wpadłam do domu. Przychodzi fryzjer, żeby mnie ostrzyć i uczesać. Wyblagałam też stolik w nowo otwartej restauracji nad Tamizą, koło Tower Bridge. Wszystkie renomowane czasopisma zgodnie chwala to miejsce, więc trzeba pójść. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Wkrótce się odezwę. Muszę pędzić. Steve już ostrzy nożyczki. Ten złośnik nie zechce na mnie czekać całe popołudnie!*

Lizzie z uśmiechem czytała te wynurzenia. Rachel zadbała o wszystko, i to z klasą. Oby mieli udany wieczór.

Z obowiązku przeczytała list szefowej, a potem usiadła wygodnie i zabrała się do lektury ostatniego. Nie wyglądał na walentynkowe życzenia, ale zawsze to wiadomość. Lizzie była przecież tą trzecią. Ostrożność niezbędna, ostentacja wykluczona.

*Najdroższa Lizzie, To tylko ja. Szczęśliwych walentynek, choć moim zdaniem gdyby o nas wiedział święty Walenty, pewnie nie byłby zadowolony. Podobno jest właściwie patronem młodych par oraz szczęśliwych małżeństw... no i miłości, zakochanych, miłosnej loterii, w która my teraz gramy. Wiem, że Twoim zdaniem dzisiejsze święto to czysta komercja, ale miłośniczka komedii romantycznych powinna dziś otrzymać przynajmniej jedna walentynkę.*

Lizzie uśmiechnęła się mimo woli. Matt czytał w niej jak w otwartej księdze. Krótko się znali, ale sporo już o niej wiedział.

*Chcę tylko przypomnieć, że o Tobie myślę, kocham cię i obiecuję uporządkować życiowy bałagan najszybciej, jak się da. Mam nadzieję, że w końcu wybaczysz mi, że naraziłem cię na takie nieprzyjemności.*

*Pozdrawiam serdecznie. Niedługo porozmawiamy.*

*Matt*

*PS. Pod żadnym pozorem nie odpowiadaj na ten list! Wysyłam go z jej domowego komputera, bo właśnie wyszła.*

Przed chwilą zrobiło się Lizzie ciepło na sercu, ale teraz znowu powiało chłodem. Po prostu wspaniale. Mailował do niej z ich wspólnego domu. Zapewne postanowił spędzić ten wieczór ze swoją połowicą. Lizzie była kobietą upadłą, więc walentynkowa czerwień Londynu nawet jej pasowała, ale biedną żonę czekało koszmarnie rozczarowanie. Wszyscy mówią: kocham cię, a tamta biedaczka wkrótce usłyszy, że to już koniec.

Może nie warto się tak roztkliwiać. Całkiem prawdopodobne, że jego żona też kogoś ma. Lizzie łudziła się nadzieją, że tak jest. Szkoda, że przeczytała list od Matta, bo przez niego na pewien czas zapomniała o zdrowym rozsądku. Zresztą mniejsza z tym. Trzeba się psychicznie przygotować do audycji.

Zerknęła na zielonkawe cyfry elektronicznego zegara. 19:28. Dzięki sprytowi taksówkarza i zielonej fali miała szansę dotrzeć do radia na czas. Wyjęła z torby segregator, żeby włożyć do niego dziurkowane arkusze. Kiedy je układała, coś zwróciło jej uwagę. Znieruchomiała w pół gestu.

Wyrwało jej się przeciągłe westchnienie, które dziwnie przypominało szpetne przekleństwo, ale była to jedna z tych chwil, kiedy mocne słowa są całkowicie usprawiedliwione, nawet w ustach kobiety. Tak się fatalnie złożyło, że mamrotanie Lizzie przyciągnęło uwagę taksówkarza, spragnionego kolejnej pogawędki.

- Spokojna głowa, skarbie. Zaraz będziemy na miejscu. Mówiłem pani, że zdążymy. Tony dotrzymuje słowa. Znam miasto jak własną kieszeń.

Lizzie go nie słuchała.

To niemożliwe. Serce jej kołatało. Popatrzyła na kartki. Sprawdziła raz i drugi. I trzeci.

W pierwszej chwili uznała, że to jej pomyłka, bo przy ściąganiu poczty coś pokręciła, nie po raz pierwszy zresztą. Ale nie tym razem. Wydrukowane adresy widniały przed nią czarno na białym:

Adresat: Lizzie Ford [lizzie@outloud.co.uk](mailto:lizzie@outloud.co.uk) Nadawca: [rachelb@msn.co.uk](mailto:rachelb@msn.co.uk)

Takie same jak w nagłówku wiadomości od Matta.

Stopniowo uświadamiała sobie, co to oznacza. Fale wiedzy uderzały szybko, jedna po drugiej. Po chwili ogarnął ją gwałtowny przypływ. Czowała, że tonie.

Rachel była żoną zaniedbującą męża.

Matt to mąż, którego bała się stracić.

O Rachel Matt powiedział, że przestał ją kochać.

Matt jest mężem podejrzanym przez Rachel o zdradę.

Rachel wyszła za Matta.

Matt sypiał z Lizzie.

Audycja wypadła niezłe, chociaż Lizzie miała wrażenie, że funkcjonuje jak obiekt zdalnie sterowany. Jadąc do domu, umartwiała się, wyobrażając sobie Rachel i Matta spacerujących nad Tamizą w świetle księżyca. Na pocieszenie kupiła górę chińszczyzny i zjadła wszystko, świadoma, że wieczorna bomba kaloryczna to koniec marzeń o szczupłej talii. W końcu włączyła komputer i sprawdziła adresy obu listów. Identyczne. Koniec, kropka.

Położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Przez całą noc zastanawiała się, jak wybrnąć z tego koszmaru. Nawet Houdini miałby z tym problemy, chociaż potrafił uwolnić się z każdej pułapki. Nad ranem podjęła decyzję.

Lizzie obudziła się z silnym postanowieniem, że zadzwoni do Matta i powie mu prosto z mostu: między nami wszystko skończone. Pół do jedenastej doszła jednak do wniosku, że bardziej humanitarnie będzie spotkać się z nim i porozmawiać o tej sprawie. Poza tym będzie mogła wtedy spojrzeć mu w twarz i poznać po minie, czy jej dywagacje mają sens. Powinna się usunąć, bo uzdrowienie jego małżeństwa jest niemożliwe, skoro ona stanowi główną przeszkodę. Na szczęście nie poznała Rachel. Mała ulga, ale zawsze coś.

Lizzie wymyśliła zebranie redakcyjne, aby mieć pretekst do spotkania z Mattem. Skoro była niedaleko jego biura... Zaprosiła go na kawę. Kwadrans po trzeciej już czekała. Gdyby mogła teraz zmienić zdanie, zamiast spotykać się z Mattem napisałaby listy wyjaśniające do niego, a także do Rachel i Clare. Potem zwiłaby do Australii.

Gdy uradowany wszedł do kawiarni, siedziała przy oknie, kartkując zapomniane przez gości kolorowe czasopismo.

Zamówił dużą kawę z odłuszczonego mlekiem. Lizzie sęczyła ulubione cappuccino. Czekając na kawę, niecierpliwie bębnił palcami po blacie. Nie mógł się doczekać, kiedy oznajmi Lizzie ważne nowiny. Ciekawe, jaką ona zrobi minę.

Lizzie obserwowała go podejrzliwie. Miała nadzieję, że pogodny nastrój nie jest



konsekwencją udanego wieczoru. Wiedziała, że to dziecinne, ale postanowiła wziąć go na spytki.

- Dzięki za emaila. Wieczór był przyjemny?

- Jeśli pominąć fakt, że wolałbym go spędzić z tobą, chyba mogło być gorzej. Poszliśmy razem do nowej restauracji w pobliżu Tower Bridge.

Nie zmyślał. Lizzie odetchnęła z ulgą.

- Jedzenie w porządku, lecz atmosfera z początku była dość napięta. Czuję się jak oszust, ponieważ ostatnio myślałem wyłącznie o tym, żeby się wypłatać z tego układu, a ona tak się postarała... W domu prawie nie jadamy razem, a co dopiero mówić o wspólnym wyjściu do knajpy. Przy drugiej butelce wina było już łatwiej.

- Aha.

- Łatwiej, nie przyjemniej. Miło jest tylko z tobą. Chodzi o to, że nie sprawdziły się moje najgorsze przecucia. Oczekiwałem koszmaru, a tymczasem wieczór był całkiem znośny, pewnie dlatego, że przez te wszystkie lata nzbierało się fajnych historii, więc mamy co wspominać.

Fatalne posunięcie. Matt spostrzegł, że Lizzie posmutniała. Zapędził się niechcący w ślepej uliczce. Zabrakło mu słów. Okropne uczucie.

- Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Była niesłychanie podekscytowana kolacją w modnym lokalu. Uwielbia włóczyć się po takich miejscach i bywać tam, nim inni je odkryją. Na szczęście jedzenie okazało się lepsze i konkretniejsze niż nasza konwersacja. Rozmawialiśmy o jej pracy. Ona jest na topie. Super. Zawsze pragnęła odnieść sukces. Ale dość tego. Nie chce mi się o niej gadać. Co u ciebie? Jak wypadła wczorajsza audycja?

Obdarzył ją promiennym uśmiechem zwycięzcy. Był zdecydowany udowodnić, że w końcu poradzi sobie z trudną sytuacją.

- A jeśli popełniasz błąd? Może powinieneś spróbować raz jeszcze?

Uśmiech stracił blask i stał się wymuszonym grymasem brązowego medalisty, ale Matt nie dawał za wygraną.

- Zrozum, ona nadal jest mi bliska, ale tak byłbym przywiązany do siostry, gdybym ją miał. Kocham ciebie.

- Stale mi to powtarzasz.

- Ważna nowina. Poszedłem wczoraj do adwokata. - Nie był zadowolony ze sposobu, w jaki to powiedział.

Lizzie milczała przez chwilę. Jej serce na moment przestało bić.

- I co? - odważyła się w końcu zapytać.

- Jeśli rozwiędę się z nią dla ciebie, zapewne przy podziale majątku stracę finansowo, ale jest mi wszystko jedno. Chyba sobie na to zasłużyłem. Nie ulega wątpliwości, że na długo przed naszym poznaniem wszystko szło na opak, ale zachowałem się biernie i na zasadzie bezwładności tkwiłem w chorym układzie. Co gorsza, nadal o tobie nie wspominałem. Po prostu nie mogę trafić na odpowiedni moment. Ona stale przesiaduje w pracy, robi zakupy, pije albo śpi. Przecież nie zawiadomię jej mailem, co jest grane. Nie należę do facetów, którzy odchodząc, zostawiają żonie tylko kartkę na kuchennym stole. Tak czy inaczej podjąłem decyzję, Lizzie.

Ogarnięta paniką myślała gorączkowo. Nad ranem postanowiła rozstać się z Mattem, a także skłonić jego i Rachel, żeby wspólnie ratowali swoje małżeństwo, a więc to nie jest odpowiednia chwila na jego szczere deklaracje.

- Nie musisz oznajmiać wszem i wobec, że kogoś poznałeś. Trzymaj się wersji o fundamentalnej różnicy charakterów, nieuniknionej porażce, całkowitym rozkładzie pożycia, zgoda?

- Daj spokój, Liz. Mam dość udawania. Jestem tym zmęczony. Skoro opuszczam ją dla ciebie, niech ludzie wiedzą. Co mi tam!

- Wykluczone, Matt. Zrozum, że nie chcę być powodem waszego rozstania.

Szczerze mówiąc, nie mógł pojąć, czemu jej na tym zależy. Chyba przeoczył jakiś ważny szczegół. Przypuszczał, że będzie wstrząśnięta, może trochę zaskoczona, ale jej wahanie całkiem go zaskoczyło.

- Zrozum, musisz zadać sobie pytanie, czy naprawdę chcesz się z nią rozstać. Nasz związek dopiero się zaczyna, więc moim zdaniem potrzebujesz trochę czasu i swobody, żeby podjąć ostateczne decyzje, nim ewentualnie postanowimy go kontynuować. Chodzi mi o to, że nie możesz od niej natychmiast przyjść do mnie.

Matt był całkiem zbity z tropu. Nie miał pojęcia, kiedy ich rozmowa zboczyła z wyznaczonego toru. Trudno mu było pojąć, czemu wszystko wydaje się dziś inne. Chyba powinien był kupić Lizzie jakiś upominek w kształcie serca albo coś w tym rodzaju. Czasami w ogóle nie rozumiał kobiet. Nieprawda, że są z Wenus. Przybyły z innej galaktyki. Uznał, że Lizzie różni się od nich, i rzeczywiście tak było. Dziś miała po prostu zły dzień.

- Wyluzuj, Liz, i przestań ze mnie kpić. Sama widzisz, że sprawy zaczynają się wreszcie układać. Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło, gdy uświadomiłem sobie, że niedługo uwolnię się od tego koszmaru. Z tego wszystkiego mam mętlik w głowie. Wyobraź sobie, jak przyjemnie będzie spędzić razem trochę czasu, zwinąć się w kłębek na kanapie i obejrzeć film na wideo, w niedzielny ranek poczytać gazety. Święty spokój. Żadnych emocjonalnych

wzlotów i upadków. Odrobina radości.

Lizzie przyznała w duchu, że w innych okolicznościach takie życie byłoby cudowne. Przypomniała sobie jednak, czemu poszła z Mattem na kawę ubrana w bezosobowy garnitur, udając, że właśnie urwała się z wymyślonego zebrania.

- Z mailowego adresu wynika, że twoja żona ma na imię Rachel.

Nagła zmiana taktyki. Matt nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Dlaczego o tym wspomniała? W obecności Lizzie nie wymieniał nigdy imienia żony; dzięki temu była postacią mglistą i bezosobową. Teraz przybrała realny kształt. Poza tym miał dość myślenia o Rachel i przynajmniej na pewien czas chciał się od niej uwolnić. Kiedy był z Lizzie, udawał, że tamta nie istnieje.

- Owszem.

- Czym się zajmuje?

- Na pewno ci mówiłem, że pracuje w reklamie.

Matt był poważnie zaniepokojony. Czyżby Lizzie poczuła się nieswojo wśród tych wszystkich półprawd i niedomówień? Do tej pory znosiła dwuznaczność swojej sytuacji nadspodziewanie dobrze, ale teraz zadawała mnóstwo dziwnych pytań, niezwiązanych z ich problemami. Dlaczego tak ją interesowała wczorajsza kolacja? Może odezwał się w niej duch współzawodnictwa. To normalne, że kobiety ze sobą rywalizują.

Starał się ją ułagodzić, odpowiadając na wszystkie pytania. Gdy przestała je zadawać, uświadomił sobie, że nie widzieli się od tygodnia, a spali ze sobą dwa tygodnie temu. Pochylił się, pocałował ją i natychmiast usiadł wyprostowany. Kiedy był z Lizzie, stale zapominał, że muszą się ukrywać.

Pociąg metra z hukiem mknął przez centrum Londynu, a Lizzie powtarzała sobie w duchu, że powinna odmówić. Z drugiej strony jednak Clare poszła do pracy, a ich sprawy tak się już pogmatwały, że to właściwie bez różnicy.

Matt nie musi wiedzieć, że to wielki finał. Będzie miał co wspominać. Już ona się o to postara.

Clare była poważnie zaniepokojona. Lizzie wydawała się nieswoja. Należałoby raczej powiedzieć, że jest z nią źle. Przez dwa tygodnie chodziła z ponurą miną, ograniczając swoją aktywność do pracy i oglądania filmów na wideo. Teraz sprawiała wrażenie pogodzonej z losem, lecz Clare podejrzewała, że nadal źle się dzieje.

Wyrzucała sobie, że poświęca jej za mało uwagi. Powinna skłonić ją do zwierzeń. Niech się wygada, dobrze jej to zrobi. Po południu trzeba wyrwać się z pracy, wrócić do domu i porozmawiać o życiu jak za dawnych dobrych czasów.

Udało jej się tak zorganizować zajęcia, żeby podwładni mogli ją zastąpić. Wracając do domu zrobiła małe zakupy. Westchnęła z ulgą, stwierdzając, że drzwi wejściowe nie są zamknięte na podwójny zamek. W metrze prześladowała ją wizja pustego mieszkania i setek kalorii, które musiałaby pochłonąć samotnie, bo inaczej żarcie by się zmarnowało.

- Cześć, kochanie, wróciłam.

Clare zajrzała do gabinetu Lizzie, której tam nie było. Chyba w ogóle nie pracowała: komputer wyłączony, na biurku od wczoraj ten sam kubek z niedopitą herbatą. Clare zajrzała do salonu. Może Lizzie wyleguje się na kanapie?

- Liz... Liz? - rzuciła niepewnie. - Lizzie? - dodała głośniejszym głosem. W salonie jej nie było. Czyżby spała? Przecież jest pół do szóstej? Za późno na poobiednią drzemkę, stanowczo za wcześnie na wieczorny sen. Może dopadła ją migrena. Często ją miewała. Clare poczuła się winna. Jak mogła nie dostrzec wyraźnych objawów. Lizzie wymagała szczególnej troski. Była przecież na skraju załamania nerwowego.

Clare pobiegła do kuchni, żeby zagotować wodę i zaparzyć herbatę. Miała poczucie misji: będzie pielęgnować cierpiącą przyjaciółkę. Nagle do kuchni weszła Lizzie w białym frotowym szlafroku i kapciach, trochę potargana, z rumieńcami na policzkach. Chyba miała gorączkę. Clare nie znała się na chorobach, ale Lizzie wydawała się rozpalona i bardzo zmęczona. Biedactwo, jak cierpi!

- Wróciłaś...

Dobry znak, pomyślała Clare. Percepcja na poziomie faktów zachowana.

- Wszystko w porządku? - Clare skonstatowała, że Lizzie jest zaniepokojona i trochę wytrącona z równowagi. Czyżby piła?

Lizzie bez słowa kiwnęła głową.

- Boże, co za ulga. Przepraszam, że cię obudziłam. Chodzi o to, że... Dużo myślałam dziś po południu i postanowiłam wcześniej wrócić do domu, żeby zająć się tobą, jak należy.

- O ile pamiętam, zapowiadał się dziś u ciebie pracowity wieczór.

- Owszem, ale znalazłam sobie zastępcę. Uznałam, że nam obu należy się miłe popołudnie w domowych pieleszach. Przykro mi, że ostatnio byłam taka zapracowana. Ty przeżywasz trudne chwile, a ja haruję do upadłego.

Podeszła i uściskała Lizzie. Miała wrażenie, że obejmuje drewnianą kłodę, a raczej smukły pień owinięty białą frotową tkaniną. Clare machnęła na to ręką, ale fakt pozostawał faktem. Lizzie nie oddała uścisku. Stała nieruchomo. Clare postanowiła nie brać tego do siebie. Przecież od lat się przyjaźniły. Chwilowy brak serdeczności nie może tego zmienić.

- Powinnaś wrócić na górę. Marsz do łóżka. Zaraz przyniosę ci kubek herbaty. Jeśli chcesz, zamówimy pizzę i zrobimy sobie piknik na kanapie. Kupiłam lody.

Lizzie niespodziewanie pobladła, niemal zszarzała. Zamówienie pizzy nie było chyba najlepszym pomysłem.

- Albo sobie porozmawiamy. Jak chcesz. Ty decyduj. Ostatnio nie byłaś sobą.

- Teraz jest lepiej. Naprawdę. Nie było łatwo przez kilka ostatnich tygodni. Pizza to fajny pomysł.

Lizzie czuła się podle. Clare zasłużyła na tytuł współlokatorki roku. Niestety, lada chwila odkryje, że została oszukana przez najlepszą przyjaciółkę, która wmawiała sobie, że nie ma mowy o oszustwie, bo Clare nie zapytała wprost, czy ktoś jest na górze. Miała nadzieję, że Matt słyszał ich rozmowę i przytomnie znalazł sobie jakąś kryjówkę. Ale gdzie? Za mało miejsca w szafie, pod łóżkiem, w koszu na brudne rzeczy. Postawny facet się tam nie wciśnie.

- Dobra. Idź na górę i pośpij, dobrze? Przyjdę cię obudzić, jak wszystko będzie gotowe. Podjemy sobie smacznie i trochę się posprzeczamy. Jeśli chcesz, wyjątkowo zgadzam się, żeby pół pizzy było z ananasem.

Oto dowód prawdziwej przyjaźni i zrozumienia. Clare nienawidziła ananasów.

- Zostanę w kuchni. Tu mi dobrze. Miło, że wróciłaś. - Lizzie zobaczyła gerbery w zlewku napełnionym wodą. - Ojej, kwiaty? Nie powinnaś... - Lizzie była zdruzgotana. Z każdą chwilą miała większe poczucie winy. - Co tam w pracy?

Lizzie wyszła z otwartej kuchni i z kubkiem herbaty w rękach usiadła na kanapie. Clare puściła mimo uszu jej pytanie.

- Polecę do twojej sypialni po kołdrę, żebyś się przykryła.

- Nie trzeba. Jest mi ciepło. Daj sobie spokój.

- Żaden problem. Zaraz wracam.

- Kurczę, zostań! Nic mi nie jest - burknęła opryskliwie Lizzie.

Gdy Clare ochłonęła po pierwszym szoku, od razu nabrała podejrzeń. Zmieniła taktykę i przestała się roztkliwiać nad Lizzie, ponieważ nic dobrego z tego nie wynikło.

- Elizabeth Ford, nie waż się mną pomiatać. Jesteś dorosła i płacisz regularnie połowę czynszu, więc jesteś u siebie i nikt ci nie ma prawa niczego narzucać. Nie chcesz koldry? Proszę bardzo. Odmawiasz pójścia na górę? I dobrze. Ale ja cię znam i mam przeczucie, że coś tu jest grane. Nie mogę cię zmusić do zwierzeń, ale zasługuję na uczciwe postawienie sprawy. Jestem zaniepokojona. Masz sporo kłopotów, ale jeśli chcesz sama się z nimi borykać, wolna droga.

No i proszę, Clare była wściekła. Matt też wkrótce otrzeźwieje. Sprytny plan zawiódł na całej linii. Lizzie miała łzy w oczach. Clare natychmiast złagodniała.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi. Wybacz. Ostatnio nie byłam z tobą szczerą. Nie zwierzałam ci się, bo nie widziałam takiej potrzeby. Uznałam, że sama sobie poradzę, ale jak widać, nie jestem w stanie. - Lizzie otarła łzy rękawem.

Zaniepokojona Clare znieruchomiała. Jej przeczucia się potwierdziły. Coś tu zaszło.

- Powiesz mi, w czym rzecz?

- Nie chciałam, żebyś poszła na górę, bo ktoś tam jest. Clare w końcu zajarzyła. Nieco zde gustowana doszła do wniosku, że skoro Lizzie potrzebowała faceta na zasadzie „klin klinem”, nie można jej tego zabronić. Ludzka słabość.

- Skoro to ci pasuje... - mruknęła pobłaźliwie. - Co to za facet i gdzie go poderwałaś?

Uśmiechnęła się zachęcająco do Lizzie, która dziwnie spoważniała. Clare z politowaniem pokiwała głową. Po co tak dramatyzować. Chwila zapomnienia to nie wojna atomowa. Trzeba mieć wyczucie proporcji. Clare nie paliła się do łóżkowych rozkoszy, ale inni niech sobie czasem pofolgują.

- Znasz go.

Clare zrobiła szybki przegląd odpowiednich facetów, młodych i trochę bardziej posuniętych w latach. Następnie zajęła się nieodpowiednimi. Colin z dołu? Wykluczone. Stuprocentowy pedał. Clare popatrzyła na Lizzie w nadziei, że pozna po jej minie, kto jest tym szczęśliwcem, ale nie mogła złowić jej spojrzenia i nagle ogarnął ją gniew, a potem wściekłość. Nie była w stanie zapanować nad swoimi uczuciami. Odruchowo zaczęła krzyczeć, i to głośno.

- To on, prawda? Nadal gzisz się z Mattem!

Lizzie skuliła się, czując bijącą od niej złość. A jeszcze przed chwilą wydawała się taka pomocna.

- Jak mogłaś, Liz? Przecież to żonaty mężczyzna! Nie jest sam. Przecież wiesz, przez co przeszłam. Tyle razy płakałam na twoim ramieniu. W głowie się nie mieści... A ja głupia przybiegłam do domu, żeby się tobą opiekować.

Lizzie nie widziała dotąd Clare w takim stanie, wścieklej i zarazem przygnębionej. Odruchowo próbowała ją ugłaskać.

- Przykro mi, Clare...

- Czyżby? Chyba nie bardzo, do jasnej cholery! Nie wierzę ci. Dziwię się, że zachciało ci się pracować w dziale porad, skoro wszystkich oprócz siebie masz w... masz gdzieś.

- Chciałam ci powiedzieć, ale... Zrozum, to już skończone. Powinnam wcześniej wziąć sobie do serca twoje słowa. Miałaś rację. Nic z tego nie będzie. - Lizzie nie miała pewności, czy Clare słucha, bo jej oczy wyrażały tylko wściekłość i rozczarowanie. - Zapewniam cię, że dziś byłam z nim ostatni raz. Wiem, że postąpiłam głupio, ale nic na to nie poradzę. Kocham go. Chyba liczyłam na cud.

- Rozwalasz własne życie, ale co mi do tego.

Clare miała dość tej sprzeczki. Zresztą zamiast głosu Lizzie słyszała tylko szybkie i głośne pulsowanie krwi. Wypadła z kuchni, wbiegła na schody i popędziła do swojego pokoju. Lizzie poszła za nią, ale najpierw musiała wyprawić stąd Marta.

Ubrał się i w milczeniu siedział na jej łóżku. Po jego spłoszonej i przerażonej minie poznała, że słyszał każde słowo.

- Ale się porobiło - mruknął bezradnie. Lizzie usiadła obok niego, drżąc na całym ciele.

- Lepiej już pójdę.

- Moim zdaniem nic z tego nie będzie. - Nie śmiała spojrzeć mu w oczy, więc mówiła, patrząc na jego ramię. - Wróc do Rachel. Postaraj się. Może są jakieś szanse.

- Jesteś przygnębiona. - Matt z niedowierzaniem popatrzył na Lizzie. - Nie wiesz, co mówisz.

- Wiem. Powinnam cię uprzedzić.

- Ale przed chwilą powiedziałaś Clare, że mnie kochasz.

- O Boże, jak mogłam być taką kretynką i znów się z tobą spotkać, skoro wiedziałam, że... Mniejsza z tym. Skoro uważnie podsłuchiwałeś, masz świadomość, że to ma być nasze ostatnie spotkanie.

- Zadzwoń do ciebie jutro.

- Nie trudź się.

- I tak zadzwonię. - Matt pocałował ją i dyskretnie opuścił mieszkanie.

Ledwie stuknęły frontowe drzwi, Lizzie zapukała do pokoju Clare.

- Clare, błagam, pozwól mi wyjaśnić. Nie powiedziałam ci od razu, bo twoja reakcja była łatwa do przewidzenia. Ale chciałam to zrobić.

- Powinnaś to przemyśleć, nim zgodziłaś się być tą trzecią. Clare mówiła tonem zimnym, ale spokojnym. Wróciła do równowagi. Lizzie doszła do wniosku, że woli jednak słuchać histerycznych wrzasków i obelg.

- To wszystko jest okropnie skomplikowane. Bardziej, niż ci się wydaje. Jasne, że muszę z nim zerwać. Już zerwałam. Ale wygląda na to, że nie możemy bez siebie wytrzymać. Oczywiście wiem, że papłę bez sensu, ale nie mogę się z tym uporać.

- Wierz mi, zdradzonej żonie też nie jest łatwo.

- Przepraszam, Clare. Błagam, zamówmy tę pizzę i porozmawiajmy spokojnie.

- Chyba spóźniłaś się nieco z tą propozycją, nie sądzisz? Jeśli zależy ci na wolnej chacie, będziesz ją miała. Niech ten twój uda, że jedzie w delegację. Będziecie mogli gdzie się całymi dniami i latać na golasa po całym mieszkaniu. A jego żona niech czeka sama w domu. Spoko, Liz. Wiem, że w twoim miłosnym trójkącie nie ma miejsca dla osób postronnych.... - Clare w końcu otworzyła drzwi. Lizzie z przerażeniem spojrzała na jej zapłakaną twarz. Zobaczyła też spakowaną walizkę. - Gdybym nie wróciła wcześniej do domu, trzymałabyś swoje sprawy w tajemnicy, prawda? Nigdy bym się o nich nie dowiedziała. Dlaczego? Bo przewidziałaś moją reakcję. Ostatnio jesteś okropną egoistką. Krzywdzisz mnie, jego żonę, a przy okazji samą siebie, bo kochanka jest zawsze na straconej pozycji. A wiesz, co jest dla mnie najgorsze?

Clare zamilkła na chwilę. Lizzie czekała. Bała się odezwać. Cokolwiek powie, zabrzmi fałszywie.

- Doskonale rozumiesz, co jest grane. Wcale nie muszę ci tego tłumaczyć. Wiedziłaś, w co się pakujesz, ale w głowie ci nie powstało, żeby się wycofać. I tak dzień po dniu. Zdaję sobie sprawę, że zareagowałam nazbyt gwałtownie. Potrzebuję czasu, żeby ochłonąć. Nie mogę zostać. Jadę do domu. Wybacz, że mówię tak szczerze, ale sprawiłaś mi wielki zawód.

Lizzie stała nieruchomo jak posąg, słuchając oddalających się kroków Clare. Trzasnęły drzwi. Lizzie została sama. Samiutka jak palec. Osunęła się na podłogę i wybuchnęła płaczem.



Gdy jedenaście dni po fatalnej środzie Lizzie usłyszała dzwonek u drzwi, była na dnie rozpacz i jak zwykle w takich wypadkach eksperymentowała z włosami. Doświadczenie polegało na tym, żeby nie myć głowy tak długo, aż ta dokona samooczyszczenia. W przypadku Lizzie oczekiwanie nadal trwało. Na widok stojącego na progu ponurego Matta odechciało jej się wszelkich eksperymentów. Jak mogła się tak zaniedbać? Zdawała sobie sprawę, że należy go odprawić, chociaż to niezwykle trudne. Była z siebie dumna, bo nie odbierała telefonów, ignorowała wiadomości zostawione w poczcie głosowej oraz emaile. Gdy otworzyła frontowe drzwi, Matt bez słowa wszedł za nią do holu i wspiął się po schodach. Usiedli naprzeciwko siebie w salonie. Matt odezwał się pierwszy.

- Co u ciebie?

Wyglądała okropnie i była tego świadoma, ale wiedziała zarazem, że powinna być silna.

- Wszystko świetnie.

- Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o sobie.

Lizzie weszła ukradkiem. Już na schodach poczuła znajomą woń płynu po goleniu. Teraz musiała zebrać całą siłę woli, żeby nie paść mu w objęcia. Oparła się pokusie, lecz serce jej krwawiło.

- Kocham cię, Lizzie. Nieustannie o tym myślę. Teraz kocham cię jeszcze bardziej niż przedtem. - Mówił prawdę.

Cierpiał jak potępieniec. Wydawało mu się, że z najwyższym trudem brnie przez codzienność, jakby szedł po kolana w błocie. Sam postawił diagnozę: był chory z tęsknoty i miłości. Rokowania: dolegliwość nieuleczalna. Nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzić, więc zdał się na instynkt.

- Myślisz tylko o swojej miłości. Oboje wiemy, że musi pozostać niespełniona. Rzadko dostajemy to, na czym nam najbardziej zależy.

- Nie rozumiem. Co się zmieniło? - Siedział nareszcie twarzą w twarz z Lizzie, ogarnięty strachem, ponieważ była równie niezłomna jak w czasie poprzedniego spotkania.

- Ja. - Lizzie cierpiała okropnie, lecz mimo to od razu spostrzegła zabawny aspekt swojej odpowiedzi. Jeszcze kilka herbatników w czekoladzie i fajny aksamitny garniturek oraz kilka innych fajnych ciuchów pójdzie w odstawkę, a zawartość trzydrzwiowej szafy zostanie uzupełniona o ubrania w znacznie większym rozmiarze. - Matt, oszukałeś mnie.

Gdybym od początku znała prawdę, nigdy w życiu nie zgodziłabym się być tą trzecią. W żadnym wypadku. Chcę być tą jedną jedyną. Twoją wybranką, bez której nie potrafisz żyć, od której rano odrywasz się niechętnie, a wieczorem pędzisz do niej jak na skrzydłach. Nie mogę być trzymanym w rezerwie elementem planu B ani nagrodą pocieszenia.

- Liz, to przypadek...

Przy trzecim słowie wiedział, że początek jest fatalny. Zagraj to jeszcze raz!

- Chciałem powiedzieć, że w głowie mi nie powstało, że będę prowadzić podwójne życie. Ale spotkaliśmy się i od razu wiedziałem, że tak miało być. Nie chcę żyć z dwiema. Wolę zostać z tobą.

Lizzie obawiała się, że lada chwila padnie mu w ramiona. Uciekła się do sarkazmu, żeby nie ulec pokusie.

- Aha. Rzeczywiście masz problem. Musisz dobrze główkować, żeby nie zapomnieć, którą bzykasz.

Matt pokręcił głową. Zdawał sobie sprawę, co jej leży na sercu, ale przecież to nie tak. Szkoda słów. Była w fatalnym nastroju, więc odrzuciłaby wszelkie wyjaśnienia.

- Próbuję uwolnić się z tej matni - dodał Matt.

- Ściemniasz, bo jesteś świadomy, że już mnie nie dostaniesz. Szczerze mówiąc, możesz spokojnie zostać z Rachel. Sam umieściłeś mnie na piedestale, ale wierz mi, pod wieloma względami nie jestem od niej lepsza. Kusi cię tylko zakazany owoc.

- Ona nie dorasta ci do pięt.

Lizzie znakomicie grała swoją rolę. W głębi ducha pragnęła być mniej przekonująca, chociaż dobrze wiedzieć, że nieźle radzi sobie, gdy sama musi stawić czoło sytuacji kryzysowej.

- Nie daj się nabrać - odparła protekcyjnie. - Pod atrakcyjną maską zmysłowej kochanki jest twarz zwyczajnej kobiety. Jak inne mam rano nieświeży oddech i pocę się pod pachami. Wściekam się i marudzę, kiedy jesteś w pracy albo u siebie w domu, a przy tobie staję się słodka jak miód. Kochanki wcale nie są sympatyczniejsze od żon, ale faceci rzadziej je widują i dlatego łatwiej ich nabrać. Wystarczy trochę pomanipulować ich wyobraźnią i kompleksami.

- Moim zdaniem o nasz związek warto powalczyć. - Matt puścił jej kpiny mimo uszu.

- Tak dobrze się między nami układało. Kocham cię, Lizzie. Wiem, że z wzajemnością. Oboje chcemy, żeby nam się udało. Ja to wiem. Ciągłe powtarzasz, że między nami wszystko skończone, Liz, ale mówisz tak wbrew sobie.

Westchnęła głęboko.

- Wiem, co mówię. Było fajnie, ale jednego nie da się zmienić: jesteś żonaty i żyjesz z inną kobietą. Nie jesteś mój. Daj Rachel i sobie jeszcze jedną szansę. Moim zdaniem jesteś to winien wam obojgu. Nie możesz tak po prostu odejść. Wierz albo nie, ale pozostanie ze mną oznacza pójście na łatwiznę.

Matt skulił się, jakby uznał swoją porażkę.

- Naprawdę chcesz, żebym cię zostawił?

Serce Lizzie protestowało. Nie, nie, nie, nie! Zignorowała jego podpowiedzi.

- Przyznaję, że było nam dobrze w łóżku. Śmiałyśmy się do rozpuku. Ale znamy się zaledwie parę miesięcy. Krótka odsłona. Przełomy romans.

- Niezapomniany romans. - Matt przypomniał tytuł filmu z 1957 roku. Zrobił to machinalnie, z ponurą miną.

Lizzie miała wrażenie, że lada chwila serce jej pęknie, ale trzymała się dzielnie. Nikt nie umiera z miłości. Gdyby teraz ustąpiła, życie jeszcze bardziej by się skomplikowało. Nie mogła uczepić się Matta i na zawsze utknąć w tym groteskowym układzie. Musiała zachować szacunek do samej siebie.

Milczała, gdy Matt nareszcie wstał, oteściały i zrezygnowany. Nie tak sobie wyobrażał dzisiejsze spotkanie. Mieli się pogodzić. W jego wersji chwilowemu pożegnaniu towarzyszyły uśmiechy i radosny chichot, pocałunki... mnóstwo pocałunków. Czuł, że drży, gdy pochylał się, żeby pocałować ją czule. Odetchnął głęboko jej zapachem. Siedziała bez ruchu.

- Uważaj na siebie, Lizzie. - Omal się nie rozplakał, wypowiadając jej imię. - Odchodzę, bo tak chcesz. Moje pragnienia są inne. Wolałbym zostać, ale najważniejsze jest dla mnie twoje szczęście, więc ustępuję. Jeśli po namyśle uznasz, że popełniłaś błąd, wiesz, gdzie mnie szukać. Wiem, że to niełatwe, ale jestem głęboko przekonany, że możemy razem przez to przejść. Jesteś największym skarbem, jaki mi się w życiu trafił. Może po prostu nie zasługuję na ciebie.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Oczy miał mokre od łez, których Lizzie nie mogła zobaczyć.

To był najgorszy moment w życiu Lizzie. Na miłość boską, o co jej chodziło? Po co grała tę rolę?

*Kochana Lizzie...*

Dwa zwyczajne słowa, a ile treści. Przenosiły go w cudowny świat niespełnionych marzeń. Kiedy siadał do pisania, wiedział, co chce wyrazić, ale gdy formułował zdania, wydawały się zbyt oficjalne, jakby kuse, banalne, rozpaczliwe. Cholera jasna, strasznie trudno jest wyrazić, co się czuje.

Lubił Rachel jak „Gwiazdne wojny” albo batoniki Mars. Była mu bliska i dobrze jej życzył, ale Lizzie kochał nad życie. Skoro go nie chciała, trzeba się z tym uporać.

Zmiał kolejny nie dokończony list i wyrzucił do kosza. To już druga warstwa papierowych kul. Miał dość udawania, że się nie przejmuje. Był tak zdesperowany, że bał się do tego przyznać, bo wtedy uświadamiał sobie, co może stracić. Gdyby próbował dogadać się z Rachel, byłby nieszczerzy. Jeśli spróbuje przekonać Lizzie, może zostać na lodzie, a obie panie staną się tylko wspomnieniem. Pochylił się do przodu i dotknął czołem blatu biurka.

Głowa go bolała.

Lizzie odpowiadała na listy. Właśnie radziła czytelniczce, żeby zamiast myśleć w łóżku o dziesiątkach niezłatwionych spraw wzięła przykład z męża i skupiła się na jednym. Od razu będzie lepiej.

Wróciła do równowagi. Pracowała z poczuciem misji. Dochodziła siódma, a na dworze było nadal jasno. Zegary przestawione. Nawet w Putney czuło się zapach kwiatów. Wkrótce nadejdzie lato. Po wiosennym załamaniu Lizzie szybko dochodziła do siebie.

Dwa kieliszki wina do obiadu i wyjątkowo ciepłe kwietniowe słońce wprawiły Rachel w nastrój niemal sentymentalny. Londyńska wiosna wszystkich skłaniała do łączenia się w pary, więc nawet Matta ciągnęło teraz do domu, gdzie było jego miejsce. Rachel dopiero teraz zrozumiała, że mąż jest dla niej gwarantującą bezpieczeństwo kotwicą, bez której nie potrafiłaby funkcjonować. Chwilowy bunt uczynił go bardziej upragnionym. W końcu zaczęła doceniać otaczających ją ludzi. Uśmiechnęła się do siebie. Lizzie Ford poukladała jej życie.

Rachel usiadła wygodniej w swoim fotelu i przeczytała list widoczny na ekranie monitora. Przez chwilę zastanawiała się, czy go wysłać, po namyśle kliknęła jednak przyciskiem myszy. Tekst jak na nią wydawał się zbyt wylewny, ale ponieważ mimo wczesnej pory była lekko podchmielona i przez to łagodniejsza, wcale się tym nie przejmowała.

*Kochana Lizzie,*

*Całe wieki nie mam od Ciebie żadnych wiadomości. Jasne, przez okrągłą dobę pomagasz bliźnim, ale wiem, że to nie tylko praca, lecz także - mam nadzieję - prawdziwa przyjemność. Nikt bardziej od Ciebie nie zasługuje, żeby harmonijnie łączyć jedno i drugie. Chciałabym zaprosić Cię na kolację. Nim odmówisz, zapewnię uroczyście, że nie jestem maniaczką i nie będę Cię zamęczać przesadną wdzięcznością. Chciałabym tylko podziękować za mądre wskazówki i duchowe wsparcie.*

*Wszystkie Twoje rady okazały się skuteczne. Naprawdę pomogłaś mi zrozumieć sposób myślenia mojego męża. Sama całkiem się w tym pogubiłam. O Boże, kiedy to czytam, zupełnie siebie nie poznaję. Gdyby ktoś z moich współpracowników zobaczył ten list, uznałby, że przedawkowałam programy Oprah i teraz gadam jak ona. Przysięgam uroczyście, że zaraz się opamiętam i nie będę Cię więcej zamęczać dziękczynnymi listami.*

*Chciałabym, żeby Matthew poznał osobę, dzięki której zyskaliśmy drugą szansę na szczęśliwe pożycie. Mogę zarezerwować dla Ciebie dowolny wieczór w przyszłym tygodniu. Daj mi znać, który dzień Ci odpowiada.*

*Czekam na wiadomość!*

*Twoja Rachel*

Gdy Lizzie przeczytała wiadomość od Rachel, miała wrażenie, że to koszmarny sen. Lada chwila nastąpi przebudzenie... Ależ skąd! Przecież była już całkiem rozbudzona. Śniła na jawie, ale sen był przerażający. Żadnych kolacyjek z Rachel i jej mężem. Nie ma mowy! Jak struś schowała głowę w piasek i nie odpowiedziała na list. Zniecierpliwiona Rachel zasypywała ją emailami, proponując różne daty i miejsca. Lizzie konsekwentnie wymawiała się brakiem czasu i nadmiarem obowiązków. W końcu postanowiła stawić czoło sytuacji.

*Rachel, Wybacz, że od dawna nie napisałam do Ciebie dłuższego listu, ale miałam straszny kociokwik.*

Wyrażenie obrazowe, a zarazem dowcipne. Nie budzi podejrzeń. Lizzie była świadoma swoich atutów. Starannie dobierała słowa, żeby jej teksty były zawsze wiarygodne.

*Dzięki za miłe zaproszenie, ale sadzę, że jeszcze za wcześnie na spotkanie. Mniejsza z tym, że obie jesteśmy strasznie zapracowane. Ważniejsze jest, że naczelna mego tygodnika*

*zdecydowanie nie życzy sobie, żebym spotykała się z czytelnikami na gruncie towarzyskim. Cieszę się, że sprawy Twoje i Matthew idą w dobrym kierunku. Taki jest sens i cel działu porad.*

*Twoja Lizzie*

Przeczytała list. Nic dodać, nic ująć. Czytelnicy i słuchacze powinni się cieszyć, że w pracy jest naprawdę skuteczna, chociaż życie ma popaprane.

Nie należy lekceważyć wpływów kobiety poczuwającej się do wdzięczności. Po południu Lizzie siedziała w domu i odpowiadała na listy. Niespodziewanie zadzwoniła do niej naczelna.

- Cześć, kochanie. Jak się miewa moja ulubiona redaktorka? Lizzie była zbita z tropu. Susan po raz pierwszy telefonowała do domu. Do tej pory głównie mailowała lub korzystała z pośrednictwa sekretarki. Lizzie wyczuła, że coś się święci. Ale co?

- Dziękuję. U mnie wszystko w porządku.

- Powiem krótko, w czym rzecz, żeby nie odrywać cię od pracy. Wiem, że jak zwykle masz przed sobą stosy listów. Nie zajmę ci wiele czasu. Pomagaj nadal tym biedakom, którzy sami nie mogą sobie poradzić.

Mimo skwapliwych zapewnień Lizzie nie wyczuwała u szefowej szczególnego współczucia.

- Mogę w czymś pomóc?

- Owszem. Przed chwilą rozmawiałam z czarującą osobą. Dzięki niej nabrałam lepszego mniemania o naszych czytelniczkach. Prawdziwy cud. Kobieta, która nie jest kretynką ani...

Lizzie słuchała cierpliwie monologu szefowej łamiącej wszelkie zasady politycznej poprawności.

- Taką czytającą publiczność musimy zdobyć dla naszego tygodnika. Ale o tym porozmawiamy innym razem. Ta pani jest tak zachwycona tobą i udzielonymi przez ciebie radami, że chce cię zaprosić na kolację.

- Ach tak?

Lizzie poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Rachel ją przechytryła.

- Owszem. Z tego, co słyszałam, wynika, że zapowiada się wspaniały wieczór. Wspomniała, że wysłała do ciebie emaila z podobną propozycją, ale grzecznie odmówiłaś, tłumacząc się, że nie łączysz spraw zawodowych z towarzyskimi.

Szczęście w nieszczęściu, że Susan nie wie, jak mało profesjonalne było jej podejście

do tych spraw. Wymamrotała kilka banałów na temat wiarygodności oraz anonimowości, ale szefowa przerwała jej w pół zdania.

- Mniejsza z tym. Dzwonię, bo chcę ci powiedzieć, że spokojnie możesz przyjąć zaproszenie. Nie można powiedzieć, żeby ta twoja robota dawała szczególną satysfakcję, prawda? Podziwiam twój profesjonalizm, ale odpręż się nieco, kochanie. Weź sobie do serca swoje własne rady: daj sobie trochę luzu, zdobądź się na większy dystans i tak dalej. Co to ja... Ach, prawda. Mówimy o telefonie od tamtej kobiety, naszej czytelniczki... Zanotowałam jej dane. Gdzie ten świstek? O Boże! Dlaczego nie mogę nigdy znaleźć tego, co jest mi potrzebne? Po prostu tonę w papierach. Moja sekretarka nie znosi sortowania dokumentów. Na taką sugestię reaguje alergicznie. Prawdziwy unikat. Drugiej takiej bałaganiary nie znajdziesz w całym kraju. Nie masz pojęcia, jaki chaos panuje na moim biurku. Znalazłam! Ona chyba ma na imię Rachel... Co ja tu napisałam? Bazgrzę jak kura pazurem. Zgadza się, Rachel. Sprawia wrażenie mądrej, sympatycznej, no i całkiem normalnej. Sama rozumiesz. Osoba naszego pokroju.

Lizzie skrzywiła się machinalnie. Nienawidziła tego protekcyjnego tonu i poczucia wyższości zamożnej klasy średniej. Oni i my. Karierowiczom przewróciło się w głowie, więc z niewiadomych powodów uważali się za lepszych i dzielili świat na koterie. Tak było, jest i będzie: białe i niebieskie kołnierzyki, szefowie i podwładni, Capuleti i Monteki et cetera, et cetera. Osoba na stanowisku musi mieć odpowiednie auto i adres. Inaczej - śmierć cywilna. Lizzie naprawdę poczuła się urażona, gdy Susan zaliczyła ją do tej samej kategorii co siebie.

- Nie masz powodu do obaw. Rachel chce ci tylko podziękować. Nie licz na walizkę pełną używanych banknotów dwudziestofuntowych albo złotych zegarków z przemytu.

Ubawiona Lizzie wybuchnęła śmiechem. Mimo wszystko lubiła Susan, która czasami zachowywała się jak idiotka, ale w gruncie rzeczy była uroczą ekscentryczką i miała dobre serce.

- Chyba rzeczywiście nie mam się czego obawiać. Dzięki za wyjaśnienia. - Lizzie uznała, że trzeba docenić starania szefowej.

- Nawet jeśli dostajesz i odrzucasz setki zaproszeń, to radzę ci przyjąć. Wdzięczna czytelniczka nazywa się Rachel Baker. Obiecałem, że wkrótce się z nią skontaktujesz. Dała mi numer do pracy.

- Mam długopis, mogę notować.

Lizzie posłusznie zapisała rząd cyfr, chociaż telefon do biura Rachel był w każdym emailu. Czowała się jak złapana w pułapkę. Jak z tego wybrnąć?

- Jeszcze jedno, Liz.

- Tak?

- Przyszło mi do głowy... Jeśli ta Rachel okaże się równie fajna, jak podczas rozmowy telefonicznej, można by jej zaproponować, żeby machnęła artykuł o waszej znajomości. Zwierzyła mi się, że dawniej nie przyszłoby jej do głowy prosić o wskazówki redaktorkę działu porad. Taki tekst byłby zachętą dla czytelników. Dostawalibyśmy więcej listów.

Aha, jeszcze więcej. Lizzie popatrzyła na swoją pocztę starannie ułożoną w stosy zaścielające niemal cały gabinet. Pracy jej nie brakowało. Pod tym względem nie odczuwała żadnego niedosytu. A co do artykułu... Toby dopiero była afera, gdyby na łamach „Na Głos” opisane zostały perypetie pewnego trójkąta małżeńskiego z zachodniej części Londynu.

- Moim zdaniem Rachel nie będzie zainteresowana taką współpracą. Kolacja z redaktorką to jedno, ale szczere wyznanie, że do mnie napisała, to już całkiem inna sprawa. Nie sądzę, żeby chciała ujawnić swoje prywatne sprawy. Jest dość skryta.

- Mogłaby podpisać się tylko imieniem, a zamiast jej fotografii dalibyśmy zdjęcie modelki. Ciekawe, czy mąż zgodziłby się udzielić nam wywiadu.

Lizzie starała się zachować spokój. Nie warto teraz zaprzącać sobie głowy tą sprawą. I tak nic z tego nie wyjdzie, ale nie chciała zrażać Susan jawnym sceptycyzmem wobec jej szalonych pomysłów.

- Dzięki za telefon i wskazówki. Muszę kończyć, bo w przeciwnym razie jutro wieczorem nie dostaniesz reszty tekstu mojej rubryki.

- Super. Fajnie napisałaś, żeby wziąć przykład z męża i skupić się na jednym. Genialne określenie. Ale za to ci płacimy. Wracaj do pracy. Może spotkamy się, gdy wpadniesz do redakcji. Tak się fatalnie składa, że kiedy przychodzisz, zawsze mam jakieś spotkania. Umówimy się na obiad?

- Doskonały pomysł.

- Fantastycznie. Zadzwoń do Bridget i ustal z nią termin. Pod tym względem jest niezrównana. Nie potrafi sortować dokumentów, ale zna mnóstwo fajnych restauracji z pysznym jedzonkiem, więc przez służbowe obiady robię się coraz grubsza. Wkrótce pogadamy. Pa.

- Pa.

Lizzie została zepchnięta do narożnika. Przekonała się na własnym przykładzie, że Rachel nie ustąpi, aż postawi na swoim. Prawdopodobnie ta zasada obowiązywała we wszystkich dziedzinach jej życia.



Rachel nałożyła drugą warstwę szminki. Wyjście jakich wiele. Była zaproszona na przyjęcie wydawane przez „Blue”, jedno z kolorowych czasopism, ale jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nareszcie pozna niedostępną i zwodniczą Lizzie Ford. Podziwiała jej skromność. Sama chciała za jakiś czas dodać tę zaletę do własnych atutów. Ludzie bardziej cenią osoby, które nie obnoszą się ze swoimi sukcesami. Rachel po kilku kieliszkach zawsze stawała się okropną samochwałą. Na razie uważała wewnętrzne wyciszenie, uprzejmą uwagę i zawołane sugestie na temat swych planów za niepotrzebną stratę czasu. Po co kręcić skoro można od razu powiedzieć, w czym rzecz? To nie jest pora na powściągliwość. Jeszcze nie mogła tracić czasu na takie głupstwa, bo sama była kowalem własnego losu.

Rachel podeszła do baru i usiadła na stołku, kartkując egzemplarz „Blue”. Jeśli Lizzie się dziś nie pojawi, trzeba przekonać Matta, że muszą zaprosić ją na kolację. Była zdecydowana postawić na swoim.

Matt włączył komórkę i z westchnieniem ponownie odsłuchał wiadomość od podekscytowanej Rachel. Znowu to samo. Podjęła za niego decyzję, a teraz tonem nie znoszącym sprzeciwu musztrowała go i wydawała polecenia. Wygląda na to, że w swoim planie nie uwzględniła odmowy. Jego zadaniem było siedzieć przy biurku i czekać na instrukcje.

Sięgnął do szuflady, gdzie trzymał swoje dopalacze. Wystarczyły dwa łyki wódki i łyk gazowanego napoju, żeby odzyskał trochę wigoru. Włączył komputer i zabrał się do pracy. Środa wieczorem. Przyjęcie. Mówi się trudno.

Gdy Lizzie wysiadła z windy na szóstym piętrze Kensington Roof Gardens, od razu spostrzegła, że impreza już się rozkręciła. Ta oaza spokoju na życzenie redakcji „Blue” i za jej pieniądze (zapewne spore) została przekształcona w przybytek hałaśliwej rozrywki. Robyn Summers, agent Lizzie, twierdził, że została zaproszona, ponieważ „Blue” chce ją podkupić, gdy tylko wygaśnie kontrakt z „Na Głos”. Nalegał, wręcz żądał, aby poszła, więc poszła, ale bez entuzjazmu.

Sięgnęła po wino w ogromnym niebieskim kielichu i upiła kilka łyków. Niespodziewanie znalazła się w objęciach ślicznej brunetki, która witała się tak serdecznie, jakby spotkała dawno nie widzianą przyjaciółkę. Lizzie gorączkowo szukała w pamięci, ale nie mogła sobie przypomnieć jej nazwiska ani twarzy. Kompletna pustka.

- Lizzie? To ty, prawda? Chodzą słuchy, że „Blue” chce cię podkupić. Wcale im się

nie dziwię. Szykuje się duży transfer. Modne określenie. Nie tylko o zmianie klubowych barw piłkarzy tak się teraz mówi. To samo dotyczy dziennikarzy, redakcyjnych astrologów oraz speców od poradnictwa takich jak ty.

Lizzie uśmiechała się niepewnie. Modliła się w duchu, żeby ktoś do nich podszedł i mimochodem wymienił imię, a może i nazwisko jej rozmówcy. Daremne nadzieje. Była zdana na własną intuicję. Kobieta perorowała niezmiernie.

- Moja koleżanka z agencji prowadzi kampanię reklamową „Blue”. Dzisiejsza impreza to jej pomysł. To fantastyczne, prawda? - Brunetka wskazała sześć poziomów obwieszonych plakatami, które teraz wyglądały znajomo. Wszystkie promowały czasopismo sponsorujące dzisiejszą imprezę.

Niespełna godzinę temu Robyn wbijał Lizzie do głowy, żeby koniecznie przedstawiła się naczelnej „Blue”. Jak ona się nazywa? Imię i nazwisko na tę samą literę. Melissa Matthews. Tak, zgadza się. Intuicja podpowiadała jednak, że jej rozmówcy to całkiem inna osoba. Zbyt nieśmiała nawet jak na standardy środowisk medialnych, gdzie wszyscy są na luzie. Lizzie była zbита z tropu, ale robiła dobrą minę do złej gry. Jej rozmówcy kontynuowała monolog.

- „Blue” świetnie się sprzedaje. Zrobiliśmy w agencji burzę mózgow, żeby wypromować nowy tytuł, co nie jest łatwe, bo na rynku mediów mamy straszny tłok. Chyba zgodzisz się ze mną, jeśli powiem, że my, czyli CDH, mamy dobry rok. Byłabyś skłonna podpisać kontrakt z „Blue”, gdy obecny wygaśnie?

My... CDH... agencja reklamowa. To pewnie Rachel. Lizzie odruchowo zerknęła na jej rękę. Jest platynowa obrączka i pasujący do niej zaręczynowy pierścionek z brylantem.

- Wybacz, Lizzie. Z pewnością zastanawiasz się, kim jestem. Nic dziwnego. Moich zdjęć nie widać na autobusach. Mam na imię Rachel. Nie potrafię wyrazić, jaka to radość, że w końcu się poznałyśmy. Mam wobec ciebie dług wdzięczności. Chcesz pierożka z krewetkami?

Rachel odkryła tacę z tajskimi specjałami. Lizzie wrzuciła na talerz dwa pierożki i obficie polala je ostrym sosem. Miała nadzieję, że gdy skupi się na pikantnym jedzeniu, przestanie ją prześladować obraz Matta i Rachel w jednym łóżku. Jeszcze przed chwilą była przekonana, że doszła do siebie po emocjonalnych zawirowaniach, ale teraz była w psychicznym dołku.

- Mam nadzieję, że pójdziemy wreszcie na kolację. Wcale bym się nie dziwiła, gdybyś znów odwołała spotkanie. Wiem, jak to jest. Sama również żyję w biegu. Mam też nadzieję, że dziś wieczorem poznasz Matthew. Obiecał, że wpadnie tu później i przyłączy się do nas.

To część mojej... a właściwie twojej strategii. Musi bardziej uczestniczyć w moim życiu.

- O tak. Dobry pomysł. - Z kolei Lizzie była w podłym nastroju. Przez ułamek sekundy żalowała szczerze, że okazała się tak pomocna i skuteczna. Raz po raz zerkała na olbrzymi brylant w zaręczynowym pierścionku Rachel. Ciekawe, jak Matt się jej oświadczył.

Niechętnie oderwała wzrok od efektownego klejnotu i popatrzyła na jego właścicielkę. Rachel była świetnie ubrana; od stóp do głów efektowna czerń od najlepszych projektantów. To się rzuca w oczy. Wszystko kupione w najdroższych butikach, żadnej tandety. Pewnie całe jej życie musi być na najwyższym poziomie, uznała Lizzie.

Chciała coś dodać... może kilka miłych słów, ale Rachel nie dopuściła jej do głosu. Monolog trwał.

- Dzięki tobie moje małżeństwo zapewne przetrwa kryzys. Jest realna szansa, że uporamy się z naszymi problemami. Miałaś rację pod każdym względem. Z początku szło opornie, ale teraz mam nadzieję, że za parę tygodni będziemy znowu szczęśliwi jak w czasie miodowego miesiąca. Nie jest źle, chociaż oboje późno wracamy z pracy.

Lizzie omal nie udławiła się kawałkiem pierozka. Trzeba stąd wyjść, i to szybko. Sama obecność tej kobiety była dla niej torturą. Niska, filigranowa brunetka. Bardzo zadbana. Ale denerwująca i samolubna aż do bólu. Nadpobudliwa. I właściwie męcząca. A co najgorsze... jego żona. Miała jednak kilka zalet, które spodobały się Lizzie, była ambitna i zachłanna na życie, chociaż wszystko musiało kręcić się wokół niej.

- Opowiadaj, co u ciebie. Poradziłaś sobie z tamtym facetem, który wystawił cię do wiatru? Chyba mu odbiło. Jak można rzucić dziewczynę taką jak ty? To bez sensu.

Rzucić? Rachel nie ma poczucia taktu. Powinna bardziej uważać na to, co mówi.

- Źle trafiłam. Jego strata. Kazałam mu spakować manatki. Nie mam pojęcia, co w nim widziałam. Banalna historia.

Cholera jasna! To był idealny moment, żeby symulując migrenę pożegnać się i wyjść. Przegapiła sposobność.

- Domyślam się, że niewiele masz czasu dla siebie, skoro musisz zajmować się życiowymi problemami tylu ludzi.

- Właściwie...

Lizzie chciała odpowiedzieć Rachel, lecz najpierw efektownie westchnęła, a jej rozmówczyni podjęła monolog.

- Wiem, że moja praca bardzo się różni od twojej, ale mam takie same problemy. W ciągu dnia ledwie udaje mi się wykroić kilka minut, ale na depilację nóg i strzyżenie zawsze muszę mieć czas.

Lizzie ze zrozumieniem pokiwała głową i upiła łyk wina, desperacko szukając dobrego momentu na ucieczkę.

Matt był wykończony. W pracy miał urwanie głowy, aczkolwiek nie odnosił spektakularnych sukcesów. Próby uzdrowienia ich małżeństwa przyjdzie mu chyba odchorować. Rachel sprawiała wrażenie zadowolonej. Połowiczny sukces to już coś, a nieudany związek jest lepszy niż całkowita samotność. Tak mówią.

Matt najchętniej wróciłby do domu i poleżał na kanapie. Jej zew był silniejszy niż wszelkie imprezowe atrakcje. W porównaniu z wieczornym przyjęciem nawet ćwiczenia w siłowni wydawały się prawdziwą przyjemnością. Mimo wszystko postanowił wpaść na kilka minut. W przeciwnym razie Rachel zatruje mu życie. Ona to potrafi.

Najpierw usłyszał jej głos. Perorowała z ożywieniem, ledwie dopuszczając do głosu swoją rozmówczynię. Miła odmiana. Zwykle preferowała facetów. Plecy tamtej kobiety wyglądały znajomo. Matt zadrżał na całym ciele i stanął jak wryty. Czy to pułapka? Znał z filmów takie intrygi. Siostrzane sprzysiężenie oszukanych pań. Raczej nie. Lizzie nie była zdolna do takiej podłości. Rachel tak, ale nie Lizzie. Znow poczuł znajome rozczarowanie. Szkoda, że jego życiowa sytuacja jest taka, a nie inna. Może jeszcze nie jest za późno? Kto wie? Na razie jednak trzeba stąd zniknąć.

Już miał się odwrócić i ruszyć do wyjścia, gdy Rachel spojrzała w jego stronę i pomachała ręką. Lizzie nadal stała odwrócona do niego plecami. Był uziemiony.

- Matthew! Chodź do mnie, kochanie! Chcę cię komuś przedstawić! - zawołała, przekrzykując tłum. To nie była prośba tylko polecenie, którego nie miał prawa puścić mimo uszu.

Lizzie znieruchomiała na moment, gdy usłyszała jego imię. Czułe słówko rozogniło liczne i słabo zabliznione rany. Serce znow jej krwawiło. Nogi się pod nią ugięły, więc niby przypadkiem oparła się o marmurową kolumnę, żeby nie upaść. Było jej okropnie zimno, dłonie i stopy miała lodowate. Tylko zaczerwieniona szyja paliła ją żywym ogniem.

Matt podszedł, łudząc się wbrew nadziei, że kobieta rozmawiająca z Rachel jest sobowtórem Lizzie.

- Cześć, kochanie. Dzięki, że przyszedłeś.

Rachel cmoknęła go w usta, więc bez przekonania oddał całusa, czując na sobie badawcze spojrzenie Lizzie. Podekscytowana Rachel nie zorientowała się, co jest grane.

- Od dawna marzyłam, żeby cię przedstawić pewnej osobie. Lizzie, to jest Matthew, mój mąż. Kochanie, przedstawiam ci Lizzie Ford, redaktorkę działu porad w tygodniku „Na Głos”. Prowadzi też audycję na żywo z telefonicznym udziałem słuchaczy w...

- City FM.

Matt dokończył zdanie rozpoczęte przez Rachel, wpatrując się w Lizzie. Wyciągnął do niej rękę. Idiotyczna sytuacja. Miał wrażenie, że ogląda ją w zwolnionym tempie. Dłoń Lizzie była lodowata. Uśmiechnął się, żeby dodać jej otuchy. Musiał się napić czegoś mocniejszego. Szklanka piwa nie wystarczy. Tak oto para głównych bohaterów próbowała stanąć na wysokości zadania, a Rachel robiła ścieżkę dźwiękową w tle. Miłe urozmaicenie.

- Tak, bardzo dobrze - powiedziała, jakby zwracała się do rozumnego czterolatka. Lada chwila nazwie go swoim chłopczykiem albo kochaną dziecinką. - Skąd wiesz?

- Przygotowałem dla nich parę kampanii reklamowych.

- Mam rozumieć, że się znacie?

- Ależ skąd - zaprotestowała Lizzie, trochę zbyt skwapliwie.

- Widywaliśmy się przelotnie na radiowych zebraniach.

- Świat jest mały, prawda? Matthew, nie wiedziałam, że współpracowałeś z City FM.

- Wspominałem ci o tym.

- Och, przecież wiesz, jak to ze mną jest. Poza pracą nic dla mnie nie istnieje.

Wyjątkowa szczerłość! Matt skinieniem głowy potwierdził prawdziwość ostatniego zdania. Wiedział aż za dobrze, że naprawdę tak jest. Postanowił zmienić temat.

- Skąd znasz Lizzie? - spytał żonę.

Rachel opowiedziała o swoim liście, a widząc minę osłupiałego Matta, zakończyła autoironicznym komentarzem:

- Wiem, że to do mnie nie pasuje. Musiałam być bardzo, bardzo chora.

- Chwila! Nie rozumiem! Co zrobiłaś?

Matt był spłoszony, zdumiony, całkiem zbity z tropu. A może wściekły? Tak, słowa Rachel wyraźnie go rozgniewały. Z jego oczu Lizzie wyczytała także cierpienie. Jak mogła się łudzić, że po tym wszystkim potrafią rozmawiać normalnie?

- Napisałam do niej. Jest świetna. Po tamtym pierwszym liście zaczęłyśmy korespondować, wysyłając emaile, ale dziś, mniej więcej przed dwudziestoma minutami, po raz pierwszy spotkałyśmy się twarzą w twarz. Od dawna próbuję zaprosić ją na kolację, bo chciałam ci ją przedstawić, ale nie miała czasu. Stale coś jej wypadało. Pod tym względem jesteśmy do siebie podobne. Oczywiście wszystko rozumiem i nie mam jej tego za złe.

Lizzie ukradkiem spojrzała współczująco na Matta. Pora zmienić temat. Po szczerym wyznaniu Rachel atmosfera zrobiła się ciężka.

- Co słyszać w pracy, Matt... Matthew? - Poprawiła się natychmiast. Zdrobnienie było nie na miejscu, skoro oficjalnie prawie się nie znali. - Przygotowujesz jakieś nowe kampanie

reklamowe? Szykujesz nam pranie mózgu? Kiedy pojawią się nowe hasła reklamowe twojego autorstwa?

Matt czuł na sobie natarczywe spojrzenie Rachel, która oczekiwała, że jej mąż przedstawi siebie jako prawdziwą gwiazdę reklamy.

- Coś tam dłubię. Nic nadzwyczajnego - wymamrotał niechętnie. Żadnych popisów ani efektownych wolt. Nie miał na to sił.

Nieco uspokojona Lizzie taktownie zapytała Rachel o jej zawodowe plany, a potem wysłuchiwała długiego monologu prawdziwej kobiety sukcesu. Matt ukradkiem wpatrywał się w Lizzie. Skwapliwie wykorzystał chwilę przerwy w rozmowie, żeby wycofać się na kilka chwil pod pretekstem przyniesienia obu paniom czegoś do picia. Gdy odchodził, Lizzie aż nazbyt przyjaźnie gawędziła z jego żoną. Miał na końcu języka kilka ważnych pytań. Na przykład, kiedy dowiedziała się, że on i Rachel są małżeństwem? Podejrzywał, że zna odpowiedź. Wypił przy barze jedną wódkę i wrócił z drinkami do pań, które nadal rozmawiały z ożywieniem.

Podał Rachel szklanekę dzinu z tonikiem, a Lizzie zabarwioną na błękitnawy kolor wódkę z sokiem żurawinowym.

- Myślę, że to ci będzie smakowało.

- Co to jest?

- Wódka, żurawiny i kropelka soku z czarnej porzeczki. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Rachel nie była zachwycona tym wyborem.

- Trzeba jej było przynieść kieliszek wina. Nie znasz się na alkoholach. Czemu wybrałaś to kolorowe paskudztwo?

Lizzie miała ochotę ją uszczypnąć.

- Przepraszam. - Rachel z uśmiechem odwróciła się do niej. ~ Mam nadzieję, że zdołasz to wypić. Nie można mu niczego polecić, zawsze wszystko pokręci. Myślę, że robi to umyślnie.

- Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem, a potem z miną męczennicy przewróciła oczami. - Mówi się trudno. Twoje zdrowie. - Uniosła kieliszek.

Lizzie miała tego dość. Jej cierpliwość się wyczerpała. Rachel była wobec Matta niesprawiedliwa i całkiem bez powodu traktowała go protekcjonalnie. Wódka z żurawinami sprawiła, że ożyły wspomnienia z gwiazdkowej imprezy. Lizzie upiła łyk i odwróciła się do Matta, żeby mu podziękować.

- To jest pyszne, Matt. Bardzo lubię takie drinki. Omal się nie zarumienił.

- Nigdy nie zapominam, co komu smakuje - odparł. Oboje wybuchnęli śmiechem i przez moment wydawało się, że nie ma z nimi Rachel. Ale była - czujna obserwatorka. Wzrok miała zimny, usta zaciśnięte w wąską, poziomą linię, która szpeciła urodziwą twarz. Wodziła spojrzeniem od Matta do Lizzie. Była zbita z tropu i nieufna jak kot obserwujący mecz tenisowy nadawany w telewizji.

Po wypiciu sporej wódki Lizzie odprężyła się i nabrała złudnej pewności siebie. Spostrzegła zdumienie Rachel i doszła do wniosku, że należy jej się jakieś wyjaśnienie. Ogarnięta poczuciem winy i zakłopotana, bo przed chwilą hormony wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem, postanowiła jakoś uprawdopodobnić zagadkową wymianę powłóczyстых spojrzeń. Przejęła inicjatywę, bo Matt najwyraźniej nie zamierzał się odezwać.

- Rachel, wszystko ci wytłumaczę. - Czy rzeczywiście wszystko? Nadrabiała miną, lecz wcale nie była tak pewna siebie. - Tak się składa, że znam Matta od pewnego czasu. Postawił mi drinka podczas świątecznej imprezy dla personelu i współpracowników zorganizowanej przez City FM. W pierwszej chwili, kiedy nas przedstawiałaś, nie zorientowałam się, że to on, choć wyglądał znajomo. Trochę się zmienił przez tych kilka miesięcy. Miał dłuższe włosy, chyba więcej ważył.

- Ach tak. - Rachel zadawała sobie pytanie, co tu jest grane. Dlaczego Lizzie sprawia wrażenie trochę wytrąconej z równowagi i wyraźnie ściemnia? Czemu Matt wpatruje się w czubki swoich butów? - A kiedy uświadomiłaś sobie, że już się kiedyś widzieliście?

- Szczerze mówiąc, od pierwszej chwili kogoś mi przypominał, ale dopiero ta wódka z sokiem żurawinowym sprawiła, że doznałam olśnienia. Podczas tamtej imprezy długo rozmawialiśmy o ulubionych drinkach. Trudno się dziwić, że tak późno zajarzyłam. Minęło prawie pół roku...

Naprawdę? Lizzie sama była zdziwiona, że czas tak szybko płynie.

Matt dopiero teraz włączył się do rozmowy. Lepiej późno niż wcale, uznała kąśliwie Lizzie.

- Wyluzuj, Rachel. Co tak spochmurniałaś? Boję się myśleć, ilu facetów zaprasza cię na drinka podczas tych wszystkich służbowych imprez. To ja powinienem być wściekły, że Lizzie mnie nie zapamiętała, ale podchodzę do tego spokojnie. Trudno ją winić, że nie skojarzyła. W przeciwieństwie do ciebie niczym szczególnym się nie wyróżniam.

Wyluzuj? Rachel irytowała się, gdy Matt używał takich slangowych określeń. W jego wieku to żalosne. Rzecz jasna, miała sporo pytań, ale postanowiła przesłuchać go później.

Robiąc dobrą minę do złej gry, zgodnie wrócili do błażej rozmowy o wszystkim i o niczym. Lizzie odetchnęła z ulgą, bo samokrytyczna uwaga Matta najwyraźniej ugłaskała



Rachel. Tym razem im się upiekło. Lizzie uznała, że pora zniknąć z horyzontu. Demonstracyjnie popatrzyła na zegarek.

- Moi drodzy, na mnie już pora. Muszę lecieć, a powinnam jeszcze znaleźć Melisę i zamienić z nią kilka słów. - Pochyliła się i pocałowała Rachel w policzek. Znakomite posunięcie. Pozorna serdeczność. Uścisk dłoni byłby nie na miejscu. Rachel się nie odsunęła. Koniec rozmowy przypominał jej początek.

- A więc zjemy razem kolację?

- Naturalnie. Doskonały pomysł. Niedługo wyślę ci emaila. ~ Kiedy Lizzie to mówiła, wymyślała już kolejną wymówkę.

- Cześć, Matt. Jak miło, że się spotkaliśmy... znowu. Wybacz, że w pierwszej chwili cię nie poznałam, ale w porę wróciła mi pamięć. Wcale nie jesteś taki niepozorny, jak ci się wydaje. Życzę powodzenia.

Odruchowo pochyliła się i pocałowała go... w policzek, który jej przytomnie nadstawił. Wiedziała, że Rachel bacznie ją obserwuje. Matt był spokojny i opanowany. Nikt by się nie domyślił, że tego wieczoru spotkało go wiele niespodzianek.

Lizzie z podniesionym czołem pomaszzerowała do łazienki, ale gdy zamknęła za sobą drzwi kabiny, natychmiast się rozplakała. Nie miała pojęcia, co wycisnęło jej z oczu te łzy. i Poczucie winy? Ulga? niespełniona miłość? Tłumione emocje znalazły ujście, więc poczuła się lepiej. Zapanowała nad sobą, ochłodziła zimną wodą płonące policzki i starannie poprawiła makijaż. Czekają ją kolejne wejście. Trzeba znaleźć Melisę Matthews.

Najchętniej schroniłaby się w domowych pieleszach i poleżała na kanapie, ale brzmiał jej w uszach zachęcający do działania, H natarczywy głos Robyna Summersa.

Całkiem już uspokojona malowała usta pomadką, zastanawiając się, czy mimo realnego niebezpieczeństwa uda się jej i Mattowi uniknąć zdemaskowania. Nie musiała długo czekać na odpowiedź. Rachel wpadła do toalety jak burza. Z całej siły trzasnęła drzwiami i ruszyła ku Lizzie, niemal przypierając ją do ściany. Dziewczyna stojąca obok suszarki wymknęła się pospiesznie z mokrymi dłońmi, nie chcąc być świadkiem awantury. Rachel zmieniła się nie do poznania. Na początku rozmowy była urocza, pod koniec zaledwie uprzejma, ale teraz sprawiała wrażenie chorej psychicznie.

- Do jasnej cholery! W co ty grasz?! Dlaczego mi nie powiedziałaś, że znasz Matthew, kiedy ci go przedstawiłam?!

Lizzie z przerażeniem stwierdziła, że tym razem się nie wymknie. Natychmiast rozboleła ją głowa i zrobiło jej się niedobrze. Oczywiście nie wspomniała o tym Rachel. Intuicja podpowiadała jej, że nie może liczyć na współczucie. Próbowwała zachować spokój i

grać na zwłokę. Może uniknie awantury. Wolno i dobitnie przypomniała, że spotkali się na radiowej imprezie, zamilkła i wzruszyła ramionami, jakby nie wiedziała, o co chodzi. Rachel złościła się coraz bardziej.

- Słuchaj no, przestań traktować mnie jak idiotkę. Czuję, że coś się tu dzieje! Kazałam Mattowi, żeby mi wyjaśnił, w czym rzecz, a on na to, żebym przestała wariować, bo jestem nabuzowana. Jego zdaniem mózg mi się lasuje. Takie prymitywne banały w ustach człowieka, który pracuje słowem! Nic dziwnego, że wciąż jest płotką, miernotą. Spodziewałam się, że więcej osiągnie. Jestem pewna, że wasza znajomość nie ograniczała się do kilku przypadkowych spotkań, prawda? Macie to wypisane na twarzy! Ty kłamliwa suko! Wcale nie jesteś taka święta, co?!

Z zachowania Rachel wynikało, że głośne awantury to jej specjalność. Lizzie daremnie próbowała ją uspokoić. W końcu miała dość wrzasku. Nie wdając się w szczegóły, opowiedziała krótko historię swoich amatorów. Żalosa opowieść. Nigdy więcej, obiecała sobie w duchu. Najwspanialszy orgazm nie jest wart takiego upokorzenia, którego doznawała teraz.

- Przyznaję, że mieliśmy przelotny romans - dodała na koniec. Nie widziała powodu, aby informować Rachel, że ich związek trwał trzy miesiące. Czymże to jest wobec wieczności? Jedną chwilką. - Dawno zerwaliśmy. Popelniłam błąd. Matt też się nie popisał. Jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, w co wątpię, moje życie nigdy już nie będzie takie jak przedtem. Mam tylko nadzieję, że kiedyś spojrzysz na tę sprawę z mojego punktu widzenia i potrafisz mi przebaczyć.

Lizzie była świadoma, że uderza w zbyt wysokie tony, ale nie miała nic do stracenia.

Rachel nie odpowiedziała, a milczenie się przeciągało. Ta cisza źle wróżyła. Podejrzliwie nastawiona Lizzie niemal odetchnęła z ulgą, gdy tamta znowu zaczęła awanturować się i wrzeszczeć na całe gardło.

- Dobrze mówisz! Twoje życie nigdy już nie będzie takie jak przedtem! Nie do wiary! Ty dziwko!!! A ja ci się zwierzałam. Wszystko ci wyznałam. Otworzyłam się przed tobą! Ufałam ci. Napisałam do ciebie o swoich obawach dotyczących romansu męża, a ty byłeś jego kochanką! I pomyśleć tylko, że płacą ci za to, żebyś porządkowała życie innym ludziom! Przecież to śmieszne! Nawet swojego nie umiesz poukładać. Chcesz dostawać pensję za uwodzenie mężów swoich czytelniczek? Uznałam cię za przyjaciółkę. Pewnie nie ja jedna!

- Przepraszam - wykrztusiła Lizzie. Była całkiem zdruzgotana.

Wściekła Rachel rzuciła jej mściwe spojrzenie i ruszyła ku drzwiom łazienki. Potrzebowała czasu, żeby zaplanować następne posunięcie.

- Jeszcze z tobą nie skończyłam. Nie dam się zbyć zdawkowymi przeprosinami. Teraz

wzmę na spytki tego drania, którego nazywałam swoim mężem. Gdy poznam wszystkie wasze sprawy, zdecyduję, jaki będzie mój następny krok. Ani on, ani ty nie jesteście mi potrzebni.

Rachel z trudem wzięła się w garść i wybiegła z toalety. Z sali dobiegała muzyka. Didżeje ostro wzięli się do roboty, goście podrygiwali na parkiecie. Lizzie przemykała się do wyjścia ze sztucznym uśmiechem przylepionym do twarzy. Postanowiła, że z Melissą Matthews porozmawia innym razem.

Gdy wróciła do pustego mieszkania, wzięła z barku parę butelek, poszła do sypialni i zupełnie się rozkleiła. Była pewna, że Rachel zemści się okrutnie. Oczyma wyobraźni widziała artykuły w brukowcach. Wybryki znanej dziennikarki to dla nich wspaniały żer. Rachel mogła dostarczyć tym hienom ciekawych informacji. Odpowiednio podane byłyby atrakcją nie lada.

Lizzie chciała z kimś porozmawiać. Matka odpada; trzeba by jej opowiedzieć całą historię z najdrobniejszymi szczegółami Colin, sąsiad z dołu, to lekkoduch, więc uzna, że nie ma się czym przejmować, i zaproponuje, żeby palili trawkę. Lizzie zadzwoniła do Clare na komórkę, a gdy odezwał się sygnał poczty głosowej, zostawiła rozpaczliwą wiadomość. Potem zupełnie się rozkleiła i szlochała, ciasno owinięta kołdrą, aż zapadła w sen.

Po raz drugi w ciągu sześciu miesięcy jej życie rozpadło się w gruzy. Tym razem sytuacja była po prostu beznadziejna. Rachel nie popuści, bo dyszy żądzą zemsty. Lizzie została tylko praca, którą mogła stracić. Wystarczy jedna afera i w mediach będzie spalona. Problem w tym, że sama podała rywalce swoją głowę na srebrnej tacy.

W taksówce Clare powtórnie wysłuchiwała wiadomości od Lizzie, a następnie zadzwoniła do mieszkania. Nadal nikt nie podnosił słuchawki. Może wyłączyła telefon? Clare uśmiechnęła się do siebie. Wykluczone. Prawdopodobieństwo, że wyciągnie wtyczkę z gniazdka było nikłe, równie nierealne jak optymistyczne przypuszczenie, że mały żarłok, mając w szafce ciastka, sięgnie po jabłko. Najgorszą torturą była dla Lizzie niemożność podniesienia słuchawki dzwoniącego telefonu. Tak czy inaczej zagadka pozostała nierozwikłana. Gdzie ta wariatka się włóczy?

Clare żałowała, że nie jest na bieżąco. Z trudem zrozumiała wiadomość od Lizzie, bo głos jej się łamał, a chwilami mamrotała niezrozumiale. Powiedziała, że pewnie wszystko straci, a grunt usuwa się jej spod nóg. Clare nie wiedziała, ile w tym przesady. Może Lizzie za bardzo dramatyzuje? Z drugiej strony jednak brakowało jej zdolności aktorskich. Nawet jeśli przyjąć, że połączenie było fatalne, co się zdarza, z wiadomości wynikało, że sytuacja jest tragiczna. Lizzie sprawiała wrażenie całkiem załamanej.

Mimo wściekłości, goryczy i rozczarowania, które ogarnęły Clare, gdy poznała całą prawdę o wielkim romansie, Lizzie pozostała przecież jej najbliższą przyjaciółką i powinna być szczęśliwa, w miarę możliwości bez krzywdy osób trzecich. Clare miała do siebie pretensje, bo należało jednak spokojnie wysłuchać argumentów Lizzie. Od paru tygodni chciała do niej zadzwonić, lecz duma i nadmiar zajęć sprawiły, że tego nie zrobiła. Obawiała się, że nigdy jej nie wybaczy, ale liczyła na to, że z czasem na pewno zapomni o całej sprawie. Rzadko się trafia przyjaciółka taka jak Lizzie, a w świecie dalekim od doskonałości trudno żądać, żeby wszyscy byli idealni.

Nie można winić Lizzie za to, że Joe tak się palił do zdejmowania spodni. Nadal nie mogła zapomnieć, jak bardzo zabolą ją mężowska niewierność. Kochała go do szaleństwa. Z młodzieńczym optymizmem patrzyła w przyszłość i widziała ją w jasnych barwach, a tymczasem najdroższy jednym idiotycznym wyskokiem zniszczył tę piękną wizję. Z czasem odzyskała poczucie własnej wartości, ale wszelkie małżeńskie zdrady traktowała odtąd jako osobistą zniewagę, a mężczyzn jak osobistych wrogów. Pospieszna generalizacja? Chyba tak. Może jednak warto sprawdzić, czy wśród tych drani nie ma paru fajnych wyjątków?

Dochodziło pół do dwunastej, gdy Clare otworzyła drzwi mieszkania. Wszystkie lampy były zapalone, ale nie widziało się żadnych śladów życia. Weszła na górę, zajrzała do sypialni i dostrzegła na łóżku kłębek ciuchów o ludzkich kształtach. Lizzie spała na brzuchu, w ubraniu, niedbale przykryta opadającą na podłogę kołdrą. Tusz z rzęs spłynął na policzki.

Obok waląca się butelka po dżinie i druga po toniku. Clare z czułością popatrzyła na przyjaciółkę. Biedactwo, taka była zdołowana, że nawet pić nie potrafiła jak należy. Gdzie pokrojona cytryna? Gdzie szklanka?

Rozebrała zaspaną Lizzie i ułożyła ją wygodnie. Wzięła z kanapy kilka poduszek i ułożyła sobie legowisko w nogach łóżka, aby czuwać nad śpiącą desperatką. Nie miała pojęcia, co ją tak przygnębiło, ale problemy musiały być poważne, skoro jedynym wyjściem okazało się utopienie ich w alkoholu. Clare popatrzyła na kompaktowy odtwarzacz. Aha, Travis do poduszki. Na pewno serce Lizzie krwawiło, kiedy zapadała w pijacki sen.

Lizzie obudziła się w środku nocy. Była zupełnie goła. Leżała na podłodze. Musiała spaść z łóżka. Nie pamiętała, jak dotarła do sypialni. Chwyliła rękami krawędź materaca, podciągnęła się, usiadła i popatrzyła na śpiącego intruza. Szare komórki pracowały opornie. Czyżby miała halucynacje? Wyciągnęła rękę i pogłaskała ciepły policzek. To Clare. Ona śpi. U Lizzie. W ich mieszkaniu. Łzy spływały po brudnej od kosmetyków twarzy, zmywając zaschnięty tusz. Clare wróciła do domu. Lizzie uśmiechnęła się z trudem, ale w tej samej chwili żołądek przypomniał jej, dlaczego ocknęła się przed chwilą. Targana mdłościami poczłapała do łazienki i ulżyła sobie... kilka razy. Samozwańcza pielęgniarzka spała jak suseł.

Gdy Clare otworzyła oczy, budzik wskazywał ósmą. Przez moment nie wiedziała, gdzie jest. Rozejrzała się po pokoju. Ale bałagan! I okropny zaduch. Po chwili uświadomiła sobie, że na wszystkich sprzętach wiszą znajome ciuchy. Jej umysł pracował coraz sprawniej. Przypomniała sobie zdarzenia poprzedniego wieczoru.

Szukając Lizzie, cicho zeszła po schodach i zobaczyła ją na kanapie, ubraną w stare spodnie od dresu i spraną bluzę. Kaptur miała naciągnięty na głowę, jakby się ukrywała. Nerwowo pstrykała guzikami telewizyjnego pilota, skacząc po kanałach. Z uwagą słuchała gadaniny prezenterów telewizji śniadaniowej. Zapewne wstała bardzo wcześnie, bo zdążyła kupić stos porannych gazet. Na niskim stoliku leżało ich mnóstwo, głównie brukowce. Clare nie miała pojęcia, czemu Lizzie tak się nimi interesuje. Trzeba nadrobić wielotygodniowe zaległości, i to natychmiast.

Poszła zaparzyć herbatę w czajniczku i wróciła do zarzuconego prasy salonu. Tym razem chrząknęła głośno, aby przyciągnąć uwagę współlokatorki, która rzuciła pilota i padła jej w objęcia.

- Dzięki, że przyjechałaś. Strasznie za tobą tęskniłam. Wiem, byłam głupia, naiwna, samolubna. Wszystko, co chcesz. Nie chciałam, żeby tak wyszło.

- Wyluzuj, kochanie. Przecież nic się nie stało.

Clare czuła się podle na samą myśl, że w czarnej godzinie zostawiła Lizzie samą. Zawsze była przesadnie zasadnicza. Typowy Byk.

Przytuliła ją mocniej.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła.

Lizzie odsunęła się i machinalnie kiwnęła głową. Spojrzenie miała przygaszone, garbiła się, wtulając głowę w ramiona, które zwisały bezwładnie. Opadła na kanapę. Była wyczerpana, przybita i zrozpaczona.

- Nie jestem tego pewna. Tym razem chyba spieprzyłam wszystko.

Krótko i niezbyt składnie opowiedziała Clare o wczorajszym przyjęciu. Z relacji wynikało, że poszła tam, żeby zrobić pozytywne wrażenie na potencjalnych pracodawcach, ale spotkała okropną żołą i tak się jej naraziła, że teraz na serio obawia się koszmarnego skandalu oraz utraty obu posad.

- Dlatego poszłaś rano po gazety, prawda? Bałaś się, że brukowce o tym napiszą.

- Tak - mruknęła Lizzie, a gdy Clare z niedowierzaniem uniosła brwi, dodała z obawą:

- Nie widziałaś jej wczoraj. Najchętniej zadźgałaby mnie tępym nożem. Obiecała, że mi

dokopie, i dotrzyma słowa. Ten typ tak ma.

- Wiem, co przeżywa. Sama tak się czułam. Nadal mnie to boli.

- Bardzo mi pomogłeś - odparła z przekąsem Lizzie. Próbowwała się uśmiechnąć, ale jej zboląłą twarz wykrzywił ponury grymas. - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, jeśli powiem, że moim zdaniem twoja przeprawa z Joem miała całkiem inny charakter. Gdy zobaczyłam razem Matta i Rachel, od razu wiedziałam, że nie są szczęśliwi we dwoje. Ona go nie kocha. W każdym razie nie jest to dobra miłość. On zasługuje na prawdziwe uczucie.

- Którym jedynie ty możesz go obdarzyć, prawda? Liz, rusz głową. W gruncie rzeczy nie masz pojęcia, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami ich domu. Zakładasz, że wybuchają tam dzikie awantury o takie drobiazgi jak niezakręcona tubka pasty do zębów. Ale rozmaicie to bywa w małżeństwie. Wprawdzie nie obnoszą się ze swoją bliskością, lecz całkiem prawdopodobne, że właśnie teraz kochają się, aż miło. Lizzie wzdrygnęła się, słysząc tę uwagę.

- Nie znasz Rachel. Ona ma obsesję na swoim punkcie. Przyznaję, że początkowo byłam nią zachwycona, ale wychodziłam z tego przyjęcia pełna obaw. Naprawdę mnie przeraziła. Moim zdaniem Matt powinien być z inną kobietą.

- Jasne. Z tobą, co? Nie zapominaj, że też go okłamywałaś. Długo nie miał pojęcia, że sporo wiesz o jego małżeńskich problemach i patrzysz na nie również z punktu widzenia Rachel. Pewnie był zaskoczony, gdy usłyszał, że z nią korespondujesz. Zapewne nie byłeś wczoraj jedyną osobą, która czuła się podle. Kłamstwa ranią. Wiesz o tym od lutego.

Lizzie słuchała Clare nieuważnie. W głębi ducha przyznała jej rację, lecz na razie nie umiała powiedzieć tego na głos. Jeszcze za wcześnie. Teraz łaknęła odrobiny współczucia. Chciała, aby ktoś ją zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Nagle poczuła się kompletnie wyczerpana. Drżała jak w febrze. Poszła do kuchni i zaczęła szukać środków przeciwbólowych oraz ukochanych węglowodanów.

- Biedaczek... - Wydawało jej się, że pomyślała jedynie to słowo, lecz machinalnie wypowiedziała je półgłosem, nie wiedząc, że Clare idzie tuż za nią.

- Wiesz, Liz, nie chcę być brutalna, ale możemy śmiało założyć, że Matt siedzi teraz w domu ze swoją Rachel. Jedno nie ulega wątpliwości: nie pofatygował się tutaj, żeby ci dodać otuchy. Powiedział, że z żoną nic go już nie łączy, ale wiadomo, że to ulubiona kwestia wszystkich zaobrączkowanych facetów, którym marzy się mały romansik. Dziwne, że muszę ci o tym przypominać.

- Zgoda, Clare, ale sama wiesz, jakie uczucia budzą się w człowieku, gdy ktoś okaże mu trochę miłości. Byliśmy razem tacy szczęśliwi. Kiedy dziś się nad tym zastanawiam,

wszystko wydaje się podejrzane, lecz przez kilka tygodni było niemal ‘ idealnie.

- Ale on cię okłamywał. - Clare była pewna, że Lizzie nadal kocha Matta i na razie nie potrafi wybić go sobie z głowy. - Dobrze wiem, kochanie, że mówiąc tak, sprawiam ci przykrość, ale najlepiej będzie, jeśli o nim zapomnisz. Chociaż na parę minut przestań myśleć sercem. Teraz najważniejsze jest, żebyś zachowała posadę i nie straciła wiarygodności.

- Ale jak to zrobić?

- Daj mi pomyśleć... Skoro mam udzielić światłej rady dziennikarce z działu porad, muszę znać fakty. Na razie moja wiedza o tym, kto, z kim, i dlaczego, jest dość fragmentaryczna. Opowiedz mi wszystko, ze szczegółami.

Lizzie nie protestowała. Ufna w zdrowy rozsądek Clare przedstawiła swoją historię, co trwało niespełna godzinę. Opowiadanie szło jej coraz sprawniej. Przemknęło jej przez myśl, że to fajny temat na niewielkie opowiadanie. Albo na powieść. Jeśli straci pracę w radiu i w tygodniku, powinna zostać pisarką. Ta myśl podniosła ją na duchu. Powoli rysował się plan B.

Gdy opowieść dobiegła końca, Clare przygotowała herbatę, a potem zaczęła musztrować przyjaciółkę. Kazała jej wziąć prysznic, zmienić ciuchy i zdrzemnąć się na kanapie, a sama poszła do kuchni, żeby ugotować obiad.

Lizzie obudził natarczywy odgłos dzwonka. Machinalnie wyciągnęła rękę, daremnie szukając budzika. Ohydny dźwięk nadal wwierał się w mózg. Długo nie mogła ustalić, skąd dochodzi. Była półprzytomna i trzęsła się z zimna. Ostatkiem sił podniosła się, usiadła na kanapie i wtedy dostrzegła kartkę walającą się po podłodze.

*Poszłam do apteki po ibuprofen i chusteczki do nosa. Zaraz wracam. Buziaki!*

*Clare*

Pewnie zapomniała kluczy... Lizzie z wysiłkiem popatrzyła na zegarek. Widziała tarczę i obie wskazówki, ale nie była w stanie odczytać godziny. Mózg mi się lasuje, uznała zaniepokojona. Poczłapała do domofonu, zerknęła na moniterek i poczuła nagły przypływ adrenaliny. Znieruchomiała, patrząc na twarz rywalki. Niemal czuła na sobie jej wzrok. Rachel spoglądała prosto w obiektyw kamery. Była zniecierpliwiona i zła jak osa. Odczekała jeszcze chwilę i zaczęła wrzeszczeć.

- Wiem, że tam jesteś!!!

Przerażona Lizzie odruchowo kucnęła, jakby chciała zniknąć jej z oczu. Dlaczego Clare gdzieś polazła? Na miłość boską, jak mogła zostawić ją samą, bez pomocy? Po chwili



Lizzie wzięła się w garść. Nie mogła uciekać przed Rachel jak mała dziewczynka.

- Radzę ci natychmiast otworzyć drzwi. A może wolisz, żebym wróciła tu nieco później z reporterem i fotografem poczytnego brukowca?!

Lizzie błyskawicznie przeanalizowała te słowa i odetchnęła z ulgą. Znakomicie! Rachel jeszcze nie rozmawiała z dziennikarzami. Egzekucja odłożona.

Nacisnęła guzik domofonu, otwierając frontowe drzwi, a potem stanęła na progu mieszkania. Wpuściła Rachel, która obrzuciła wewnątrz taksującym spojrzeniem. Lustracja nie wypadła najlepiej. Przydałoby się porządne sprzątanie. Oto niechlujna jaskinia rozpusty, gdzie jej mąż dopuszczał się cudzołóstwa.

Lizzie ubrana w stare spodnie i spłowiały Tshirt czuła się jak nędzarka przy Rachel, która miała na sobie nienagannie skrojony garnitur. Była doskonale przygotowana do stoczenia walnej bitwy i zamierzała ją wygrać. Nerwowo spacerowała po salonie. Ciszę przerywał jedynie stukot jej obcasów. Spoglądała prosto przed siebie. Była skupiona i bezlitosna.

- Posłuchaj - odezwała się wreszcie. Lizzie nadstawiła uszu. - Nie zamierzam tu siedzieć przez cały dzień. Przyszłam, żeby usłyszeć od ciebie przeprosiny oraz skonfrontować relację Matthew z twoją wersją. Opowiadaj po kolei, jak było, i nie wąż się kłamać, ponieważ zmusiłam go, żeby powiedział mi całą prawdę.

Lizzie westchnęła. Ta zołza straciła już w jej oczach cały urok.

- Powiedziałam ci wszystko. Nie będę się powtarzać - odparła znużonym głosem. - Nie chcę też marnować twojego cennego czasu.

Clare, która tuż po Rachel weszła do mieszkania z torbą pełną medykamentów i ciastek, przez kilka chwil stała cicho w przedpokoju, więc była niemyym świadkiem krótkiej wymiany zdań. W końcu doszła do wniosku, że pora się ujawnić. Rachel była wyraźnie zdumiona nagłym wtargnięciem intruza.

- Jestem Clare, współlokatorka Lizzie. - Ani słowa o tym, że ostatnio tu nie mieszkała. Clare wyciągnęła rękę na powitanie, ale Rachel udawała, że tego nie widzi. Od razu podpadła. Zdrada popełniona przez jej męża nie usprawiedliwia braku dobrych manier, pomyślała uszczypliwie Clare i dodała z wy, szukaną uprzejmością: - Wiem, że to nie moja sprawa... - Z oczu Rachel wyczytała, że ona miała zamiar o tym wspomnieć, nie została jednak dopuszczona do głosu. - Moje zdanie jest takie, że trzeba usiąść przy stole i wypracować kompromis. Domyślałam się, że jesteś wściekła i żadna zemsty, ale proszę, żebyś nie robiła niczego pochopnie, chociaż kusi cię, żeby natychmiast wszystkim dowalić. Moja rada: poczekaj, aż trochę ochłoniesz. Najpierw myśl, potem działaj.

Lizzie z uznaniem popatrzyła na Clare, właścicielkę renomowanej restauracji, znakomitą mediatorkę i negocjatorkę.

- Wiesz co? - odburknęła Rachel. - Nie wiem, czego ci nagadała ta dziwka, lecz prawdopodobnie to same kłamstwa. Mnie i mojego męża też oszukiwała, więc gównu mnie obchodzą twoje dobre rady.

Aha. Talent negocjacyjny Clare okazały się mierny, ale liczą się dobre intencje. Rachel z miną tryumfu a tor ki ciągnęła swoją tyradę:

- Sugerowałabym... Jak ci na imię?

Clare z pozoru spokojnie odpowiedziała na aroganckie pytanie. Miała dość. Odruchowo położyła dłonie na biodrach i przestąpiła z nogi na nogę.

- Sugeruję, Clare - ciągnęła Rachel pogardliwym tonem - żebyś zachowała dla siebie te opinie. Co cię to wszystko obchodzi? Zaczynam podejrzewać, że i ty masz ochotę przespać się z Matthew.

Należałoby zastrzelić tę jędzę, stwierdziła w duchu Clare. Kto jej dał prawo pomiatania ludźmi? I pomyśleć tylko, że przez cały ranek broniła jej przed napastliwością Lizzie. Cóż za czarna niewdzięczność.

Stojąca w kącie Lizzie obserwowała uważnie wymianę ciosów. Pierwszą rundę wygrała Rachel, która teraz zwróciła się do niej.

- Musisz zostać ukarana. Albo sama do końca miesiąca złożysz rezygnację i przestaniesz radzić ludziom, co mają robić w trudnych sytuacjach, albo szefowa pisma oraz reporterzy brukowców dowiedzą się o twoich sprawkach.

Lizzie kiwnęła głową. Po raz pierwszy w życiu postawiono jej ultimatum, więc nie miała pojęcia, jak się zachować. Czy istnieje specjalna procedura obowiązująca ludzi, którzy są zastraszeni? Była dobrze wychowana, ale intuicja podpowiadała jej, że w takim wypadku dziękowanie rozmówcy byłoby nie na miejscu. Po namyśle uznała, że lepiej milczeć, zwłaszcza że zbierało jej się na płacz.

- Żegnam. Sama trafię do wyjścia. - I energicznie ruszyła do drzwi.

Lizzie uznała, że nie warto dłużej być dzielną.

- Co ja mam robić? - Głos jej się łamał. - Chyba powinnam od razu zadzwonić do Susan...

- Ani mi się waż! Rachel powiedziała, że możesz z tym Poczekać do końca miesiąca. W najgorszym razie burza rozpęta się nad twoją głową dopiero po pierwszym. - Clare za wszelką cenę próbowała zachować optymizm. Przed nami jeszcze trzy tygodnie maja. Na moje oko jesteś w takim stanie, że teraz do niczego się nie nadajesz. To nie jest odpowiednia

chwila na podejmowanie ważnych decyzji.

- Nie mogę chować głowy w piasek.

- Czy ja cię do tego namawiam? Uważam tylko, że powinnaś dać sobie trochę czasu i rozważyć starannie wszystkie możliwości, zamiast podejmować pochopne decyzje, których potem będziesz żałowała. - Clare próbowała zyskać na czasie. Miała nadzieję, że za kilka minut Lizzie oprzytomnieje, pozbiera się i zacznie myśleć logicznie. Nie buntowała się, więc korzystając z tej osobliwej ustepliwości Clare zgłosiła kolejną propozycję. - Moim zdaniem powinnaś zadzwonić do Bena, powiedzieć, że chorujesz i nie jesteś w stanie poprowadzić audycji. Chyba nie chcesz przez trzy godziny szlochać do mikrofonu. Słuchacze by tego nie wytrzymali.

Lizzie skrzywiła twarz. Clare zdawała sobie sprawę, jak ważna jest dla niej praca. Gdy z rzadka prosiła, żeby ją ktoś zastąpił, czuła się niepewnie z obawy, że potem jej nie zechcą.

- Zrozum, proponuję tylko, żebyś na tydzień odpuściła sobie wszystkie zajęcia. Potrzebujesz odpoczynku. Masz prawo czasem zachorować. - Gdy Lizzie skinęła głową, Clare dodała: - W takim razie dla własnego dobra zadzwoń też do Susan i uprzedź ją, że znikasz na tydzień. Jestem pewna, że masz zapas odpowiedzi na listy, a gdyby tego nie starczyło, ktoś z redakcji skrobnie parę słów w twoim imieniu. Pora na kurację u pani Ford... Annie Ford. Pojedziesz do matki. To ci dobrze zrobi.

- Ale ona nic nie wie!

- To jej powiesz. Zadzwonię do niej i poproszę, żeby po ciebie przyjechała. Najchętniej sama pojechałabym z tobą na krótki urlop, ale teraz nie mogę się wyrwać. Nawiasem mówiąc, postanowiłam się znowu wprowadzić. Obiecuję, że w przyszłą sobotę wpadnę po ciebie i wrócimy do domu.

- To oznacza... - Lizzie zamilkła i liczyła na palcach. - Dziewięć dni.

- Wcale nie tak długo - mruknęła Clare, zdecydowana wysłać ją na krótkie wakacje. Miała wiele do przemyślenia, a w obecności męczennicy, snującej się melancholijnie po mieszkaniu, nie potrafiłaby się skupić.

- Nie jadę daleko. Jeśli będę miała dosyć, zawsze mogę wrócić wcześniej.

- Naturalnie. Zapropnowałam wizytę u matki, a nie dożywotnie wygnanie.

Lizzie po raz pierwszy tego dnia naprawdę się uśmiechnęła. Clare miała rację. Jak zwykle. Bogu dzięki, że nią pokierowała i sprawiła, że wszystko stało się prostsze. Trzeba wyjechać na tydzień, odwiedzić mamę, wszystko przemyśleć, dobrze się wyspać, odzyskać dystans. Lizzie chciała wrócić do równowagi. Brakowało jej poczucia stabilności. Od powrotu Clare minął zaledwie dzień, a już sytuacja powoli wracała do normy. Zapanował

spokój, do głosu doszedł zdrowy rozsądek.

- Dzięki - wykrztusiła z trudem. Gdy opadło napięcie, wszystko zaczęło jej się mieszać: terminy, sprawy do załatwienia, pogróżki i nowe pomysły na życie. Najchętniej opadłaby na kanapę i drzemała.

Clare na to nie pozwoliła. Zmusiła ją, żeby zadzwoniła do Susan, Robyna i Bena. Wszyscy zostali poinformowani, że Lizzie wyjeżdża na urlop. Nie musiała udawać, że potrzebuje chwili oddechu. Głos jej się łamał, z trudem formułowała myśli, więc bez trudu przekonała ich, że musi jechać. Nawet Ben, który miał dokładnie pięć i pół godziny na znalezienie innego prezentera, nie robił żadnych trudności. Lizzie uświadomiła sobie, że nie jest niezastąpiona, choć tak jej się dotąd wydawało. W obecnym stanie ducha nie wiedziała, czy to powód do radości, czy do płaczu.

Annie Ford rzadko bywała w mieszkaniu Lizzie, która nie dała jej kluczy, żeby nie zachęcać do niezapowiedzianych odwiedzin oraz wielkich zakupów, którymi kończyła się każda wizyta.

- Jak ona się czuje? - Annie była zaniepokojona, bo przez telefon Clare niewiele jej powiedziała.

- Bywało lepiej. Potrzebuje dużo serdeczności, totalnej abstynencji i czasu do namysłu.

- Na miłość boską! Co się stało? Dlaczego ja zawsze dowiaduję się o wszystkim ostatnia? Dawniej byłyśmy ze sobą bardzo blisko. Prawdziwe przyjaciółki!

Clare z uśmiechem pomyślała, że to raczej wątpliwe. Z pewnością czuły się mocno związane, ale przyjaźń? Annie zawsze łudziła się, że ma idealną rodzinę, choć każdy z Fordów miał swoje kompleksy, dla bezstronnego obserwatora widoczne jak na dłoni.

- Teraz nic mi nie mówi - ciągnęła rozżalona Annie. - Kłopoty w pracy czy znowu jakiś mężczyzna? Co z wieczorną audycją? O Boże, wyrzucili ją z radia?

- Ależ skąd. - Clare energicznie pokręciła głową. - Bardzo ją tam cenią. Jest świetna. Zresztą sama wiesz.

Annie zreflektowała się i spojrzała na nią przepaszająco.

- Naturalnie. Jasna sprawa. Ale nie może w ostatniej chwili odwołać programu, wystawiając zespół do wiatru.

- Spokojnie. Producent znajdzie zastępstwo. Lizzie jest w takim stanie, że nie powinna siadać przed mikrofonem.

Annie cmoknęła z jawnym niezadowoleniem. Nic dziwnego, że Lizzie mając taką matkę była obsesyjnie wprost obowiązkowa.

- Bądź cierpliwa - dodała Clare. - Sama wszystko ci opowie. Jest przygnębiona, więc nie naciskaj, bardzo proszę.

- Naturalnie.

Mimo tych zapewnień Clare przeczuwała, że Annie zasypie córkę pytaniami, gdy tylko znajdzie się z nią sam na sam. Przed spotkaniem z matką Lizzie wzięła się w garść, ale nadal wyglądała okropnie. Była niewiarygodnie blada, oczy miała pozbawione blasku, ale starała się zachowywać normalnie. Clare była z niej dumna.

- Cześć, mamó - przywitała się. Gdy znalazła się w objęciach Annie i poczuła znajomy zapach perfum Chanel numer pięć, natychmiast się odprężyła. Niechętnie przyznała w duchu, że cieszy się, bo przez kilka dni będzie pod opieką matki. Aż nazbyt chętnie przystała na to, aby na pewien czas stać się znowu małą dziewczynką.

- Witaj, kochanie. Znowu się sparzyłaś, co? A nie mówiłam? Rodzinna sielanka, o której Lizzie marzyła przed chwilą, natychmiast straciła wiele ze swego uroku. Do trzydziestolatki borykającej się z poważnym kryzysem emocjonalnym nie można przemawiać jak do dziecka. Wyjazd do Hampstead nie był chyba dobrym pomysłem. Zerknęła na Clare, której wyraźnie drżały kąciki ust. Omal nie parsknęła śmiechem, gdy Lizzie dostawała burę.

Annie pogłaskała córkę po głowie.

- Zawsze byłaś trudnym dzieckiem. Z Jonathanem nie miałam żadnych kłopotów. Pomyśl tylko, jak świetnie teraz sobie radzi. Urocza żona, wspaniałe dzieci. A ty? Przyznaję, że osiągasz zawodowe sukcesy, ale nie potrafisz się ustatkować, a stabilizacja to podstawa. Chyba wdałaś się w ojca. Życie z nim było trudne. Zawsze chciał postawić na swoim. Dlaczego jesteś taka przygnębiona? Przez tego faceta, który przed świętami przysłał ci kwiaty? A może winowajcą jest tamten młody mężczyzna z agencji reklamowej, z którym jadłaś obiad, gdy wypatrzyłyśmy cię z Alex w Richmond? - Annie była po sześćdziesiątce, ale miała znakomitą pamięć.

Zdumiona Clare wysoko uniosła brwi. Nie miała pojęcia o istnieniu drugiego adoratora. Lizzie postanowiła od razu wyjaśnić sprawę. Dość sekretów.

- Właśnie o niego chodzi. To zresztą jeden i ten sam mężczyzna.

- Ale nosił inne... - Annie mówiła wolno. Zamilkła z tryumfalnym błyskiem w oku, gdy pojęła, o co chodzi. - Aha, rozumiem.

Lektura kryminałów Agathy Christie nie zrobiła z niej detektywa. Wystarczyło zmienić imię, aby się pogubiła. Prosty i skuteczny sposób.

Lizzie zerknęła na Clare, która nie rzuciła już karcących spojrzeń, a tylko odetchnęła z ulgą. Całkiem nieźle. Obie robiły postępy. Annie zachęcona chwilą ciszy mówiła dalej.

Zawsze jej się wydawało, że ludzie chcą słuchać jej opinii.

- Nadal szukasz tego jedyne, prawda? Wszystkiemu winne są powieści obyczajowe, które czytałaś jako młoda dziewczyna. No wiesz, te o lekarzach, pielęgniarkach i prawdziwej miłości.

- Mamo, dość. Przepraszam, że różnię się od Jonathana i Alex. Wybacz, że przypominam ci tatę. Wiem, że stale cię rozczarowuję. Nie mam męża ani dzieci, a z zawodu jestem specjalistką od orgazmów i masturbacji. Na domiar złego mówię o tym przez radio.

Annie nawet nie mrugnęła okiem. Jeśli Lizzie chciała ją sprowokować, powinna się bardziej postarać.

- Żebyś nie czuła się niedoinformowana, uprzejmie donoszę, że tym razem trafiłam na prawdziwy ideał. Ma jeden feler: jest żonaty. To nie moja wina, że o tym nie wspomniał. Nieważne. Tobie i tacie też się nie udało, więc kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że taki związek nie jest rajem na ziemi.

Annie zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią. To milczenie było wymowne i miało dać córce do zrozumienia, że dotknęła starych blizn, prawie niewidocznych, ale wciąż bolesnych. Lizzie zdawała sobie sprawę, że jej aluzje są niejasne. Miały być swoistym ostrzeżeniem, bo nie życzyła sobie, żeby matka robiła z niej nedorajdę. Znała swoje wady, ale nie miała ochoty o nich rozmawiać.

- Mamo, to nie jest takie proste, jak się z pozoru wydaje.

Obiecuję, że kiedy przyjedziemy do domu, wszystko ci opowiem. Nawet mnie trudno się w tym połapać, bo sytuacja jest bardzo skomplikowana.

Clare przytaknęła ruchem głowy i uśmiechnęła się promiennie do Annie, żeby ją trochę zmiękczyć.

- Dobrze, kochanie. Przecież staram się ci pomóc. Wiesz, jak bardzo cię kocham.

Czasami, pomyślała Lizzie. Tylko czasami.

- Ruszajmy. Wieczorem kupimy na wynos hinduskie jedzenie i przy kolacji wszystko mi opowiesz, dobrze? Mam w lodówce kilka butelek twojego ulubionego piwa.

Lizzie wolała nie pytać, jak długo tam stoją. Złośliwa uwaga popsułaby atmosferę.

Clare zaniósła do auta jej bagaż i obiecała, że przywiezie zapomniane drobiazgi, gdy wpadnie z wizytą. Niewiele brakowało, żeby matka Lizzie powodowana przesadną troskliwością sama zapięła jej pasy bezpieczeństwa. Czy w takiej sytuacji człowiek nie czuje się zdominowany? Po raz drugi w ciągu ostatnich dziesięciu minut Lizzie zastanawiała się, jak Clare zdołała ją przekonać do tego wyjazdu.

- Zaraz wracam, stary.

Matt walczył przez moment z kluczami, potem otworzył na oścież frontowe drzwi i popędził do sypialni, żeby poszukać adidasów. Tenis po pracy. Śmiech na sali. Nie oglądał żadnego meczu, odkąd Boris Becker po raz pierwszy wygrał turniej wimbledoński, a rakiety nie trzymał w ręku co najmniej pięć lat. Musiał zaryzykować w nadziei, że raz wyuczone umiejętności powrócą, gdy wejdzie na kort, a koordynacja ruchowa nie zawiedzie.

Dziś wieczorem nie chodziło wcale o grę. Z wiarygodnych źródeł Matt dowiedział się, że James będzie miał wkrótce wolny pokój. Rytualna porażka na korcie to umiarkowana cena za możliwość szybkiej ewakuacji. Matt finalizował śmiały plan. Dawno powinien to zrobić. Mniejsza z tym, co stanie się później. Najpierw musi nastąpić wielki przełom.

Stał w małżeńskiej sypialni wsłuchany w osobliwą i zaskakującą ciszę wczesnego popołudnia. Ogarnęło go dziwne uczucie? Głód? Popatrzył na zegarek. Całkiem możliwe... Przemknęło mu przez myśl, że kocha ten dom, ale od kilku miesięcy czuje się tutaj obco.

Od wczorajszego wieczoru Rachel traktowała go znacznie gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Nie miał jej tego za złe. Zrobiła mu scenę, podczas której ze zdumieniem skonstatował, że nadal w ogóle go nie słucha. Przepraszał, usiłował tłumaczyć, powiedział całą prawdę. Oznajmiła, że nie interesują jej jego subiektywne oceny i stwierdziła kategorycznie, że za parę miesięcy wszystko się ułoży. Odrzuciła jasny i wyraźny komunikat. Powiedziała tylko, że zasłużył na karę, więc będzie cierpieć. Jak zwykle nie rozumiała, co się dzieje. Przecież cierpiał od wielu miesięcy. Nie tylko ona doznała krzywdy i zasługiwała na współczucie.

W ciągu ostatnich kilku tygodni niezliczone godziny spędził na analizowaniu wydarzeń z punktu widzenia Lizzie. W najlepszym razie wychodził na sentymentalnego głupka, który zdradza żonę, ale nie potrafi zażądać rozwodu. Jeśli interpretował fakty na swoją niekorzyść, sprawiał wrażenie cwane oszusta. Najwyższy czas zapanować nad własnym życiem. Dawno temu powinien to zrobić.

Przebłyśki nadziei zachęciły go do działania. Posłał Lizzie kwiaty, żeby ją ułagodzić, lecz na razie nie dzwonił. Po tym wszystkim, co wycierpiała, powinien najpierw udowodnić, że mimo wszystko miał dobre intencje. Działanie znaczy więcej niż słowa i cały ten szum informacyjny. Matt pragnął szczęśliwego zakończenia i harmonii. W tej chwili najbardziej zależało mu jednak na znalezieniu lewego adidasa. Spod sterty ubrań wystawało znajomo wyglądające sznurowadło. Pociągnął za nie i z samego dna szafy wyciągnął upragniony but.

Miała nadzieję, że James okaże zrozumienie.

A jeśli Lizzie miała rację? Może Rachel istotnie nie była idealną żoną, jak do niedawna uważała Clare? Pod nieobecność Lizzie wzięła się ostro do roboty i poszperała w Internecie, zbierając informacje. Postanowiła spotkać się z Rachel i przemówić jej do rozsądku, ale musiała najpierw pokonać opory związane z faktem, że w tej samej agencji reklamowej pracował Joe Dexter, jej były mąż, przez którego znienawidziła mężczyzn i postanowiła żyć samotnie.

Skoro jednak uznała za konieczne zobaczyć się z Rachel, musiała wejść do budynku i stawić czoło widmom przeszłości.

Wiele było prawdy w powiedzeniu, że czas leczy rany, ale przebaczenie *in absentia* to jedno, natomiast perspektywa spotkania oko w oko z przeciwnikiem to całkiem inna sprawa.

Clare wbiła się na tę okazję w swój najlepszy czarny garnitur i o czwartej trzydziści śmiało weszła do holu, który mimo upływu lat nadal wyglądał znajomo. Miała nadzieję, że Rachel będzie zbита z tropu niezapowiedzianą wizytą, najpierw jednak musiała pogadać z recepcjonistką.

- Clare Dexter? Niesamowite. To naprawdę ty! Gdzie się podziewałaś? Strasznie dawno cię nie widziałem.

Znajomy głos, wciąż bardzo miły dla ucha... Clare odwróciła się natychmiast. Ed Wallace, bardzo przystojny, zawsze szczery.

- Ed? O Boże! Kopę lat! Nie wiedziałam, że tu pracujesz.

- Ależ skąd! Joe chętnie by mnie zatrudnił, lecz nie składał oficjalnej propozycji, bo wie, że odmówię. Mam tu spotkanie.

- Ja również. Mam się widzieć z Rachel Baker. Błagam, tylko nie pytaj, w jakiej sprawie, zaklinała go w duchu. Na szczęście nie musiała uciekać się do konfabulacji. Eda nie interesowały przyczyny jej odwiedzin w biurówcu.

- No i co u ciebie? Wyglądasz świetnie. Do twarzy ci w czerni. Jesteś taka elegancka.

Ed zawsze był pochlebcą. Kto źle wygląda w czerni? Tak czy inaczej miło słuchać komplementów.

- Nadal mam restaurację.

- Super. Twój lokal zyskał dobrą renomę, prawda? Świetnie. Gdzie się mieści? Przepraszam, znasz mnie... Pamięć szwankuje. Bywa, że pod koniec dnia zapominam własnego adresu. Bardzo proszę, nie miej mi za złe tej wpadki.

- Daj spokój. To drobiazg! Restauracja jest w Notting Hill.



- Jak się nazywa twoja restauracja?

- Union Jack.

- Chyba o niej słyszałem.

- Zapewne ode mnie.

- Ależ skąd! Eh, kobieto małej wiary. Daj mi chwilę. Już wiem! Nowa kuchnia brytyjska. Jada tam wiele sław.

Clare z uśmiechem kiwnęła głową. Zawsze ją zdumiewała magia znanych nazwisk. Dlaczego wystarczy, by ktoś pokazał się w telewizji lub na pierwszych stronach gazet, aby wszyscy nagle zaczęli się nim interesować?

- Strzał w dziesiątkę.

- Zdradz mi, co cię sprowadza do CDH w piątkowe popołudnie. Masz randkę? - wypytywał. Nie wiedzieć czemu Clare spłonęła rumieńcem, choć tym razem trafił kulą w płot. - Czy JD wie, że tu jesteś?

JD, czyli Joe Dexter. Koledzy z uniwersytetu, wśród nich Ed, w czasach studenckich mówili o nim inicjałami i tak już pozostało.

- Skądże!

- Tamta przykra sprawa, no wiesz...

- Ed!

- Tak, rozumiem, nie powinienem się wtrącać. Ale sądziłem, że wy... Byłem przekonany, że on nigdy...

- Panie Wallace, pierwsze poważne ostrzeżenie.

- Rozumiem.

- Było, minęło. Za dwa miesiące upłyną dwa lata, odkąd jestem rozwiedziona.

- Naprawdę? W głowie się nie mieści.

Milczenie. Zakłopotanie? Zaduma? Zwykła przerwa w rozmowie? Trudno stwierdzić.

Clare zawsze lubiła Eda. Jedną z wielu bolesnych konsekwencji rozwodu była konieczność rozdzielenia wspólnych przyjaciół na grupę jej znajomych oraz jego znajomych. Ed trafił do drugiej grupy. A szkoda. Był niezwykle dowcipny, a żartował zwykle z samego siebie.

- I co? Zmykasz natychmiast czy znajdziesz chwilę, żeby napić się ze mną piwa i powspominać dawne dobre czasy. Wybieram się później na koszmarną imprezę, ale mam jeszcze pół godzinki z okładem.

Clare popatrzyła na zegarek. Czwarta trzydzieści pięć. Pół godziny jej nie zbawi.

- Doskonały pomysł. Chodźmy na piwo. - Mówiła szczerze. Ed Wallace był dobrym

kompanem. Prawdziwy balsam dla duszy. A piwko dla kurazu nie zaszkodzi.

Rozmowa była dość banalna: o pracy, codzienności, mieszkaniach. Po piwie zamówili dżin z tonikiem i języki im się rozwiązały. Zaczęli rozmawiać o wspólnych znajomych. Ed, jak większość facetów, uwielbiał plotkować. Gdy zamówili następną kolejkę, zapytał ponownie, co sprowadza Clare do agencji reklamowej.

- Muszę pogadać z Rachel Baker.

- O czym? - Ed był wyraźnie zaciekawiony.

- Mamy do omówienia kilka spraw - odparła wymijająco. Ed mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Drobna kobietka, a haruje jak wół. Jak myślisz, skąd czerpie siły? Odnosi same sukcesy.

- I to cię gryzie, co?

- Niespecjalnie. Wiesz, ona bierze.

Clare nadstawiła uszu. Miała przeczucie, że łąda chwila dokona ważnego odkrycia.

- Co? Łapówki?

- Nie. Kokainę.

Clare omal nie spadła z barowego stołka.

Ed wspomniał o nałogu Rachel zwyczajnym tonem, jakby sprawa była oczywista. A może Clare się przesłyszała? Na jej twarzy malowało się chyba ogromne zaskoczenie i zakłopotanie, bo parsknął śmiechem.

- Nadal jesteś prawdziwym niewiniątkiem. Nic się nie zmieniłaś.

Clare natychmiast wzięła się w garść i uszczypnęła go żartobliwie.

- Nie jestem wcale taka naiwna. Trochę mnie zaskoczyłeś, to wszystko. Rachel przygotowuje teraz kampanię antynarkotykową, prawda?

- Owszem. Ironia losu, co? Ale w tej branży prawie nie ma ludzi, zwłaszcza wśród kadry kierowniczej, którzy nie biorą, przynajmniej od czasu do czasu. W tej sytuacji nikt tam nie śmie osądzać kolegów po fachu, bo każdy ma coś na sumieniu. Poza tym nikomu to nie przeszkadza, byle robota była wykonana. Mile widziane są także nagrody lub międzynarodowe wyróżnienia. Z tego, co słyszałem, Rachel się kontroluje. Ale się wygadałem! Mam nadzieję, że nie jesteś reporterką z brukowca, prawda?

Clare wybuchnęła śmiechem. Potrafiła udawać całkowitą beztroskę, kiedy jej na tym zależało. Tymczasem umysł pracował na najwyższych obrotach. Wygląda na to, że w słynnym miłosnym trójkącie nikt nie jest święty. Problem w tym, jak wykorzystać tę informację. A jeśli to zwykła plotka?

- Ciekawa postać. Mówię o Rachel - ciągnął Ed. - Potrafiła skupić wokół siebie młodych, utalentowanych przystojniaków, którzy odwalają za nią prawie całą robotę. Inaczej mówiąc, ma talent do budowania zespołu. Wysoko zajdzie.

Ed sięgnął po kieliszek i wypił za sukces Rachel, a Clare wykorzystała przerwę w rozmowie, żeby znacząco popatrzeć na zegarek. W wyobraźni już zakasywała rękawy i zaciskała dłonie w pięści. Udała ogromne zdziwienie, że jest tak późno.

- O cholera! Przepraszam, Ed, muszę lecieć. Strasznie się cieszę z naszego spotkania. Serdeczne dzięki.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek. Natychmiast się rozpromienił.

- Och, drobiazg. Fajnie jest się napić w miłym towarzystwie. Owszem, lecz Clare odniosła znacznie większą korzyść.

- Mówiłam szczerze. To było naprawdę urocze spotkanie. Łasy na pochlebstwa Ed jeszcze bardziej poweselał.

- A zatem trzeba je powtórzyć. Idźmy na całość i umówmy się na kolację.

- Świetny pomysł. Może przyjdiesz do mojej restauracji? Mamy pyszne jedzenie, oczywiście ja stawiam.

Na widok jego rozradowanej miny powiedziała sobie, że czas przystopować, bo jej intencje mogą być opacznie zrozumiane. Nie życzyła sobie, aby pobiegł do Joego z nowiną, jakoby sama rzuciła mu się w objęcia.

- Umowa stoi.

- Daj mi swój numer telefonu. Nie wiadomo, kiedy znów uda mi się wpaść na ciebie w jakimś holu.

Ed wybuchnął śmiechem.

Jak przystało na ludzi żyjących w dwudziestym pierwszym wieku wpisali rzędy cyfr do pamięci telefonów komórkowych i obiecali zadzwonić. Minęły czasy, gdy bazgrało się niewyraźnie na świstku, który potem ginął tajemniczo, kiedy przechodziło się do innego towarzystwa. Clare obiecała sobie, że zadzwoni do Eda. Zasłużył na dobrą kolację, choć nawet nie wiedział dlaczego.

O piątej pięćdziesiąt osiem Clare wkroczyła do narożnego biura Rachel Baker. Spotykały się po raz drugi w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- Cześć, Rachel.

- Clare. - Ani śladu zdziwienia spowodowanego nieoczekiwaną wizytą.

Clare, nie czekając na zaproszenie, podeszła do kanapy i usiadła. Mimo starannie wykonanego makijażu twarz Rachel zdradzała oznaki zmęczenia. Nic dziwnego, miała koszmarny tydzień. Przysiadła na brzegu biurka. Ostatnia rzecz, na którą miała ochotę, to konfrontacja z tą samozwańczą mediatorką, która na pewno przyszła tu, żeby bruździć. Trzeba objechać Kitty. Nie sprawdza się jako sekretarka. Powinna nosić okulary, żeby widzieć, kogo wpuszcza.

- Nie przypominam sobie, żebym cię tu zapraszała.

- Sama się wprosiłam.

- Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę?

Każde słowo i gest miały dać Clare do zrozumienia, że jest intruzem.

- Posłuchaj, Rachel... - Mimo wszystko postanowiła zacząć łagodnie i sprawdzić, jakie to przyniesie efekty. - Z pewnością domyślasz się, dlaczego cię odwiedziłam. Lizzie jest okropnie przygnębiona. Nie miała złych intencji. Nim Matt wyznał, że jest żonaty, wpadła po uszy. Długo nie miała pojęcia, że jesteście razem, a kiedy się dowiedziała, ze wszystkich sił próbowała wam pomóc i z krzywdą dla siebie ratować wasze małżeństwo.

- Cóż za szlachetność! Serce mi krwawi. - Rachel czuła tylko pogardę dla tamtej niedołęgi, która nie potrafiła nawet walczyć o swoje.

- Zapewniam cię, że Lizzie naprawdę czuje się winna.

- Ale nie raczyła przyjść do mego biura i błagać o przebaczenie. Doceniam twój gest, ale nie mam czasu na głupie rozmowy. Gonią mnie terminy. Lizzie powinna była pomyśleć o konsekwencjach, nim zaczęła sypiać z moim mężem. - Rachel marzyła, żeby się napić. Dzięki Bogu, że istnieją rozmaite dopalacze. Pięła się w górę dzięki nikotynie, kokainie, alkoholowi, coli light, kawie i red bullowi.

Nacisnęła guzik wewnętrznego telefonu i kazała przynieść kieliszki. Sekretarka natychmiast spełniła polecenie, ale zamiast wyjść stanęła w drzwiach, przestępując z nogi na nogę, jakby spieszyło jej się do łazienki... albo do domu.

- Ja... Jeśli to nie problem, chciałabym już wyjść. Miłego weekendu. W poniedziałek wpadnę raniutko na wypadek, gdyby przed dziesiątą trzeba było coś przepisać albo

uporządkować dokumenty. Bez obaw. Wszystko będzie zrobione na czas. - Kitty mówiła takim tonem, jakby dobrze pracując, robiła szefowej uprzejmość, zamiast wykonywać obowiązki w zamian za pensję.

- Dzięki.

Kitty zamknęła za sobą drzwi. Zatrzymała się na moment przy biurku, żeby wziąć torebkę i wyłączyć komputer, a potem niemal biegiem pomknęła na korytarz.

Rachel bez zwłoki wyjęła z lodówki ukrytej w biurowej szafce butelkę białego wina, które chłodziło się przez całe popołudnie. Po alkoholu wypitym do obiadu nie pozostał nawet ślad. Napełniła kieliszki i z czystej kurtuazji jeden podała Clare, uznając w duchu, że w zaistniałych okolicznościach jest to wyjątkowa uprzejmość. Ku jej zdziwieniu Clare nie odmówiła. Wbrew pozorom nie była wcale taka świętą, jak się Rachel wydawało.

Po kilku łykach Clare od razu nabrała animuszu.

- Nawiasem mówiąc, Lizzie nie ma pojęcia, że tu jestem. Gdyby wiedziała, poczułaby się upokorzona. Jest świadoma, że postąpiła źle, i bardzo nad tym boleje. Nie znalazła jeszcze sposobu, żeby się z tym uporać. Chciałam z tobą pogadać, bo jesteśmy do siebie podobne: obie ambitne i odnoszące sukcesy. Dobrze wiem, co czujesz.

- Bzdura! Nie masz o tym bladego pojęcia. Skąd miałabyś wiedzieć, jak to boli, gdy dowiadujesz się, że twój mąż ma romans, a co gorsza odkrywasz, że zdradza cię z osobą, której ufalaś? Ta osoba ma zresztą taki zawód, że powinna pomóc, a nie szkodzić!

Rachel nadal mówiła agresywnym tonem, ale przynajmniej usiadła z kieliszkiem w rękę i przestała wrzeszczeć.

- Zamknij się i posłuchaj mnie przez chwilę - odparła stanowczo Clare. - Mamy ze sobą więcej wspólnego, niż ci się wydaje. Byłam mężatką.

Rachel zmięknęła trochę, gdy zorientowała się, że Clare używa czasu przeszłego.

- Co się stało? - spytała, mimo woli zaciekawiona. W głowie jej nie powstało, że Clare, która wyglądała na typową trzydziestolatkę stroniącą od trwałych związków, ma za sobą nieudane małżeństwo.

- On też pracował w reklamie. Przesiadywał w biurze godzinami i zaczął romansować z koleżanką sześć miesięcy po naszym powrocie z podróży poślubnej. Prowadziłam już wtedy restaurację i rozkręcałam interes, więc byłam strasznie zajęta. Sądziłam, że mnie wspiera, i do głowy by mi nie przyszło, że coś kombinuje za moimi plecami. Dowiedziałam się przypadkiem, gdy koleżanka pokazała mi ilustrowany zdjęciami artykuł w czasopiśmie branżowym. Chciała mi tylko pokazać wnętrze nowej knajpy, a tu się okazało, że na fotce mój ślubny ściska się z tą...

Do tego momentu Clare mówiła spokojnie i rzeczowo, ale im więcej podawała szczegółów, tym bardziej się emocjonowała. Odżyły uczucia przez ostatnie dwa lata pozostające w stanie hibernacji. Gdyby nie fatalna wpadka, byłiby typowym małżeństwem. Pewnie teraz mieliby dziecko.

- Oczywiście czuły uścisk na zdjęciu nie stanowi podstawy do rozwodu, ale tamta patrzyła na niego jakoś tak, że nabrałam podejrzeń. Odczekałam dwa dni, żeby się uspokoić, i zapytałam wprost, co jest grane. Przyznał się. Zapewniał, że to była pomyłka, i twierdził, że spędził z nią tylko jedną noc, ale ja nie wierzę, że można przypadkiem... - Clare zawiesiła głos, robiąc dramatyczną pauzę - robić to czterokrotnie w ciągu jednej nocy.

Mimo woli uśmiechnęła się z rezygnacją. Prawdziwa tragedia. A raczej tragikomedia. Z zadowoleniem stwierdziła, że Rachel po prostu oniemiała. Wszystko szło zgodnie z planem.

- I co zrobiłaś?

- Nie miałam wyboru. Przepędziłam go. Błagał, żebym mu pozwoliła wrócić do domu, ale skończyłam z nim. Byłam załamana. Kochałam go.

Rachel nie wiedziała, jak zareagować, więc ponownie napełniła kieliszki. Musiała przyznać, że stanowczość Clare zrobiła na niej ogromne wrażenie. Facet zdradził, więc został odrzucony. Rachel doszła do wniosku, że na starość robi się miękka. Najwyraźniej nie był to jeszcze koniec opowieści Clare, więc przerwała wewnętrzny monolog. Była szczerze zaciekawiona i z niecierpliwością czekała na dalszy ciąg.

- Nie sądziłam, że po tym wszystkim dojdę do siebie - wyznała Clare - ale z czasem ochłonęłam. Teraz nie czuję już do niego nienawiści, tylko smutno mi, że nasze małżeństwo tak paskudnie się skończyło. Zniszczył moje marzenia o szczęśliwym związku i pozbawił młodzieńczego optymizmu.

Clare zerknęła na Rachel i odetchnęła z ulgą, ponieważ tamta nadal miała zacięty wyraz twarzy i nie budziła sympatii. Obie zostały skrzywdzone, ale teraz stały po przeciwnych stronach barykady.

- Wiedziałaś, z kim cię zdradził?

- Owszem, i to było najgorsze. Na zdjęciu zamieszczonym w czasopiśmie nie rozpoznałam tej kobiety, ale potem uświadomiłam sobie, że spotkałyśmy się wcześniej. Była na naszym weselu. - Clare znowu się uśmiechnęła. Jeśli spokojnie się nad tym zastanowić, jej małżeństwo było zwykłą farsą, chociaż wiązała z nim ogromne nadzieje. Dawniej nie potrafiła dostrzec zabawnej strony tamtych wydarzeń, więc tylko rozpaczała.

- Mówisz o tym bardzo rzeczowo.

- Wierz mi, nie zawsze byłam taka mądra, ale gdy dziś spoglądam na wszystko

chłodnym okiem, dochodzę do wniosku, że sama pogorszyłam sprawę. Byłam okropnie dumna. Uparłam się, że nigdy mu nie wybaczę, ale teraz budzę się rano i zadaję sobie pytanie, czy postąpiłam właściwie. Życie bywa trudne, a ja nie jestem chodzącą doskonałością, więc dlaczego wymagałam, żeby on postępował nienagannie? Może byłoby lepiej, gdybyśmy przynajmniej spróbowali ratować nasz związek i ustalić, dlaczego się między nami popsulo. Gniew mnie zaślepił.

- Widujesz go?

- Ależ skąd! Zerwałam wszelkie kontakty. Za bardzo cierpiałam. Wygląda na to, że najważniejsza była dla niego praca. Nawet kiedy przyjeżdżał błagać mnie o przebaczenie, wpadał na krótko między spotkaniami. Wiem, że w reklamie gonią was terminy, ale chodziło o priorytety. Odnosiłam wrażenie, że praca jest dla niego ważniejsza ode mnie. I pomyśleć, że znalazł jednak czas, aby pół roku po naszym ślubie bzyknąć tamtą panienkę. Może teraz spojrzalabym na to wszystko inaczej, ale jestem taka załamana, że nawet sporadyczne kontakty z byłym mężem nie wchodzi w grę. Po prostu nie mam czasu. Szczerze mówiąc, jestem pewna, że nasze rozstanie to szczęście w nieszczęściu, bo prędzej czy później i tak doszłoby do katastrofy.

Rachel zastanawiała się, kogo Clare usiłuje przekonać: siebie czy ją.

- Chyba stałam się fatalistką. Jeśli byłoby pisane, że mamy żyć razem, toby się nam udało. Mój były odniósł sukces. Wspiął się na sam szczyt, a ja nie byłam mu zawadą. Ma firmę, doskonale prosperuje. Jeśli pominąć negatywne emocje, można powiedzieć, że rozstanie nam obojgu wyszło na dobre.

Clare była zachwycona, gdy Rachel podeszła do niej i usiadła na kanapie. Dobry znak wróżący znacznie lepiej niż początkowa wymiana ciosów. Rachel usiadła wygodnie, z głową na tylnym oparciu. Oto dwie kobiety integrujące się przy kieliszku chablais. Jedna rozwódka, druga niepewna, co z nią dalej będzie. Pora na zwierzenia.

- Ciekawe... - powiedziała Rachel. - Wiem, co masz na myśli, ale potrafię również spojrzeć na sprawę z punktu widzenia twojego męża. Uwielbiam swoją pracę i ludzi, z którymi mam do czynienia. Kocham wyzwania. Powiem ci w zaufaniu, że kampania, którą teraz przygotowuję, doskonale się zapowiada. Nie wiem, czy... ona... - Rachel nie mogła się zdobyć na to, żeby wypowiedzieć głośno imię rywalki - wspominała ci że opracowuję kampanię antynarkotykową? Zaczynam w przyszłym tygodniu. To ogromne przedsięwzięcie, a dl mnie przepustka na sam szczyt.

Rachel milczała przez chwilę, jakby w wyobraźni podziwiał widok roztaczający się z niedosiężnych wyżyn, na które zamierzała się wspiąć.

Clare uznała, że czas dyskretnie przerwać te dywagacje i wrócić do meritum.

- Moja droga, na mnie już pora. Wiem, że jesteś bardzo zapracowana. Proszę, zastanów się dwa razy, nim zrujnujesz Lizzie życie. Pewnie nie będzie chciała tego słuchać, ale moim zdaniem jesteście do siebie bardzo podobne: ambitne, skoncentrowane na pracy i karierze. Ona naprawdę żałuje tego, co się stało. Pamiętaj, że zemsta tylko na krótką metę poprawi ci humor. Przykro mi o tym mówić, ale do zdrady trzeba dwojga.

Wszystko szło jak w zegarku, dopóki nie padły ostatnie słowa. Clare niemal poczuła, że w gabinecie powiało chłodem.

- Chcesz powiedzieć, że to moja wina? - spytała opryskliwie Rachel.

- Ależ skąd. Mówię, że nie tylko Lizzie ponosi odpowiedzialność. Jestem przekonana, że gdyby Matt od razu powiedział, jak z nim jest, z pewnością nie byłoby kolejnych spotkań, a Lizzie by się z nim nie przespała. To do niej niepodobne, żeby umyślnie narażała kogokolwiek na takie cierpienia, które ciebie dotknęły. Moim zdaniem to dla ciebie szczęście w nieszczęściu, że Matt romansował właśnie z nią. Inna z pewnością nie kazałaby mu wrócić do żony, gdy prawda wyszła na jaw.

Rachel poczuła wzbierającą złość. Za kogo ta Clare się uważa? Widziały się raptem dwa razy, przez kilka minut pogadały od serca i już zaczyna się głupia gadka, że niby ma dziękować Mattowi, bo znalazł sobie fajną kochankę.

- Lizzie powinna zastanowić się, co może stracić, zanim poszła do łóżka z żonatym mężczyzną - perorowała Rachel. - Ma rozwiązywać cudze problemy, a nie przysparzać nowych. Ktoś powinien ujawnić jej zakłamanie. Nie jest tym, za kogo się podawała.

Ma tupet, pomyślała Clare. Jeśli wierzyć Edowi, nie tylko Lizzie była hipokrytką. Clare uznała, że musi postąpić wbrew swoim zasadom i uciec się do szantażu. Nie miała nic do stracenia, a Lizzie mogła na tym wiele zyskać.

- Moim zdaniem, powinnaś to przemyśleć.

- Czyżby? - Rachel nie miała takich wątpliwości. Szczerze mówiąc, była znudzona frazesami tej Clare, która powinna się wreszcie zająć własnymi sprawami. - Skoro tak ci zależy na obronie dobrego imienia Lizzie, proponuję, żebyś zadzwoniła w poniedziałek do Kitty i umówiła się ze mną na spotkanie. Tak robią wszyscy interesanci.

- Na twoim miejscu spuściłabym z tonu. - Jawna wrogość Rachel szczerze ubawiła Clare. - Wiem z pewnego źródła, że nie jesteś taka święta. Bierzemy, co?

Clare mówiła wolno i dobitnie. Nie była pewna, czy przy ostatnich słowach Rachel rzeczywiście znieruchomiała, ale teraz nie było odwrotu. Trzeba brnąć dalej.

- Jestem pewna, że twoich kontrahentów bardzo zainteresują informacje o tym, że



zażywasz kokainę. Testujesz produkty stanowiące przedmiot kampanii, prawda? Gdyby ta wiadomość dostała się do gazet, twoja wspinaczka na sam szczyt natychmiast zostałaby przerwana. Nie sędzę, żeby ci zależało na takiej popularności.

Rachel miała wrażenie, jakby ktoś ją nagle przeniecił na lewą stronę. Była wściekła, a zarazem świadoma, że straciła kontrolę nad sytuacją. Wzdrygnęła się.

Clare zamilkła i czekała pełna nadziei. Udawała spokój, ale serce waliło jej mocno. Oczywiście nie miała żadnych dowodów, ale wyraz twarzy Rachel sprawił, że optymistycznie patrzyła w przyszłość. Grała o wysoką stawkę. Tym razem trafiła w dziesiątkę i rozbiła bank.

Rachel pobladła jak ściana. Machinalnie potarła czubek nosa, próbując zyskać na czasie.

- Nie masz prawa rzucać takich oskarżeń. - W jej głosie wyczuwało się strach, ale zgodnie ze swoją naturą próbowała przejąć inicjatywę.

- Dlaczego? Jak śmiałaś zarzucać Lizzie podwójną moralność? Jeśli chcesz zachować nienaganną reputację, radzę ci zapomnieć o planach utracenia jej kariery. Nic mi do tego, że wszyscy w tym budynku chodzą nawaleni. Ty prowadzisz kampanię antynarkotkową, więc powinnaś być czysta, skoro przekonujesz ludzi, że bez ćpania ich życie będzie lepsze i...

- Kto mnie wsypał? - przerwała Rachel.

- Myślisz, że ci powiem? Zapomnij! Intrygowanie to nie moja specjalność, ale jedno wiem: informatorów się nie ujawnia.

- Szantażujesz mnie.

- Nazwałabym to raczej próbą dogadania się. Jeśli zostawisz Lizzie w spokoju, nie będę ci bruździć. Proste jak konstrukcja cepa.

- Ale to dwie całkiem różne sprawy. Lizzie romansowała z moim mężem. Nasze małżeństwo poważnie ucierpiało.

- Nie oszukuj się. Gdyby Matt nie spotkał Lizzie, poderwałby inną laskę.

- Clare, ty jedna wiesz, przez co przeszłam. Obie cierpiałymy z powodu zdrady.

- Nie próbuj mnie wciągnąć do koalicji i nie udawaj ofiary. Sama jesteś sobie winna, bo chciałaś wspiąć się na sam szczyt służbowej drabiny, przeskakując po dwa szczeble naraz.

Rachel wstała z kanapy, usiadła w swoim fotelu i zaczęła obgryzać paznokcie. Clare mówiła dalej. Była w swoim żywiole.

- Teraz wiesz, co czuła Lizzie, kiedy postawiłaś jej ultimatum. Sukces, na który tak ciężko pracowałaś, okazuje się mirażem, bo ktoś ma na ciebie haka. Jak śmiałaś udawać uosobienie prawości i mówić innym, co jest dobre, a co złe? Przykro mi, aniołku. Nie jesteś święta. Twoja aureola blednie.

Clare była zdumiona, że ostre słowa przychodzą jej tak łatwo. Postanowiła wycofać się na z góry upatrzone pozycje, dopóki ma przewagę w tej grze. Rachel nawet gdy przegrywała, była groźnym przeciwnikiem.

- Muszę iść. Nie wspomniałam Lizzie, że zamierzam się z tobą spotkać, więc sama musisz się z nią skontaktować. Moim zdaniem powinnaś się pośpieszyć.

Gdy Clare wyszła, Rachel ze złością kopnęła biurko. Nie umiała przegrywać.

Weekend nie był udany. Matt zniknął na całą sobotę. W niedzielę zaległ przed telewizorem i bezmyślnie gapił się w ekran. Cóż, przynajmniej był w domu, a to już coś. Zapewne potrzebował więcej czasu, ale Rachel zaczynało już nudzić czekanie na powrót dawnych dobrych czasów. I pomyśleć tylko, że dla niego odrzuciła zaproszenie Willa, który proponował wyprawę do modnej restauracji w Soho na brunch. Gdyby z nim poszła, a potem trochę powłóczyła się po ulicach przylegających do Covent Garden, byłaby teraz w lepszym nastroju. A tak przez całą niedzielę musiała słuchać wrzasków dziennikarzy sportowych, komentujących mecze koszykówki i piłki nożnej, a także znosić obecność nadąsanego męża, który na wszystkie pytania odpowiadał monosylabami. Cholera jasna, znowu ten pieprzony poniedziałek. Tyle że nikt się nie pieprzy. Po prostu wspaniale.

Minęło zaledwie pięć dni, ale Clare przywiozła już Lizzie do domu. Po jej ostatnim telefonie doszła do wniosku, że dalszy pobyt u matki przyniesie więcej szkody niż pożytku. Poza tym stęskniła się za nią. Odkąd niedawno odkryła w sobie talent do intryg i tajnych śledztw, ożywiła się i nabrała wigoru. Z trudem przychodziło jej udawanie dawnej Clare, niepewnej i przesadnie ostrożnej. Poza tym na dłuższą metę nie potrafiła utrzymać niczego w sekrecie. Korciło ją, żeby opowiedzieć o niedawnych odkryciach, na razie jednak musiała udawać, że o niczym nie wie, i zachować się w miarę naturalnie, gdy ultimatum Rachel zostanie odwołane. Miała nadzieję, że sprostą wyzwaniu.

Lizzie była zadowolona z powrotu do swego mieszkania. Kobieta po trzydziestce nie jest w stanie przez dłuższy czas znosić matczynych karesów. Rodzinny dom, choć większy od jej lokum, nie dawał ani odrobiny prywatności. Żaden jard kwadratowy na parterze i dwu piętrach nie był zarezerwowany wyłącznie dla Lizzie, która czuła się jak rzadki okaz ginącego gatunku poddawany stałej obserwacji. Panie i panowie, oto córka w stanie załamania nerwowego. Można karmić, wolno głaskać.

Nawet rozmowy telefoniczne nie dawały chwili wytchnienia. Matka przeprowadzała drobiazgowe śledztwo, ilekroć Lizzie dzwoniła lub odbierała telefon, a także gdy prosiła o herbatę albo odmawiała filiżanki świeżego napoju i tak dalej. Każdy fakt wymagał uzasadnienia oraz starannej analizy. Lizzie jeszcze nie wiedziała, jakie podejmie decyzje, ale jednego była pewna. Jeśli nadal będzie musiała tłumaczyć się z każdego postanowienia i udowadniać, że jest zdrowa na umyśle, na pewno dostanie szału. Dobrze znała swoją mamę i zdawała sobie sprawę, że ta ma jak najlepsze intencje, lecz obawiała się, że jeśli dłużej pomieszkają pod jednym dachem, do zarzutu cudzołóstwa dojdzie chyba matkobójstwo.

Był też drugi powód, że wróciła wcześniej, niż planowała. Nie mogła dłużej zaniedbywać pracy. Nawet gdyby pod koniec miesiąca miała odejść z radia i tygodnika, powinna najdalej jutro dostarczyć Susan odpowiedzi na listy, a także przygotować się do czwartkowego programu, bo jeśli zawiedzie, sama położy kres swojej zawodowej karierze. Zdawała sobie sprawę, że jej obawy są przesadzone i nieco melodramatyczne, ale takie miała przeczucie - chyba nie bezpodstawnie.

Clare zrobiła wiosenne porządki. Apartament przy Oxford Road 56 pachniał czystością i kwiatami stojącymi w wazonach. Gdy przyjaciółka szalała w kuchni, Lizzie poszła na górę, żeby przejrzeć zawartość mailowej skrzynki. Nim zasiądą do stołu, chciała rzucić okiem co w niej jest, żeby rozproszyć ogarniający ją lęk. Gdy poczuła snującą się po całym domu woń kulinarnych arcydzieł Clare, ogarnęła ją ogromna radość z powrotu. Ani kwadrans nie wytrzymałaby u matki, ale nie chciała też samotnie przesiadywać w mieszkaniu. Ciekawe, co będzie na kolację.

Clare nie mogła usiedzieć w jednym miejscu. Od piątkowego wieczoru kipiała energią. Gdyby Lizzie nie była tak zaabsorbowana porządkowaniem swego życia i planowaniem przyszłości, z pewnością spostrzegłaby, że jej współlokatorka, dotąd spokojna i opanowana, przypomina mistrza świata w tańcach dyskotekowych, któremu zabroniono wchodzić na parkiet. Clare zastanawiała się, kiedy Rachel zadzwoni lub napisze do Liz. Wciąż nie mogła uwierzyć, że miała takiego farta.

Po smacznym obiedzie Lizzie westchnęła rozmarzona.

- Dzięki za wszystko. Słusznie zrobiłaś, wysyłając mnie do mamy, i dobrze, że dziś po południu zabrałaś mnie od niej. Nie masz pojęcia, jak fajnie jest wrócić do domu.

Umiejętność przyjmowania komplementów nie była nigdy mocną stroną Clare, choć zawsze ich łaknęła. Kiedy ją nimi obsypywano, nie wiedziała, gdzie oczy podziać, i czuła się niezręcznie. Szybko zmieniała temat.

- I co? Zamierzasz dziś zarwać noc?

- Aha - odparła Lizzie z pełnymi ustami. Potrzebowała kilku chwil, żeby przeżuć i połknąć smaczne kąski. - Jutro w południe muszę mieć gotowe odpowiedzi na listy. U mamy trochę pracowałam, ale trzeba wygładzić teksty i parę dopisać. Osobiście zawiozę je do redakcji, a przy okazji zajrzę do Bridget i umówię się na obiad z Susan. Wolałabym sama wszystko jej wyjaśnić, a nie chcę tego robić w przeszklonym gabinecie.

- Już wymyśliłaś, co powiesz?

- Mniej więcej. Jak to mówią, prawda wyzwala, więc nie będę ściemniać. Susan zawsze była mi życzliwa, więc zasługuje na całkowitą szczerłość. Bóg raczy wiedzieć, jak

zareaguje. Łudzę się, że rozbawi ją moja historia, ale nie robię sobie wielkich nadziei. Tak czy inaczej powinna wiedzieć, jak się sprawy mają, na wypadek, gdyby Rachel przedstawiła swoją wersję.

Clare była poważnie zaniepokojona. Wszystkie jej starania na nic się nie zdadzą, jeśli Lizzie pójdzie na spotkanie z Susan, nim Rachel wycofa ultimatum. Patowa sytuacja. Lizzie się wścieknie, gdy usłyszy, że Clare po kryjomu przeczytała jej emaile i posunęła się nawet do szantażu. Zrozumiała reakcja. Każdy by się zżymał. A jeśli Rachel powie Lizzie o pogrożkach Clare? Dobry nastrój natychmiast się ulotnił.

- Po co ten pośpiech, Liz? Masz sporo czasu.

- Wiem, ale nie mogę czekać do ostatniej chwili. Tak się składa, że nawarzyłam piwa, więc muszę je wypić. Jeśli nie znajdę wyjścia z trudnej sytuacji, będę się zadręczać, analizując wszelkie warianty. Znasz mnie i wiesz, jaka jestem.

Lizzie mimo pozorów spokoju okropnie się denerwowała, ale miała pewność, że postępuje właściwie. Zaspokoiwszy głód i pragnienie wróciła do gabinetu i zaczęła porządkować wiadomości. Dostała nadspodziewanie dużo listów z życzeniami szybkiego wyzdrowienia od kolegów z pracy. Poweselała, lecz na krótko, bo radość prysła jak bańka mydlana, gdy Lizzie odkryła wysłaną wczoraj nową wiadomość od [rachelb@CDH.co.uk](mailto:rachelb@CDH.co.uk).

Przez kilka chwil tępo patrzyła w ekran, a włosy jeżyły jej się na karku. Nie było żadnej wskazówki, czego dotyczy list. Rachel nie raczyła opisać jego zawartości. Odpowiednia rubryka była pusta. Może wiadomość to zabójczy wirus niszczący wszystkie dane na twardym dysku? Paranoja? Może trochę. Otworzyć? Nie otworzyć? Oto jest pytanie.

- Clare!

Niezbyt głośne, rozpaczliwe wołanie o pomoc. Lizzie odczekała kilka minut i zawołała ponownie. Zero reakcji. Albo Rachel najpierw zainfekowała Clare, albo ta ostatnia zmywa, słuchając radia włączonego na cały regulator. Zresztą nie warto jej fatygować. Trzydziestodwuletnia kobieta nie ma prawa oczekiwać, że ktoś ją będzie ratować z opresji. W tym wieku trzeba sobie radzić samemu. Trudno. Wystraszona Lizzie odetchnęła głęboko, zacisnęła powieki i dwa razy kliknęła myszką. Najpierw otworzyła jedno oko, potem drugie... Przeczytała wiadomość najszybciej, jak potrafiła. A potem raz jeszcze, sylaba po sylabie.

*Lizzie,*

*Miałam cały weekend, żeby spokojnie wszystko przemyśleć, i doszłam do wniosku, że nie zawiadomię dziennikarzy, jeśli obiecasz trzymać się z dala od Mattheiu. Ostatnio zachowałeś się podle, lecz moim zdaniem rozumiesz ludzi i potrafisz im pomóc. Ale jeśli*

*odkryję, że kontaktujesz się z moim mężem, nie zawaham się i metodycznie zniszczę wszystko, co osiągnęłaś.*

*Rachel Baker*

Gwałtowny zwrot akcji jak w południowoamerykańskiej telenoweli. Lizzie nabrała podejrzeń. A jeżeli to pułapka? Podstęp stanowiący element wrednego planu Rachel? Lizzie czuła, że coś jej umknęło. Jakiś ważny szczegół. Trudno oczekiwać współczucia i przebaczenia od zdradzonej żony, a już z pewnością nie od Rachel Baker. Nawet gdyby przyjął ten list za dobrą monetę, nadal miała w ręku wszystkie atuty. Przecież nie można wykluczyć, że Lizzie natknie się gdzieś na Matta, na przykład w radiu. Czy to będzie oznaczać, że się z nim kontaktowała?

Raz i drugi zawołała Clare, która w końcu przybiegła zdyszana.

- Co jest? Jak się czujesz?

- Spójrz na to.

- Proszę? Wrzeszczysz na całe gardło tylko po to, żebym przeczytała maila? A ja myślałam, że zraniłaś się nożem do papieru. Na miłość boską, nie strasz mnie tak więcej. Nie możesz podnieść tyłka i zejść na dół?

- Przepraszam. - Lizzie wskazała monitor. - Chciałam ci to pokazać, ale bałam się oderwać wzrok od ekranu z obawy, że wiadomość nagle zniknie, bo uznałabyś, że mam halucynacje albo coś w tym rodzaju.

Clare przeczytała wiadomość od Rachel pod czujnym spojrzeniem Lizzie. Po drugiej lekturze przyznała w duchu, że ma do czynienia z cwana baba, która nieźle to sobie wymyśliła. Skoro Lizzie odnosiła się nieufnie nawet do uszczypliwego tekstu, list przyjazny i uprzejmy wzbudziłby znacznie większe podejrzania.

- Dobra nowina. Wygląda na to, że Rachel poszła po rozum do głowy i zmieniła zdanie.

- Na pewno coś knuje, a jestem za głupia, żeby rozszyfrować jej zamysły.

- Przyznaję, że trochę to dziwne, z drugiej strony jednak nie próbuje udawać, że puszcza wszystko w niepamięć i będzie odtąd twoją serdeczną przyjaciółką, mam rację? - Clare zamilkła ze strachu, że się wygada i tylko wzruszyła ramionami. - Nie znam jej sposobu myślenia, ale na twoim miejscu przyjąłabym do wiadomości, że sytuacja zmieniła się na lepsze. Dobra nowina: nie musisz rezygnować z pracy i szukać nowej posady.

- Rachel ze mnie kpi. A jeśli wpadnę na Matta w radiu i ona się o tym dowie? Uzna takie spotkanie za próbę kontaktu? Nie mogę mu dyktować, co ma robić. Nie chcę żyć w

ciągłym strachu jak akrobata spacerujący po linie rozciągniętej nad przepaścią. Szczerze mówiąc wolę pracować w knajpie niż stale się bać.

Clare kochała Lizzie jak siostrę, ale teraz najchętniej by ją spoliczkowała. Co za niewdzięczność! Człowiek staje na głowie, żeby dać tej kretynce drugą szansę, a ona chce zarabiać na życie, nalewając piwo.

- Nie mów głupstw, Lizzie. Uwielbiasz swoją pracę... i jesteś do niej stworzona. Na twoim miejscu nie zadawałabym tylu pytań.

- I tu się różnimy. Mam dość gry pozorów. Ostatnie miesiące były dla mnie koszmarem. Nie będę tańczyć, jak mi zagrają, bo w końcu Rachel i tak mnie przyszpili. Najlepiej będzie, jeśli do niej zadzwonię i porozmawiam. Nawet gdyby ściemniała, ton głosu wiele mi powie. A zresztą trudno wyczuć, czy wiadomość naprawę pochodzi od niej. Jakiś współpracownik mógł ją wysłać z jej komputera.

- Głupstwa mówisz! Przestań się wygłupiać. Wątpię, żeby opowiadała na prawo i lewo o romansie męża. Wybij sobie z głowy spiskowe teorie.

- Brzmia przekonująco.

- Chyba ci odbiło. Kto miałby pisać w jej imieniu? Ilu ludzi wie, że postawiła ci ultimatum?

Lizzie jak zwykle musiała przyznać, że Clare ma rację.

W środku nocy, o pół do drugiej, gdy kończyła pisać odpowiedzi na listy do tygodnika, nie była już taka pewna. Kwadrans po czwartej daremnie usiłowała zasnąć, szukając najwygodniejszej pozycji. Było pół do dziesiątej, gdy ze słuchawką w ręku spacerowała po salonie. Za dwadzieścia dziesiąta Clare wybiła jej z głowy pomysł, żeby natychmiast zadzwonić. O dziesiątej siedemnaście Clare wyszła, a Lizzie wystukała numer.

- Dzień dobry. Agencja reklamowa CDH. Słucham.

- Z Rachel Baker, proszę.

- Proszę zaczekać chwilę. Kogo mam połączyć?

- Lizzie Ford.

- Dziękuję.

- Halo...

Lizzie była zniecierpliwiona, więc natychmiast przeszła do rzeczy.

- Cześć, Rachel. Dzwonię, żeby...

- Tu automatyczna sekretarka Rachel Baker. Przepraszam, nie mogę teraz odebrać telefonu. Rozmawiam z innego aparatu albo wyszłam ze swego biura. Po sygnale proszę podać nazwisko i numer. W wolnej chwili zadzwonię. Można również wybrać 455, żeby

skontaktować się z Kitty, moją sekretarką. Dziękuję. Piiiiiiii.

Cholera jasna. Automatyczna sekretarka. Zostawić wiadomość? Lizzie milczała. Najchętniej odłożyłaby słuchawkę, ale nie uległa pokusie. Wkrótce odzyskała zdolność mówienia, choć głos miała zmieniony. Ważne jednak, że wykrztusiła kilka słów.

- Rachel, mówi Lizzie Ford. Jest środa rano. Spróbuję raz jeszcze skontaktować się z tobą. Dzięki.

Dzięki? A właściwie za co? Przecież to żona mężczyzny, którego Lizzie kochała aż do bólu, a zarazem kobieta bezwzględna gotowa na wszystko, by zniszczyć rywalkę. Sprawczyni emocjonalnego zawirowania typowego dla smarkaczy, które przydarzyło się... dojrzałej trzydziestolatce. Tamto krótkie „dzięki” stanowiło kwintesencję życiowej postawy Lizzie Ford, ukrywającej prawdziwe uczucia. Gdyby przed chwilą była sobą, zakłęłaby szpetnie.

I co dalej? Odczekała niespełna godzinę i zadzwoniła ponownie. Tym razem odezwała się sama Rachel.

- Cześć, tu Lizzie. - Pora zdobyć się na odwagę. Stała wyprostowana jak struna. - Możesz rozmawiać?

- Oczywiście. Poczekaj chwilę.

Lizzie usłyszała szuranie odsuwanej fotela, a potem odgłos kroków i stuk zamykanych drzwi. Była zbita z tropu. Rachel mówiła... no, może nie przyjaźnie, ale uprzejmie.

- Dostałaś emaila?

- Tak. Dzięki. Właśnie dlatego dzwonię. Rachel milczała.

- Do czego zmierzasz? - ciągnęła Lizzie.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - odparła Rachel najbardziej wyrozumiałym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć.

- Ten nagły zwrot o sto osiemdziesiąt stopni jest moim zdaniem dość zaskakujący. Skąd pewność, że ponownie nie zmienisz zdania w chwili, gdy najmniej będę się tego spodziewać?

- Słuchaj no... - Zbyt ostro. Rachel wzięła głęboki oddech i zaczęła ponownie nieco łagodniejszym tonem. Z trudem panowała nad sobą. Pobłażliwość nie leżała w jej naturze.

- Przemyślałam kilka spraw. Nie twierdzą, że jesteś bez winy, ale choć czynię to niechętnie, muszę przyznać, że gdyby między nami wszystko układało się jak należy, Matthew nie szlajałby się po ulicach, szukając atrakcyjnego towaru. Nie da się ukryć, że chciał przelecieć fajną laskę.

Co za styl! Rachel nie miała żadnych zahamowań. Lizzie poczuła się nagle jak tania



dziwka szlifująca londyńskie bruki. A gdzie wielka miłość i namiętność, gdzie przysłowiowy grom z jasnego nieba i wzajemne zauroczenie? Wróciła pamięcią do początków swojej znajomości z Mattem, aby utwierdzić się w przekonaniu, że nie chodziło im o łatwy podryw. Rachel stopniowo się rozkręcała. Nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

- Doszłam do wniosku, że właściwie powinnam czuć ulgę na myśl, że bzykał się z tobą, a nie z jakąś inną lafiryndą. Lepsze to niż romans z odmóżdżoną Barbie, która z pewnością nie kazałaby mu wrócić do żony.

Trudno wyczuć, o co chodzi tej Rachel. Czy próbuje być miła? Chyba tak, uznała Lizzie. Jak dotąd nie padła żadna wzmianka o przewidywanej nagonce prasowej w brukowcach. Całkowita zmiana frontu. Był nawet zawołany komplement. Dano Lizzie do zrozumienia, że nie zalicza się do odmóżdżonych, a to już coś.

- Moim zdaniem, w swojej branży jesteś świetna. Wszyscy popełniamy błędy, więc uznałam, że trzeba dać ci szans - Rachel starała się być przekonująca, choć kłamała jak z nula. Nadal była wściekła, że nie może dokopać Lizzie, ale z powodu interwencji jej wścibskiej współlokatorki stawka była zbyt wysoka, by zaryzykować.

- Dzięki. - Znowu to samo, pomyślała Lizzie. Rachel obrażała ją bezkarnie, słysząc w zamian tylko podziękowania. Lizzie, panienka z dobrego domu, kierowała się zasadami dobrego wychowania, które wpajano jej od wczesnego dzieciństwa.

- Nie zbliżaj się do Matta - oznajmiła stanowczo Rachel. - Jestem przekonana, że my dwoje dojdziemy do porozumienia.

- Naturalnie - wykrztusiła z trudem Lizzie. Na nic więcej nie potrafiła się zdobyć. - No, muszę kończyć - rzuciła.

- Jasne.

- Cześć.

Rachel była uprzejma, lecz spięta, więc Lizzie nie miała pojęcia, co sądzić o jej nowym podejściu do sprawy.

W mieszkaniu panowała cisza. Odłożyła słuchawkę i zerknęła na elektroniczny zegar magnetowidu. W świecie rzeczywistym minęła jedenasta czterdzieści.

Była zgrzana i spocona, gdy wpadła na moment do gabinetu Susan, żeby oddać teksty. Na chwilę zatrzymała się przy biurku Bridget, ustalając termin spotkania z naczelną. Opuściła redakcję i pomknęła do City FM. Kolejne strategiczne posunięcie. Najwyższa pora wkupić się na powrót w łaski radiowego zespołu, na wypadek gdyby ten i ów sądził, że woda sodowa uderzyła jej do głowy, więc rozwała program, pozwalając sobie na gwiazdorskie fochy. Zaproszenie na kawę i ciasteczka poprawi atmosferę przed kolejną audycją. Skoro została jej

tylko praca, trzeba dopilnować, żeby dawała zadowolenie i sprawiała przyjemność.

- Dzisiejsza audycja była świetna.

- Dzięki. Miałaś rację. Nie wolno mi z dnia na dzień wszystkiego oddać walkowerem.

- Nadal nie mam pojęcia, jak ty to robisz. Większości dzwoniących słuchaczy nie byłabym w stanie udzielić żadnej sensownej rady... i pewnie dlatego zamiast ratować innych z opresji, zdecydowałam się prowadzić restaurację. Szczerze mówiąc, nie mam cierpliwości do tych wszystkich nieudaczników. Chętnie bym ich sprąła i porządnie zwymyślała. Ode mnie usłyszeliby tylko, że nie wolno tak marudzić. Kurde, nikt im nie obiecywał, że całe życie będzie piękną bajką.

Słuchając znajomo brzmiących wywodów, Lizzie wzięła sobie dokładkę. Po programie była w euforii, a do tego strasznie zgłodniała, więc zapomniała się na chwilę i popełniła błąd, kupując na wynos górę pysznej chińszczyzny. Teraz pochłaniała drugi talerz smakołyków. Clare początkowo dzielnie opierała się pokusie, ale na widok obfitej dokładki machnęła ręką i wzięła się do jedzenia. Lizzie od razu poweselała, bo jej obżarstwo okazało się zaraźliwe. Poczucie winy dzielone z przyjaciółką było mniej dokuczliwe.

- Powoli staję się znów sobą.

- Z pewnością odzyskałaś dobry apetyt. Tak trzymać. Redaktorki z działu porad są zwykle pulchne, prawda?

- Nie jako trzydziestolatki.

- Przestań się martwić. Trudno pojąć, dlaczego nie tyjesz, choć często jadasz w środku nocy. Mnie wystarczy po dziesiątej spojrzeć na ciastko i do rana wszystkie kalorie odkładają się na brzuchu i biodrach.

- Lubię, kiedy wieczorami jesteś w domu, żeby mi dogadzać. Aż trudno uwierzyć, że zaledwie tydzień minął od dnia, kiedy wróciłam z tobą od mamy. A wrzaski Rachel stojącej w naszym salonie to już prehistoria. Ależ ona krzyczała...

Clare kiwnęła głową. Miały za sobą niezwykły tydzień. Siedziały teraz na kanapie i, nie zważając na dobre maniery oraz wymogi estetyki, palcami wyjadały chińszczyznę z papierowych pudełek. Wyluzowana Clare postanowiła machnąć ręką na tę barbarię i sięgnęła po niedzielną gazetę walającą się obok kartonów z jedzeniem. Nie patrzyła na Lizzie, ale z jej tonu wnioskowała, że tamta nadrabia miną, życiowy horyzont ledwie się przejaśnia.

- Dziwne, że mimo tych wszystkich przykrości, odkąd Rachel zna prawdę, czuję się, jakby kamień spadł mi z serca. Od początku roku byłam wplątana w oszukańcze kombinacje, choć początkowo nie zdawałam sobie z tego sprawy. Po prostu spotykałam się z Mattem, aż

tu nagle wyszło na jaw, - że tkwię po uszy w kłopotach i jestem w sytuacji bez wyjścia.

Lizzie zebrało się na zwierzenia. Nauczona doświadczeniem ostatnich miesięcy postanowiła zapomnieć o tajemnicach i sekretach, przynajmniej wobec Clare.

- Rozmawiałam z Rachel.

Clare znieruchomiała, a następnie przełknęła z trudem. W napięciu czekała na ciąg dalszy relacji.

- Zadzwoń do niej? - spytała ostrożnie. - Tak.

Clare pokręciła głową. Nie była to milcząca krytyka, tylko próba szybkiego rozluźnienia napiętych mięśni szyi.

- Wiem, wiem - dodała pospiesznie Lizzie. - Odradzałaś mi to, ale po jej emailu chciałam wiedzieć, co jest grane. Szczerze mówiąc, ta nagła wolta była dla mnie bez sensu. Nadal nie rozumiem, w czym rzecz.

- Co powiedziała? - Clare nie kryła zainteresowania. Lizzie nie boczyła się na nią, więc chyba Rachel dotrzymała słowa i zachowała dyskrecję. Trzeba słuchać uważnie i zapamiętać jak najdokładniej relację przyjaciółki, żeby później spokojnie przeanalizować każde słowo. Clare była na siebie zła, ponieważ do późnej kolacji wypila dwa kieliszki czerwonego wina. Alkohol zawsze osłabiał jej pamięć, więc skoncentrowała się maksymalnie.

- Coś tam mamrotała, że gotowa jest wziąć na siebie mikroskopijny ułamek winy za małżeński kryzys, bo do pewnego stopnia sama pchnęła Matta w ramiona innej kobiety. Dlatego mi odpuściła. Problem w tym, że jej nie ufam. A jeśli raz jeszcze zmieni zdanie? Co wtedy?

- Może trochę ochłonęła? - Clare ukradkiem próbowała się odprężyć. Zdawała sobie sprawę, że ujawnianie jej udziału w całej sprawie nie jest w interesie Rachel, lecz mimo to była pełna obaw.

- Czy ja wiem... - mruknęła bez przekonania Lizzie i dodała po chwili: - Tak czy inaczej umówiłam się z Susan. Dawno temu zaprosiła mnie na obiad, a poza tym wkrótce wygaśnie mój kontrakt, więc coraz bardziej skłaniam się do tego, żeby złożyć rezygnację. Nawet jeśli teraz Rachel jest wyrozumiała, zawsze będzie trzymać mnie w szachu. Prędzej czy później wybuchnie skandal, a muszę przyznać, że nie należę do osób, którym zależy na takiej popularności. Nie chcę, żeby moje nazwisko było szargane w brukowcach. Wolałabym uniknąć zainteresowania paparazzich. Może to dobra okazja, żeby poszukać sobie nowego zajęcia?

Lizzie starała się optymistycznie patrzeć w przyszłość. Im częściej zastanawiała się nad swoją sytuacją, tym bardziej podobał jej się ten plan, znacznie ciekawszy niż

balansowanie na skraju przepaści. Chciała zachować kontrolę nad swoim życiem.

Clare była kompletnie zaskoczona, ponieważ Lizzie mówiła poważnie o życiowych planach i zamierzeniach.

- Nie decyduj pochopnie. Weź pod uwagę, że w ciągu ostatniego tygodnia wiele się zmieniło. Skoro ultimatum zostało cofnięte, pośpiech nie jest wskazany.

- Podczas wizyty u mamy nie miałam nic lepszego do roboty, więc dokładnie wszystko przemyślałam. Wolałabym nie zmieniać branży, więc nie rezygnując z dziennikarstwa, mogę przejść do innego działu w gazecie albo w radiu. W swoich planach muszę brać pod uwagę warunek postawiony przez Rachel, a mianowicie, że mam unikać Matta. Z tego wnioskuje, że nie wolno mi do niego zadzwonić. - W ostatnich dniach kusiło ją, żeby to zrobić, i to bardzo. - A jeśli on skontaktuje się ze mną? Co wtedy? Wyobraź sobie...

Clare zdrętwiała ze strachu. Lizzie od razu to spostrzegła, ale mówiła dalej. Obiecała sobie, że będzie szczerą. Nie mogła gadać po próżnicy tylko po to, żeby zadowolić przyjaciółkę.

- Ja tylko analizuję rozmaite możliwości. Tak sobie gdybam. No więc, co wtedy?

- Jak to? Chcesz zmienić zawód, ponieważ Matt być może zechce kiedyś do ciebie zadzwonić? - burknęła Clare. Wiedziała, że nie powinna być taka opryskliwa, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Dzięki za dobre słowo - odparła ironicznie Lizzie. - Wiedziałam, że mogę liczyć na twoją pomoc i życzliwość.

Clare wielokrotnie obiecywała sobie, że będzie znacznie bardziej wyrozumiała. No i proszę! Zamiast wspierać Lizzie znowu na nią warczała.

- Mam świadomość, że śmiesz cię moje problemy - ciągnęła Lizzie - ale spróbuj postawić się w mojej sytuacji. - Powiedzmy, że... Moim zdaniem to oczywiście mało prawdopodobne... lecz jeśli tak się ułoży... - Mozolnie dobierała słowa.

Odetchnęła głęboko i dokończyła myśl. - No dobrze. Powiedzmy, że Matt z własnej woli rzuci Rachel i wróci do mnie, kiedy już uporządkuje swoje życie. Wybuchnie skandal i nastąpi wielka katastrofa. Rachel nie odpuści, bo wtedy będzie jeszcze bardziej rozgoryczona i wściekła niż teraz.

- Hej, hej! Jest tam kto? - Clare lekko popukała Lizzie w czoło. - Hej! Czy to Lizzie Ford, kobieta rozumna? Gdzie twoje różowe okulary? Gadasz jak późna Barbara Cartland streszczająca akcję swego mrocznego romansu z wyższych sfer. Dość fantazjowania. Od dziś nie oglądasz romantycznych komedii, tylko kolejne części „Obcego”, westerny i tym podobne. Mówię serio. Skąd ci przyszło do głowy, że on zostawi Rachel? Na razie nie raczył

nawet wpaść, żeby sprawdzić, jak się czujesz. Ona jest furiatką i krętaczką, ale nie sądzę, żeby wrzuciła go związanego do piwnicy, skazując na śmierć z wycieńczenia. A zatem, gdzie on teraz jest? Z nią. Tam, gdzie jego miejsce.

Lizzie z niepokojem słuchała Clare, która perorowała dalej.

- Matt jest na straconej pozycji. Jeśli przyjmujemy skalę emocji, na której jedynka oznacza rozpacz, a dziesiątka ekstazę gdzie byś umieściła kilka ostatnich miesięcy? Oceń sprawiedliwie, nie biorąc pod uwagę waszych łózkowych wyczynów.

Lizzie od razu pojęła, w czym rzecz. Zawahała się na moment, wspominając złe chwile.

- Najgorsze pół roku w twoim dorosłym życiu? - podpowiedziała Clare.

- Zdecydowanie tak.

- Nie mam więcej pytań. Daj sobie z nim spokój. Lizzie kiwnęła głową.

- Wiem, że mnie zbywasz. Nie zaprzeczaj. Masz to wypisane na twarzy - skarciła ją Clare.

Lizzie splonęła rumieńcem. Nie była mocna w sztuce udawania.

- Możesz wierzyć albo nie, ale chcę wyłącznie twego dobra. Jeśli naprawdę marzy ci się szczęśliwe zakończenie z banalną adnotacją, że potem żyli długo i szczęśliwie, poderwij faceta, który nie ma żony. Nawet jeśli zrezygnujesz z dziennikarstwa i zaczniesz kelnerować, nie licz na to, że będziesz mogła bezkarnie sypiać z Mattem. Rachel i tak cię dopadnie. Jeszcze długo będziesz smacznym kąskiem dla hien z brukowców, a ona dostarczy im ciekawych informacji. Raz jeszcze przypominam, że ten twój Matt od wielu dni nie daje znaku życia. Sprawa ma jeszcze jeden aspekt: jeśli się poddasz i zostaniesz kelnerką, Rachel zwycięży na całej linii.

Zdaniem Clare Lizzie na pewien czas straciła instynkt samozachowawczy. W żadnym z analizowanych przez nią wariantów nie było dla tamtych dwojga szansy na wspólne życie. Poza tym zawodowa kariera Lizzie była o wiele ważniejsza niż parę lat spędzonych z Mattem - Nagła wolta Rachel miała zapewne więcej przyczyn, niż się z pozoru wydaje - dodała Clare i natychmiast pożałowała tych słów. Niepotrzebnie piła wino.

Lizzie natychmiast dostrzegła w jej oczach niepokojący blask. To pewne, że coś podejrzewa. Szare komórki już zaczęły pracować. Przypominała niezmordowanego psa myśliwskiego, który szuka śladów, aż dopadnie zdobycz.

- Clare, gadaj, co wiesz. I to już!

- Ja tylko głośno myślę. Prawdopodobnie pogodziła się z Mattem, więc przestało jej zależeć na rewanzu i postanowiła się od ciebie odczepić.

- Nie ściemniaj.

Clare przyznała w duchu, że przed chwilą trochę się zagalopowała, stawiając śmiałą hipotezę, ale to była pierwsza myśl, która jej przyszła do głowy. Postanowiła udawać idiotkę.

- Moja droga, co ja wiem? To nie moja sprawa.

- Czyżby? Przestań mydlić mi oczy i nie zgrywaj niewiniątka. Sądysz, że dam się nabrać? Co miałaś na myśli?

- Powiem ci wszystko, ale obiecaj, że odnośnie swojej pracy nie podejmiesz żadnej decyzji, której byś potem żałowała.

Clare wciąż nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że zdradziła swój wielki sekret. Była na siebie wściekła. Lizzie słuchała uważnie jej relacji, ale puściła mimo uszu wszelkie zapewnienia, że tamta intryga została uknuta dla jej dobra. Myślami była daleko stąd, chociaż milcząca cielesna powłoka została w Putney.

- Kokaina. Nie do wiary. - Kiedy Lizzie odezwała się wreszcie, mówiła równoważnikami zdań. - Te jej zmienne nastroje. Zdaniem Matta czasami świrowała.

- Liz, tylko nie wypalaj! Pamiętaj, zawarłam z nią układ... - Clare była bliska paniki. Jak mogła zdradzić tajemnicę? - Nie powiesz nikomu, prawda? Zdajesz sobie sprawę, jakie to ważne.

- Aha.

- Wiem, co mówię. Znam cię, Liz. Nie potrafisz utrzymać języka za zębami. Nikt się nie może dowiedzieć. Spójrz mi w oczy. Nikt na świecie.

- A jeśli Matt nie ma pojęcia...

- No widzisz? Już cię korci. Ja to wiem. Nie wolno ci zdradzić sekretu. Nikomu. *Personne. Niemand, Nemo.* Żadnych zwierzeń. A Mattem się nie przejmuj. Pewnie ćpali razem.

- Serdeczne dzięki. Ale mi dokopałaś!

- Potrafisz udowodnić, że to nieprawda?

Lizzie udała, że nie słyszy. Nie miała ochoty wyobrazić sobie Matta i Rachel złączonych namiętym uściskiem w kokainowym amoku.

- Wcale nie jest taka święta, co? I pomyśleć tylko, że wygłaszała tu kazania na temat etyki i moralności. Co za tupet!

- Przestań się tak oburzać, Liz. Obie jesteście sobie warte. Chciałabym przypomnieć, że sypiałaś z Mattem, a jego żonie udzielałaś rad, jak ratować małżeństwo.

- Aha.

Szczera prawda, ale przyjemniej jest pomstować niż uznać swoje winy.

- Powiem krótko: zrobiłam to, co uważałam za konieczne, ponieważ moim zdaniem nie ma powodu, żebyś przez jedno spotkanie straciła dorobek całego życia, ale nie łudź się, że jesteś rozgrzeszona. Nie da się ukryć, że sypiałaś z Mattem, chociaż wiedziałas, że jest żonaty.

- No dobra. Masz rację. - Lizzie zamilkła na chwilę. - Chyba powinnam ci podziękować, chociaż knułaś za moimi plecami. - Uśmiechnęła się promiennie do Clare, jasno i wyraźnie dając jej do zrozumienia, że tylko żartowała. Nie chciała ryzykować kolejnego nieporozumienia. - Użałam się nad sobą, a ty wzięłaś sprawy w swoje ręce i zadbałaś o moją przyszłość. Brak mi słów...

Lizzie była mocno poruszona i wcale tego nie ukrywała. Dzięki troskliwości Clare od razu poczuła się lepiej. Musiała być wyjątkowa, bo warto zadać sobie dla niej tyle trudu.

Clare także się rozpromieniła i jednym haustem dopiła wino, bo wzruszenie ścisnęło jej gardło. Cieszyła się, że jej starania zostały docenione, i odczuwała satysfakcję, ponieważ spełniła dobry uczynek. Teraz gdy najgorsze minęło, uznała, że dobrze zrobiła, podejmując ryzyko. Wszystko będzie dobrze.

- Czy nasza panna Marple napije się wina? - zapytała Lizzie. Napełniła kieliszki i odstawiła pustą butelkę.



Jazda autobusem wydawała się początkowo znakomitym pomysłem. Oto szansa, żeby popatrzeć wreszcie na dzielnice Londynu przemierzone zazwyczaj pod ziemią dusznym metrem. Uroczą odmianą po ciasnych pociągach i wąskich korytarzach. Okazało się jednak, że autobus zamarł w bezruchu na pętli przy Oxford Street niczym ociężałe zwierzę, które ani myśli ruszyć swoje czerwone cielsko. Lizzie w bezsilnej złości obserwowała ulicę z górnego poziomu. Przechodnie mijali ją i znikali w tłumie. Wzdłuż krawężnika od czasu do czasu pełzł inny dwupoziomowy autobus. Miała wrażenie, że jest w pułapce.

Oczywiście mogła wysiąść i popędzić do metra albo iść piechotą, ale gotowa była się założyć, że w takim wypadku czerwony potwór ruszy z impetem, spowijając ją chmurą smrodliwych czarnych spalin. Zresztą nie ma powodów do niepokoju. Susan zawsze się spóźnia, więc pośpiech nie jest wskazany. Tłumaczyła sobie, że trzeba zachować spokój, ale czuła, że ogarnia ją panika. Uczucia brały górę nad rozumem. Zebrała manatki leżące na sąsiednim fotelu i zerwała się na równe nogi.

W tej samej chwili autobus ruszył i zaczął wolno toczyć się we właściwym kierunku. Bez pośpiechu, na niskim biegu. Lizzie nadal stała. Ciekawe, jak długo będzie trwała ta podróż. A gdyby tak wysiąść i zaufać własnym nogom?

Autobus był już na Regent Street. Cel wyprawy majaczył w oddali. Na wysokości Hamleys Lizzie postanowiła zrezygnować z usług transportu miejskiego. Pół idąc, pół biegnąc pokonała dystans dzielący ją od restauracji. Spóźniła się umiarkowanie. Była na miejscu siedemnaście minut po pierwszej. Takie spóźnienie należało do dobrego tonu, ale nie miała teraz głowy do takich bzdur, ponieważ ledwie dyszała.

Wychodząc z domu, prezentowała się znakomicie: starannie wymodelowana fryzura, dyskretna woń perfum. Teraz przedstawiała sobą obraz nędzy i rozpacz. No, może nie było aż tak źle, lecz szkarłatne rumieńce na policzkach paskudnie kontrastowały z pastelowym błękitem sweterka. Nawet krótkotrwały wysiłek fizyczny zawsze sprawiał, że Lizzie czerwieniła się jak piwonia. Na domiar złego pod kaszmirowy ciuszek nie włożyła żadnego topu, żeby się nie pogrubiać. Lato było chłodne, więc sądziła, że to właściwa decyzja. Nie przewidziała jednak, że czeka ją wyścig z czasem.

Wpadła do holu spocona, dysząc ciężko. Recepcjonista przyglądał jej się z jawnym rozbawieniem, więc po chwili rumieńce na policzkach stały się jeszcze ciemniejsze.

Z trudem chwytając powietrze, podała swoje nazwisko.

- Lizzie... Ford. Stolik na dwie osoby. Zarezerwowany na nazwisko Sharples... chyba.

Recepcjonista wolno przesuwając starannie wypięlegnowanym palcem po liście rezerwacji. Lizzie dużo wcześniej spostrzegła właściwą adnotację, lecz taktownie milczała, żeby nie podpaść. Zresztą dzięki opieszałości recepcjonisty zyskała na czasie, więc mogła spokojnie złapać oddech. Gdy trafił wreszcie na odpowiednie nazwisko, uznała, że trzeba się usprawiedliwić.

- Przepraszam. Jestem trochę spóźniona.

Puścił mimo uszu tę uwagę. Lizzie zbита z tropu jak nieśmiała nastolatka pokornie podreptała za nim, gdy wykonał nienaganny piruet i ruszył ku stolikowi w głębi sali, gdzie czekała Susan. Dla zabicia czasu rozmawiała przez telefon komórkowy, bez litości katując szare komórki promieniowaniem elektromagnetycznym. Po raz pierwszy w życiu przyszła na umówione spotkanie wcześniej niż Lizzie.

Jak zwykle niczym się nie przejmowała. Spokojnie pożegnała rozmówcę i wstała, żeby się przywitać. Obie panie dwukrotnie cmoknęły powietrze, nawet nie muskając wargami policzków. Lizzie zajęła miejsce przy stoliku. Bolały ją łydki po forsownym biegu w sandałkach na wysokim obcasie, które w domu wydawały się idealne na tę okazję. Z drugiej strony jednak gdyby do kaszmirowego sweterka włożyła adidasy, strażnik pewnie nie wpuściłby jej do restauracji.

- Lizzie, kochanie, dobrze się czujesz? Jesteś taka... zarumieniona. - Susan odwróciła się do kelnera czekającego dyskretnie w pobliżu. - Poproszę jedną butelkę niegazowanej wody mineralnej, dwie szklanki, lód i cytrynę - powiedziała z naciskiem. Słowa brzmiały jak strzelanie palcami. Susan popatrzyła na Lizzie i kiwnęła głową jakby na potwierdzenie faktu, że oczekuje szybkiej i fachowej obsługi.

- Wszystko w porządku - zapewniła Lizzie. - Spóźniłam się i biegłam. Dlatego jestem zdyszana.

Susan popatrzyła na nią z jawnym niedowierzaniem. Biegi uprawiała jedynie pod okiem swego osobistego trenera. Rzecz jasna, nie zakładała wówczas pantofli na wysokim obcasie.

- Najpierw złożymy zamówienie, a gdy będziemy mieć to z głowy, spokojnie poplotkujemy.

Lizzie była pewna, że tematów do rozmowy nie zabraknie. Pod tym względem z pewnością nie zawiedzie szefowej.

Uważnie czytały menu, od czasu do czasu przerywając ciszę pomrukami aprobaty. Wybór nie był łatwy. Tyle apetycznych dań. Długo konferowały z przystojnym kelnerem o francuskim akcencie i śródziemnomorskiej urodzie. Susan robiła do przystojnego młodzieńca

słodkie oczy i bezwstydnie go kokietowała. Zabawa była przednia. Po namyśle zamówiły rybę i odprawiły kelnera.

- Mów szczerze, co u ciebie, Lizzie - zagadnęła Susan. - Od wieków nie miałyśmy okazji, żeby porozmawiać.

Rozmowa oznaczała dla niej plotki na każdy temat. Lizzie czuła, że robi się gorąco, i z emocji znowu pociła się pod kaszmirowym sweterkiem.

- Dobrze ci się pracuje w naszym piśmie?

- Znakomicie. Wiesz, że uwielbiam to zajęcie.

- Jesteś świetna, czytelnicy cię kochają, więc i my gotowi jesteśmy nosić cię na rękach.

- Jak sprzedaż?

- W ciągu ostatnich miesięcy trochę spadła, ale teraz znowu rośnie. Mamy wiernych czytelników. W porównaniu z nowymi tytułami wypadamy całkiem nieźle.

- Dobra nowina. - Lizzie była roztargniona, bo w myśli szlifowała wstęp do swojej opowieści. Gdy na moment zapadło milczenie, uznała, że nie należy zwlekać. Im szybciej powie, co jej leży na sercu, tym lepiej. Wtedy będzie się mogła spokojnie delektować oryginalnie przyrządzoną rybą. Upiła łyk wody, odchrząknęła i zaczęła śmiało:

- Szczerze mówiąc, Susan, chciałabym prosić, żebyś mi doradziła.

- Naprawdę? - Susan pochyliła się nad stolikiem, Niecierpliwie czekała na odpowiedź.

- Sprawa osobista czy zawodowa?

- Raczej to drugie, ale wiąże się ściśle z moim prywatnym życiem, w którym zapanował kompletny chaos.

Susan znieruchomiała, żeby nie uронić ani słowa.

- Chciałabym... - Lizzie westchnęła głęboko. - Postanowiłam zapytać cię, jakie możliwości widzisz dla mnie, gdybym chciała zmienić dział. Zamiast udzielać rad, mogłabym zająć się innymi sprawami, które w mniejszym stopniu angażują uczucia i zmuszają do nawiązywania bezpośredniego kontaktu z czytelnikami.

Susan zmarszczyła brwi i oparła się o ścianę, która oddzielała stoliki. Jej twarz, zwykle pogodna, wyrażała teraz niepokój i z troskanie.

- Dlaczego chcesz się przenieść do innego działu? - spytała zdumiona. - Czytelnicy cię uwielbiają. Jesteś samorodnym talentem. W swojej dziedzinie nie masz sobie równych. Twój program w City FM bije rekordy słuchalności. Twoja sugestia urąga fundamentalnym zasadom marketingu.

- Racja. Wiem, że ta propozycja wydaje się dziwna, ale... Jest pewien problem. Ludzie

mogą zmienić zdanie na mój temat, gdy rozejdą się plotki.

- Śmiało, kochanie. Mów, co ci leży na sercu. Otwieram prywatny dział porad. Obiecuję szczerą za szczerą. Zresztą mam nadzieję, że nie jest tak źle, jak ci się wydaje.

Lizzie długo przyglądała się sztuccom, a potem nie podnosząc wzroku z szybkością karabinu maszynowego wyrzuciła z siebie wszystkie fakty. Zakończyła wzmianką o ultimatum postawionym przez Rachel w czasie imprezy promocyjnej „Blue”. Korciło ją, żeby powiedzieć o odkryciu dokonany przez Clare, lecz ugryzła się w język. Susan nie miała pojęcia, czym jest dyskrecja. Wystarczyło powierzyć jej sekret, żeby następnego dnia znało go całe miasto.

Lizzie podniosła wzrok i spojrzała swojej naczelnej prosto w oczy, spodziewając się wyczytać z nich potępienie albo i coś gorszego. Przyjemnie się rozczarowała, bo jej rewelacje nie zrobiły na szefowej specjalnego wrażenia. Sprawiała wrażenie szczerze ubawionej.

- Zastanawiałam się, kiedy wreszcie ze mną porozmawiasz... Lizzie wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma.

Wszystko jasne. Rachel obiecała, że nikomu nie powie, ale złamała dane słowo. A może Clare znowu się wtrąca? Lizzie miała serdecznie dość jej tajnych machinacji. Była świadoma, że to czarna niewdzięczność, ale wołała sama naprawiać własne błędy.

- Kiedy ci powiedziała? - Lizzie użyła zaimka, nie wymieniając imienia ewentualnej informatorki. Może z odpowiedzi uda się wywnioskować, czy to Rachel, czy może Clare.

- Będiesz na mnie zła, ale przypadkowo podsłuchałam waszą sprzeczkę w czasie imprezy „Blue”.

- W czasie... - powtórzyła niepewnie Lizzie, ale szybko przerwała. - Byłaś na... Niemożliwe! Skąd się tam... Rany boskie!

Potrzebowała kilku chwil, żeby ochłonać. Susan czekała cierpliwie, aż zada konkretne pytanie.

- Co robiłaś na imprezie konkurencji? - usłyszała w końcu.

- Mogłabym cię zapytać o to samo.

Lizzie poczuła, że znowu się rumieni. Chyba weszło jej to w krew.

- Tak się składa... Robyn kazał mi tam iść. Podobno naczelna „Blue”... Nie pamiętam nazwiska. Jak ona...

- Melissa Matthews?

- O właśnie! Podobno Melissa chciała mnie poznać. Zresztą do spotkania nie doszło.

- Nie po raz pierwszy Melissa usiłuje podkupić mi współpracowników - odparła z uśmiechem Susan. Lizzie patrzyła na nią, nie kryjąc zdziwienia. - To prawda, że według niej

jesteś świetna, idealnie pasujesz do profilu jej czasopisma i tak dalej, ale warto dodać, że miała do mnie żal, bo wyszłam za faceta, który od dawna jej się podobał.

- Nie miałam pojęcia, że byłaś mężatką. - Lizzie wiedziała, że Susan wysoko się ceni i dlatego nie zadaje się z byle kim. Była pewna siebie, trudna do zdobycia, ale warta zachodu. Faceci pamiętali o niej latami, a kilku nie mogło sobie darować, że im się wymknęła.

- Moje małżeństwo nie przetrwało próby czasu. Byłam wtedy bardzo młoda. Powiem szczerze: chyba go nie kochałam, choć wszyscy byli nim zachwyceni. Dobrze wspominałam miodowy miesiąc, ale po naszym powrocie z podróży poślubnej na brytyjskie Wyspy Dziewicze pierwsze zauroczenie minęło, a małżonek okazał się strasznym nudziarzem. Jak widzisz, Melissa i ja znamy się od dawna. Gdy stanęła na czele zespołu redakcyjnego, zaprosiła mnie na swoją imprezę promocyjną w rewanżu za rozmaite drobne uprzejmości, które jej wyświadczyłam. Chciała się również popisać. Udało nam się przezwyciężyć dawną wrogość i teraz przyjaźnie rywalizujemy.

- Wyszła za męża?

- O tak. W końcu dopięła swego i stanęła na ślubnym kobiercu z najdroższym. - Oczy Susan zabłyśły. - Niestety, okazało się, że on woli facetów. Powinnyśmy się domyślić, bo świetnie znał się na modzie... i na kobietach - dodała z porozumiewawczym uśmiechem.

Lizzie z trudem dochodziła do siebie. A więc Susan była na bankiecie. Skoro przyjaźniła się z Melissą, zapewne wiedziała o jej negocjacjach z Robynem w sprawie nowego kontraktu. Ciekawe, jak zdołała podsłuchać kłótnię z Rachel. Zapewne kilka innych osób znalazło się dostatecznie blisko damskiej toalety, żeby śledzić awanturę.

- Wcale się nie dziwię, że nie chciałaś poznać Rachel ani przyjąć jej zaproszenia na kolację. To ona dzwoniła do mnie niedawno, prawda?

Lizzie kiwnęła głową.

- Ma charakterek - ciągnęła Susan. - Okropna złoźnica. Kto by pomyślał! Nasza panna wszystkowiedząca niechęć wdała się w romans z żonatym mężczyzną.

Lizzie była zdruzgotana, lecz Susan nadal odnosiła się do niej życzliwie.

- Słyszałaś całą rozmowę? - wypytywała natarczywie Lizzie.

- Chyba tak. - Susan wyczuła, że sprawa jest poważna i przestała się uśmiechać. - Byłam zażenowana, czułam się okropnie, ale utknęłam w toalecie. Naprawdę chciałam wyjść, ale nie było takiej możliwości, więc postanowiłam siedzieć cicho.

- Dziwię się, że następnego dnia nie kazałaś mi złożyć rezygnacji.

- Szczerze mówiąc, jestem trochę zawiedzona, że tak późno przychodzisz do mnie z tą sprawą. Chyba nie przypuszczasz, że zamierzam cię zwolnić, bo zakochałaś się w

nieodpowiednim mężczyźnie. Nikt nie jest doskonały, kochanie. Znasz mnie i wiesz, że też popełniam błędy.

- Ale on był... źle się wyraziłam. On jest mężem czytelniczki, która napisała do mnie z prośbą o radę.

- Kiedy się poznaliście, nie miał tej informacji wytatuowanej na czole, prawda? Ci spryciarze potrafią się zakamuflować. Moim zdaniem to niesprawiedliwe. Ja bym ich znakowała.

Lizzie nareszcie zdała sobie sprawę, że Susan trzyma jej stronę.

- Nie jesteś na mnie wściekła?

- Za co?

- Reputacja pisma może ucierpieć, jeśli sprawa wyjdzie na jaw.

Susan wybuchnęła śmiechem. Lizzie nie była uradowana, że uważa ją za swego błazna.

- Szczerze wątpię. Dziennikarki nie są aniołami. Zdarzają im się zdrady i romanse, a poza tym każda prasowa wzmianka o „Na Głos” jego pracownikach sprawia, że pismo lepiej się sprzedaje. Zatrudniłam cię jako redaktorkę działu porad, a nie jako świątobliwą patronkę. Jesteś człowiekiem i nic, co ludzkie, nie jest ci obce. Powinnaś wziąć pod uwagę, że ten aspekt sprawy jest bardzo ważny dla naszych czytelników. Redaktorzy muszą się doksztalać, więc uznaj niedawne przeżycia za rodzaj życiowej praktyki wzbogacającej twoje doświadczenie zawodowe.

Lizzie nie mogła się oprzeć wrażeniu, że Susan odnosi się do całej sprawy dość nonszalancko. Łatwo powiedzieć: potraktuj romans jako grę edukacyjną i przygodę. Problem w tym, że ta sytuacja wcale nie jest zabawna. No, może trochę. Chwilami nawet bardzo, ale Lizzie wcale nie było teraz do śmiechu. Co się stało z jej poczuciem humoru? Bez wątpienia dawniej je miała.

- Przecież Rachel zagroziła, że mnie zniszczy, jeśli kiedykolwiek odezwę się do Matta.

- Przestań się denerwować i wyluzuj, dobrze? - Zdegustowana Susan pokręciła głową.

- Zbyt poważnie traktujesz tę aferę. Chyba poproszę Bridget, żeby zrobiła ci masaż relaksujący. Jest dyplomowaną aromaterapeutką, wiesz? Albo nie! W twoim przypadku najlepsza będzie joga. Dla mnie to prawdziwa rewelacja. Nareszcie żyję pełnią życia. A może gimnastyka przy muzyce? Relaksacja i wysiłek fizyczny. Do tego ćwiczenia oddechowe. Nie masz pojęcia, jak bardzo odpowiednie wdychanie i wydychanie powietrza wpływa na wygląd i postawę. Zapewniam, że mnie te ćwiczenia cudownie wyciszyły. Z drugiej strony jeśli chcesz uporządkować swoje życie, to tylko joga. Naprawdę działa. Spójrz tylko na Madonnę.

Susan najwyraźniej śledziła wszelkie nowinki w dziedzinie kultury fizycznej.

- Nic mi nie jest. - Lizzie robiła dobrą minę do złej gry.

- Tak, tak. O czym to ja... Ach, już wiem! Zostałaś kochanką żonatego faceta. Mówi się trudno. Tak w życiu bywa.

Lizzie zżymała się, ilekroć była określana tym słowem. Od razu czuła się jak bezduszna i wyrachowana kokietka, umyślnie podrywająca żonatego mężczyznę, żeby dla kaprysu odebrać go małżonce, która nie przeczuwa nadciągającej katastrofy. Taka femme fatale kieruje się wyłącznie prymitywną żądzą. Stereotyp kochanki, mocno zakorzeniony w świadomości przeciętnego śmiertelnika, nie miał nic wspólnego z Lizzie i jej problemami.

- Podsumujmy fakty - ciągnęła Susan. - Po pierwsze, kiedy się poznaliście, ukrył przed tobą, że jest żonaty. Po drugie, już z nim zerwałaś, bo tak nakazywało ci sumienie, choć niejedna samolubna egoistka ciągnęłaby romans. Po trzecie, naprawdę się w nim zakochałaś. Nie chodziło ci jedynie o to, żeby rozwalić jego małżeństwo. Twój czytelnicy i słuchacze chętniej wysłuchają rad kobiety po przejściach niż pouczeń świętoszkowatej paniusi, która nie ma pojęcia, czym jest fajny seks i wzajemne zauroczenie porażające jak grom z jasnego nieba. Taka cnotliwa matrona nie wiedziałaby, o co chodzi, nawet gdyby Brad Pitt chciał zaciągnąć ją do łóżka.

- Chyba masz rację. - Lizzie poweselała. Szkoda, że od razu nie zwierzyła się Susan. Oszczędziłaby sobie wielu nieprzespanych nocy.

- No pewnie! Osobiste doświadczenie to najlepsza nauka. Może powinniśmy o tym napisać.

- Susan... - przerwała Lizzie. Doskonale wiedziała, na co się zanoszą. Susan wszędzie wietrzyła zysk, a tę sprawę wyraźnie uznała za chwytliwy temat wart opisanie w efektywnym artykule. - Nie chcę stać się bohaterką dziennikarskiego happeningu pod tytułem „Lizzie Ford i miłosny trójkąt”.

- Jasna sprawa. Z drugiej strony jednak skoro już o tym wspomniałaś, muszę przyznać, że to dobry temat. - Susan próbowała wyczuć, jak daleko może się posunąć.

- Susan... - powtórzyła Lizzie ostrzegawczym tonem.

- Chyba powinnaś mieć do mnie więcej zaufania. Daj mi dokończyć. Sądzę, że musisz opisać swoje przeżycia. W ten sposób wyjdiesz z tego zwycięsko. Nie podawaj żadnych nazwisk. Jestem pewna, że szczerym wyznaniem zyskasz ogromną sympatię.

- Oraz paru wrogów, którzy wyślą mi listy zawierające ładunki wybuchowe.

Susan puściła jej słowa mimo uszu.

- Jeśli opublikujesz swoją opowieść, przestaniesz być atrakcyjna dla dziennikarzy z

brukowców, a Rachel zostanie z niczym, bo nie będzie już mieć na ciebie haka.

Tu Lizzie przyznała jej rację. Bardzo ważna uwaga. Poza tym Susan słusznie radziła, żeby nie traktować całej sprawy ze śmiertelną powagą. Było, minęło. Życie toczy się dalej. Trzeba iść naprzód. Skoro pojawiła się możliwość wyciągnięcia pewnych korzyści z tej przykrew sprawy, należy to zrobić. Nikt na tym nie ucierpi.

- Niezły pomysł - uznała ostrożnie Lizzie. Musiała przyznać, że Susan dobrze kombinuje.

- Dzięki za dobre słowo. - Susan z wdziękiem pochyliła głowę, jakby kłaniała się niewidzialnej publiczności. - Żałuję bardzo, że wcześniej z tym do mnie nie przyszłaś. Idę o zakład, że przez cały czas niepotrzebnie się zamartwiałaś. To bez sensu.

Lizzie kiwnęła głową i wzruszyła ramionami.

- Rachel tak mi przedstawiła tę sprawę, jakbym istotnie musiała wyrzec się wszystkiego, co dotąd osiągnęłam. Nie mogłam od razu przybiec do ciebie na skargę. Musiałam wszystko przemyśleć.

Przerwały rozmowę, bo przystojny kelner przyniósł zamówione ryby. Susan bezwstydnie z nim flirtowała, a Lizzie małymi łykami piła wodę. Podniosła do ust pierwszy kęs pulpeta z łososia, gdy szefowa ponownie zwróciła się do niej:

- Skoro tamte rzeczy mamy już omówione, przejdźmy do sprawy, która najbardziej mnie interesuje. Czy twój najdroższy naprawdę jest taki wspaniały? Opowiedz mi wszystko ze szczegółami. Kto by pomyślał, że nasza mała Lizzie to prawdziwa uwodzicielka. Przebiłaś wszystkie koleżanki. Jesteś moim czarnym koniem.

- No cóż... - Lizzie położyła widelec na talerzu. Wygląda na to, że nieprędko wstana od stołu.



- Zdobyłam! Mam egzemplarz! Rewelacja! Jesteś na okładce! - wołała Clare z coraz większym entuzjazmem, pędząc po schodach.

Serce Lizzie na moment przestało bić, a potem uderzyło trzy razy szybciej niż zwykle. Ona dziewczyną z okładki? Nie ma mowy.

- Przygotuj się, że w tym tygodniu sprzedaż wzrośnie. Harri położył cały stos przy kasie i każdemu mówi, że mieszkasz za rogiem.

Harri był cichym bohaterem osiedla. Jego malutki sklepik stanowił dla sąsiadów prawdziwy róg obfitości. Dzięki zeszytowi dłużników i dogodnym godzinom otwarcia udało się uratować wiele proszonych kolacji, w pierwszym odruchu spisanych na straty. Niezawodny Harri dostarczał wszystko, czego zabrakło, od kurkumy po trunki i tonik. Lizzie zarumieniła się na myśl, że i on zna teraz historię jej amorów. Nie przejmowała się, że obcy ludzie przeczytają te zwierzenia, ale z lękiem myślała o wszystkich znajomych. Czy odważy się spojrzeć im w oczy?

Clare wyjęła z kieszeni kurtki czekoladę Tobleron.

- Powiedział, że brak ciastek w kształcie trójkąta... miłego, ale to masz na osłodę - zachichotała.

Wnioskując z jej szampańskiego nastroju, Lizzie doszła do wniosku, że w sklepie jest niezła balanga. Dobrze się stało, że wysłała Clare po gazety, zamiast osobiście iść do sklepiku po marnie przespanej nocy. Wstała z samego rana zmęczona obawami z powodu publikacji swoich wyznań.

Clare tanecznym krokiem pomknęła do kuchni, niosąc egzemplarz „Na Głos”, jeszcze ciepły, jak twierdziła. Lizzie wyrwała go jej z rąk. Zgadza się. Kolorowe zdjęcie na okładce. Lśniący papier, format A4. Susan ją przechytrzyła. Podczas rozmowy telefonicznej na temat pierwszej wersji artykułu napisanego przez Lizzie nawet się nie zająknęła, co knuje. Starannie ukrywała swoje zamysły, proponując, żeby fotograf zrobił Lizzie nowe zdjęcie, które miało towarzyszyć jej wyznaniom. Nic dziwnego, że przed tygodniem nie pokazała ich autorce próbnych egzemplarzy. Tłumaczyła, że drukarnia zaważyła terminy, więc brak czasu na ostatnią korektę. Lizzie zerknęła na kuchenny zegar. Cierpliwości. Jeszcze za wcześnie.

Nie zamierzała mówić o tym głośno, żeby jej nie posądzono o próżność, ale na zdjęciu rzeczywiście wyglądała nieźle.

Matka zawsze marudziła, że nie ma jej aktualnego zdjęcia. Teraz każdy ze znajomych mógł je kupić. I tu zaczynały się problemy, bo Lizzie miała nadzieję, że Rachel i Matt ni

dowiedzą się o publikacji artykułu, ale trudno liczyć, że przegapią kolorową okładkę z jej fotką oraz wielkim tytułem Rzecz jasna, nie podała ich imion ani nazwiska, pominęła również wszelkie szczegóły ułatwiające rozpoznanie, a mimo to dręczyły ją wątpliwości, jakby straciła zdrowy rozsądek, szczęśliwie odzyskany podczas obiadu z Susan.

- Nie mogę się doczekać! Daj mi przeczytać artykuł! - Clare stała obok Lizzie, mając nadzieję, że odzyska upolowany egzemplarz tygodnika. Zniecierpliwiona przestępowała z nogi na nogę, chcąc natychmiast przeczytać tekst, ale Lizzie nie zamierzała oddać jej czasopisma.

- Nie mów bzdur. Znasz fakty. Sama mogłabyś go napisać.

Clare była jedną z najlepiej poinformowanych osób uczestniczących w tej grze. Lizzie miała nadzieję, że artykuł przypadnie jej do gustu. Potrzebowała teraz przyjaznego wsparcia.

Przeżywała bolesne rozterki. Jej osobiste życie stało się publiczną własnością. Susan była nałogową optymistką, więc nie brała pod uwagę żadnych negatywnych reperkusji. Jedno nie ulegało wątpliwości: co najmniej osiem dni minie, nim Lizzie będzie mogła spokojnie wejść do kiosku z gazetami lub małej pizzerii. Lizzie przyglądała się trzymanemu w dłoniach tygodnikowi. Mniej więcej w dwóch trzecich jego szerokości, bliżej prawego brzegu zachodzący na ramię dziewczyny z okładki wyrazisty zwiastun:

*Moja udręka i ekstaza Wyznania Lizzie Ford z działu porad* Lizzie kartkowała egzemplarz, przerzucając niezliczone strony z reklamami. Wkładki i foldery spadały na podłogę. Na stronie sto pięćdziesiątej czwartej znalazła swój artykuł i natychmiast pograżyła się w lekturze. Czytanie artykułu przypominało rozdrapywanie zabliznionych ran. Nie była w stanie przerwać, choć wiedziała, że potem tego pożałuje.

*Zawsze byłam kobietą z zasadami i starałam się żyć w miarę uczciwie. Przyznaję, że gdy pierwszy raz spróbowałam alkoholu iv pubie, miałam zaledwie piętnaście lat. Zdarzało mi się z konieczności parkować w niedozwolonych miejscach, a podczas studiów kilka razy paliłam marychę, ale zapewniam, że ogólnie jestem w porządku, bo nigdy nikogo umyślnie nie skrzywdziłam. Z przykrością muszę wyznać, że ostatnio zdarzyło mi się nieświadomie sprawić ból innej osobie. Cierpi przeze mnie troje ludzi. Czworu, jeśli doliczyć i mnie. I to bardzo.*

*Nie ma gorszej tortury niż duchowe katusze. Brak na nie lekarstwa. Żaden środek przeciwbólowy nie pomaga. Medycyna jest bezradna. Telewizja i prasa nieustannie karmią nas opowieściami o podobnych przypadłościach. Schorzenia takie jak wrzód żołądka, choroba wieńcowa, astma, marskość wątroby, miażdżyca, alergia można leczyć pigułkami. Dziś omawiamy poważniejsze dolegliwości, a mianowicie sercowe cierpienia i zawody*

*miłosne. Tu nie da się przyspieszyć rekonwalescencji. Złamane serca leczy jedynie czas.*

*Dojdziemy do siebie. Obyło się bez rozlewu krwi. Popłynęło wiele łez, są problemy z wagą (musi być ruch w interesie), ale brak widocznych obrażeń ciała. Żeby uwolnić się od złych wspomnień, wszyscy musimy znaleźć drogę do wzajemnego przebaczenia i strzec się wszechogarniającej goryczy.*

*Najważniejsza prawda, jakiej nauczyłam się w tym roku, to rzecz podstawowa, a mianowicie, że nikt nie jest doskonały. Każdy z nas ma takie wspomnienia i życiowe doświadczenia, które mogą wskazywać, że jesteśmy nieskazitelni, więc nie odnoszą się do nas żadne krytyczne uwagi. Nic z tych rzeczy, ja, wy, oni - wszyscy popełniamy błędy. Zawsze mi się wydawało, że mam trzeźwy sąd. Poznałam mężczyznę. Wydawał się stworzony dla mnie. Gotowa byłam stawić czoło wszystkim cynikom i jednym słowem odeprzeć wszelkie gromadzone przez nich latami argumenty. Czulałam się niezwykła. Trzymałam w ręku bilet do krainy szczęścia. Niespodziewanie pociąg, który miał mnie tam dowieźć, wypadł z szyn i wykoleił się, bo nie wzięłam pod uwagę znaków ostrzegawczych.*

*Na początku naszej znajomości przez sześć tygodni nie miałam pojęcia o pewnym drobiazgu. Mój chłopak był żonaty. Kiedy prawda wyszła na jaw, oznajmił, że jego małżeństwo dawno przestało istnieć i jest nim tylko z nazwy. Chciałam wierzyć ukochanemu i dlatego na kilka tygodni dołączyłam do grona kobiet uchodzących za bezwzględne, samolubne jędze o kamiennych sercach, za wyrachowane i chciwe złodziejki cudzych mężów. Myślicie, że przez tych kilka tygodni pielęgnowałam długie paznokcie, nosiłam zwiewne negligé, pozwalałam się obsypywać klejnotami od Tiffany'ego i przyjemnie spędzałam czas z ukochanym w najpiękniejszych miastach Europy? Czy pławiłam się w luksusie? Czy żyłam jak w bajce? A może jednak byłam zawiedziona, dręczyło mnie poczucie winy, serce mi się krajało, miałam poczucie odrzucenia, byłam oszukana i niezadowolona? Chyba już wiecie, jak wyglądało moje życie.*

*Pokochałam niewłaściwego mężczyznę, ale nim to pojęłam, było już za późno. Wpadłam jak śliwka w kompot. Po raz pierwszy wydawało mi się, że spotkałam człowieka, który idealnie do mnie pasuje. Oboje jesteśmy pracoholikami, uwielbiamy romantyczne komedie i chętnie wskakujemy do mego łóżka. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Powinnam nabrać podejrzeń. Ilu przystojnych mężczyzn po trzydziestce nie ma żadnych zobowiązań? Dlaczego nie zachowałam czujności? Przecież wiadomo, że wszyscy faceci to dranie... nawet ten, z którym sypiałam. Idealny związek nagle zmienił się w koszmar.*

- Herbaty? - Clare próbowała zwrócić na siebie uwagę zaczytanej Lizzie. Na próżno.

Równie dobrze mogłaby stać się niewidzialna. Odchrząknęła głośno. Znowu nic. Lizzie studiowała uważnie ostatni akapit, choć miała dość tej lektury.

*Wiele żon zapragnie utopić mnie w łyżce wody. Znajdą się kochanki gotowe opowiadać godzinami, jak podle czuje się ta trzecia. Nieważne. Chciałam tylko wyznać całą prawdę. Zależało mi na tym, żebyście ode mnie dowiedzieli się, co zaszło. Mam nadzieję, że potrafię uporać się ze swoimi problemami i pójść dalej. Nie chcę, żeby tamte przeżycia stały się dla mnie balastem na długie lata. Nauczyłam się, że nie należy sądzić po pozorach. Najpierw trzeba poznać wszystkie fakty, a dopiero potem decydować.*

*Możecie nas różnie oceniać, lecz w gruncie rzeczy byliśmy tylko dwojgiem ludzi porwanych siłą uczuć. Przeżyliśmy nagle zauroczenie, robiliśmy sobie wielkie nadzieje, a nawet kochaliśmy. W tej grze brak zwycięzcy. Miłość nie pokona wszystkich przeszkód, które stawia przed nią codzienne życie...*

W kuchni panowała zupełna cisza. Matt wyskoczył na chwilę po mleko i od razu spostrzegł na stojaku z prasą znajomą twarz. Nie mógł przejść obok całkiem obojętnie. Najpierw był zaskoczony i wściekły, że Lizzie sprzedała tygodnikowi ich historię, lecz wkrótce uznał, że złość jest bez sensu. Żyła z pisania o życiowych problemach, więc ujawnienie własnych dylematów to właściwa kolej rzeczy. On sam dawno stracił prawo do krytykowania jej poczynąń.

W drodze do domu wpatrywał się w dwuwymiarową podobiznę Lizzie. Nie mógł się doczekać, kiedy przeczyta artykuł. Na widok kolorowej okładki Rachel natychmiast straciła humor i zaczęła się go czepiać. Chyba znów podpadł. Jak zwykle. Z drugiej strony jednak gdyby nie pokazał jej tygodnika, zostałby oskarżony, że coś ukrywa. Cierpliwie tłumaczył, że nikt się nie domyśli, o kim pisze Lizzie.

Kolejny błąd. Rachel natychmiast zarzuciła mu, że chce jej dokuczyć, więc trzyma stronę tamtej. Nie miał pojęcia, o co chodzi. W tej opowieści najbardziej oberwało się jemu, bo wyszedł na krętacza i oszusta. Może Rachel sama to zrozumie, kiedy skończy lekturę artykułu studiowanego niemal słowo po słowie. Zwykle czytała błyskawicznie, więc podejrzewał, że teraz uczy się na pamięć kluczowych zdań.

Czekając, aż zamknie tygodnik, uważnie ją obserwował. Nie był w niej zakochany. Doskonale o tym wiedziała. Po pięciu wspólnych latach nie chciała przyjąć do wiadomości, że przegrywa, że poniosła życiową porażkę. Miłość była dla niej sprawą drugorzędną. Liczyły się pozory i styl życia. Miał nadzieję, że dojrzała do jego zmiany.

Tymczasem na Oxford Road telefon zadzwonił dopiero o jedenastej.

- Kochanie.

Lizzie już zaczynała się niepokoić. Kiosk był czynny od co najmniej czterech godzin. Miała nadzieję, że matka okaże zrozumienie. Ciche zwierzenia w przytulnym salonie to jedno, lecz artykuł, który mogą przeczytać wszyscy jej znajomi, to całkiem inna sprawa.

- Jak się czujesz? Widziałaś artykuł? Jakżeby inaczej! Ależ ze mnie idiotka. Co ja gadam?

Ta paplanina oznaczała, że nie będzie kazania pod hasłem: zawiodłaś mnie i samą siebie. Lizzie poweselała.

- No, no... Moja córka czyjaś kochanką. Kto by pomyślał? Ślicznie wyglądasz na okładce. Naprawdę przepięknie. Nie martw się, jeśli zaplamisz albo podrzesz swój egzemplarz. Kupiłam sporo, będą na zapas. Schowam je dla twoich dzieci. Jestem z ciebie taka dumna.

Lizzie wydawało się, że w głosie matki słyszy prawdziwe wzruszenie, postanowiła więc zachować dla siebie uwagę, że sypianie z mężem innej kobiety nie stanowi powodu do dumy. Lepiej nie psuć nastroju chwili. Zignorowała też uwagę na temat ewentualnych dzieci.

- Mamo, u mnie wszystko dobrze.

- Świetnie się spisałaś, kochanie.

Lizzie od razu spostrzegła, że matka porzuciła uroczysty ton i zaczęła mówić normalnie. Zdawała sobie sprawę, że w głębi duszy matka czuje się urażona, lecz starannie ukrywa negatywne emocje. Sama zachowywała się identycznie. Miała to w genach.

- Nie brak ci odwagi - ciągnęła Annie. - I zdecydowania. Wolałabym jednak, żebyś zwierzyła mi się od razu, zamiast dusić to w sobie i czekać, aż Clare każe ci jechać do domu. Przecież po to jestem. Tylko czekam, żeby ci pomóc. Na co dzień wolę się nie wtrącać, ale sama wiele w życiu przeszedłam, a poza tym jestem twoją matką.

- Masz rację... Bałam się, że będziesz na mnie zła - odparła wymijająco Lizzie. Poza tym chociaż to staroświeckie i niezgodne z duchem czasu, trochę krępowała się rozmawiać z matką o swoim życiu erotycznym.

- Czy między tobą i Clare wszystko gra? Rzecz jasna, nie miałam pojęcia, że się posprzeczałyście. Zawsze dowiaduję się ostatnia. Wierz mi, kochanie, stanowczo wolałabym słyszeć o takich rzeczach z twoich ust, zamiast czytać o nich w gazecie. Pod tym względem jesteś trochę dziwna. Na szczęście kupiłam egzemplarz, nim ktokolwiek do mnie zadzwonił. Wyobrażasz sobie, jak byłabym zakłopotana, gdybym nie wiedziała, co się dzieje?

- Wybacz, mamo. Przeżywam trudne chwile - wpadła jej w słowo Lizzie, czując

wzbierającą irytację.

- Rozumiem. Moim zdaniem ten artykuł przyniesie ci same korzyści, ale Bóg raczy wiedzieć, co pomyślą dziewczyny z mojej czwórki do brydza.

Należało to wziąć pod uwagę. Lizzie przeżywała życiowy kryzys, ale powinna dwa razy się zastanowić, nim naraziła na szwank pozycję matki w słynnym kółku brydżowym podlondyńskiego Hampstead.

- Nie miałam pojęcia, że będziesz na okładce - dodała z wyrzutem Annie.

- Ja również dowiedziałam się o tym dziś rano - zapewniła skwapliwie Lizzie.

- Nasza wioska zatrzęsie się od plotek. Bóg jeden wie, co ludzie powiedzą.

Matka Lizzie z uporem godnym lepszej sprawy nazywała Hampstead wioską. Każdy ma prawo do własnej wizji.

- Jako matka kochanki żonatego faceta pewnie zostaniesz ekskomunikowana - straszyla Lizzie.

- Łatwo ci mówić.

- Szczerze mówiąc, wątpię, żeby wiele pań po sześćdziesiątce czytało „Na Głos”.

W słuchawce zapadła krępująca cisza.

- Mamo?

- Zapewne masz rację... co do innych miejscowości. Ale u nas jest inaczej. W ciągu ostatnich miesięcy... bardzo zachęcałam...

- Mam rozumieć, że zmusiłaś wszystkie panie po sześćdziesiątce mieszkające w twojej dzielnicy, żeby zaprenumerowały „Na Głos”?

Wygląda na to, że matka sama się wrobiła, przemknęło Lizzie przez myśl. Może to ją czegoś nauczy. Chyba jednak nie. Z drugiej strony...

- Zrobiłam to dla twego dobra, kochanie. Wiem, jak ważne są wyniki sprzedaży. Muszę przyznać, że wiele pań nie wyobraża sobie teraz życia bez waszego tygodnika. Połknęły haczyk.

Po prostu fantastycznie! Lizzie nie bez satysfakcji stwierdziła, że znajome matki pilnie czytają jej porady, zazwyczaj szczerze i dość wyważone. Ze względu na bardziej wiekowe czytelniczki trzeba będzie trochę skorygować styl. Od dziś żadnych słów z młodzieżowego slangu.

- Wiem, mamo. Dzięki, że zadałaś sobie tyle trudu. I co, nie zawiodłam cię, mimo wszystko? - Musiała zapytać. Annie była szczerze zdziwiona, że w głosie córki, zwykle odpornej na wszelką krytykę, brzmi ton niepewności.

- Ależ skąd - odparła łagodnie. - Trzeba by znacznie gorszej wpadki niż sypanie z

wiarołymnym mężem, aby ludzie przestali cię szanować. Wiesz, co...

Lizzie poczuła ogromną ulgę i wyłączyła się na moment. W trudnych chwilach jej rodzina zawsze stawiała na wysokości zadania.

- Co mówiłaś? - rzuciła z roztargnieniem.

- Jak sądzisz, on już czytał? Pytanie za milion dolarów!

Matt siedział na dworcowej ławce. Rachel w końcu poszła do pracy, zabierając ze sobą egzemplarz „Na Głos”, dlatego w drodze do metra musiał kupić drugi. Od pamiętnej imprezy promocyjnej nie było dnia, żeby nie myślał o Lizzie. Co u niej, jak cię czuje... I nagle takie zaskoczenie. Jak grom z jasnego nieba. Czarno na białym stoi napisane, że go kochała. I to bardzo.

Chciał zadzwonić, ale wiedział, że nie powinien. Z pozoru nic się nie zmieniło. Nadal mieszkał z Rachel. Już niedługo. Trzeba się szybko wyprowadzić i wszystko będzie dobrze. Nie można się tak szybko odkochać, prawda? W hollywoodzkich filmach bohaterowie są stali w uczuciach, a prawdziwa miłość zawsze tryumfuje. Czy tak samo będzie w Londynie?

Okazało się, że „Na Głos” ma więcej czytelników, niż Lizzie dotąd sądziła.

Podczas trzygodzinnej audycji w City FM urywały się telefony. Na osiemnastu rozmówców, którzy weszli na antenę, trafiły się jedynie dwie osoby żądne krwi. Susan miała rację. Zdrada to gorący temat. Słuchacze opowiadali chętnie o własnych przeżyciach. Stereotypy okazały się zawodne. Kochanka kochance nierówna; każda była inna i opowiadała własną historię, niepodobną do pozostałych. Nasuwał się jeden wniosek: wszyscy mogą zdradzić lub zostać zdradzonymi. Nie ma przebaczenia.

Lizzie znalazła się nagle w centrum zainteresowania. Wszyscy chcieli wykorzystać jej chwilową popularność. Robyn ściemniał, zonglując wymówkami, gdy z weekendowych dodatków do gazet codziennych posypały się prośby o wywiad, a jednocześnie analizowała starannie liczne prośby o występ w talk - show. Lizzie przyczaiła się i czekała, aż dokona wyboru.

Dostawała mnóstwo listów i wiadomości. Skrzynki pocztowe wprost pękały w szwach. Rzadko czytała gorzkie słowa albo spotykała się z jawną wrogością czy żądzą zemsty. Z wyznaniem przebijała zaduma i ulga. Wiele osób dostrzegało swoje błędy, lecz mało kto wiedział, jak wybrnąć z kłopotów.

- Słuchaj, nie powinniśmy dłużej udawać, że wszystko jest w porządku. Wyprowadzam się - oznajmił stanowczo Matt, zwracając się do swego odbicia w łazienkowym lustrze. Nagle usłyszał trzask frontowych drzwi.

- Matt? - Rachel była zdziwiona, bo wystarczyło raz przekręcić klucz, żeby uchyliły się przed nią, a przecież zamek był dubeltowy. - Już wróciłeś?

Miała koszmary dzień. W pracy nikt jej nie cenił tak, jak na to zasługiwała, a po opublikowaniu artykułu Lizzie sprawy z Mattem wyglądały coraz gorzej. Z obawą myślała, że znaleźli się chyba na równi pochyłej; nie ma odwrotu, ich małżeństwo zmierza do nieuchronnej katastrofy. Nie umiała przyjąć tego do wiadomości. Sytuacja patowa i realne zagrożenie całkowitą katastrofą. Jakże to męczące!

- Jestem na górze! - zawołał odruchowo. I po co? Przecież nic jej do tego. Nie chciał, żeby weszła do łazienki. - Zaraz do ciebie zejść.

Za późno. Nim nerwowo zapiął rozporek, usłyszał, że Rachel wchodzi do sypialni i z trzaskiem otwiera szafę. Spuszczając wodę, odetchnął głęboko, żeby nie zabrakło mu tchu, kiedy będzie wypowiadał najważniejsze zdanie w całym swoim życiu. Wszedł do sypialni. Miał przeczucie, że to jest odpowiednia chwila. Cholera, długo czekał na ten straszny moment, gdy jak przystało na poważnego, dorosłego faceta, wreszcie powie, co myśli i czego chce. Krew pulsowała mu coraz szybciej i adrenalina popłynęła do żył.

- Jak ci minął dzień? Mój był okropny. - Zadała pytanie, ale nie czekała na odpowiedź, tylko mówiła o sobie. Goła do pasa grzebała w szufladach komody, szukając luźnego ciucha. Rzeczy, które jej nie odpowiadały, rzucała na łóżko.

- U mnie nie najgorzej - wtrącił Matt, nie dając się zredukować do roli biernego słuchacza.

- Cholerni plastycy. Zadzierają nosa i uważają się za wielkich twórców, a tymczasem to zera do kwadratu. - Rachel w ogóle go nie słuchała i ciągnęła swoją opowieść, wkładając obszerny T - shirt. Matt popatrzył na jej sutki sterczące pod cienką bawełną, ale ten widok nie wzbudził w nim żądz. Nic już nie czuł. Podszedł do niej zdecydowanym krokiem. Zdziwiona emanującą z niego stanowczością nagle zamilkła. Oto właściwy moment. Trzeba go wykorzystać.

- Rach... - zaczął i natychmiast umilkł.

- Tak? No co? Co jest? Wykrztuś nareszcie! - Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, bo przeczuwała, że zbliża się nieuchronna katastrofa. W dawnych czasach zapowiedziałby ją



wyraźny znak, złowróżbny omen: narodziny potwora, rzeka krwi, kometa... Spektakularna przepowiednia stokroć bardziej wyrazista niż koszmarny dzień jakich wiele. Szczerze mówiąc, otrzymała pewien sygnał. Stojąc rano przed rozbebeszoną szafą, w której panował okropny nieład, postanowiła włożyć spodnie kupione dawno temu, lecz prawie nie noszone. Potem okazało się, że już na nią nie pasują, więc męczyła się przez cały dzień. Powinna się domyślić, że będą dalsze przykrości.

- Odchodzę. Wyprowadzam się. To nie ma sensu. Należy przerwać tę fikcję. - Matt poczuł ogromną ulgę. Nareszcie! Powiedział głośno, co myśli. Miał nadzieję, że Rachel słuchała. Ale to nic pewnego. Nie panowała nad emocjami i miała trudności z koncentracją.

- Nie bądź śmieszny. Rany boskie, dokąd pójdziesz? - Strach Rachel zmienił się nagle w niedowierzanie. Wykluczone, żeby Matt ją opuścił. Potrafiła być bezwzględna, a on nie. Kiedy zaczęli się umawiać, zdumiewała ją przede wszystkim jego niewiarygodna lojalność. Jeśli chodzi o związek na dobre i na złe, był najlepszym z możliwych kandydatów.

- James ma wolny pokój. Już się spakowałem i odchodzę. Dziś wieczorem. Pewnie nie sądziłaś, że zdecyduję się na taki krok, ale nadeszła pora, żebym się wyprowadził.

Rachel poczuła mdłości. Wszystko zaplanował. To do niego niepodobne. Oczywiście przeczuwała, że pragnie się z nią rozstać, ale miała nadzieję... była na tyle głupia, by sądzić, że skończy się na czczych zamierzeniach.

- Odbiło ci. - Jak zwykle przeszła do natarcia.

- Proszę?

- Typowy kryzys wieku średniego. Dlaczego zawsze musiała go upokarzać?

- Nie próbuj mi wmawiać, że lepiej ode mnie wiesz, co myślę. Jestem w dobrej formie i nie przeżywam żadnego kryzysu. Spróbuj przyjąć do wiadomości, że między nami wszystko skończone. Od dawna próbowałem ci to uświadomić, ale nie chciałaś słuchać.

- Pożałujesz swojej decyzji. Jeśli teraz odejdziesz, nie dam ci drugiej szansy. Żadnych całusów na zgodę i czułego pojednania, gdy poziom testosteronu w końcu ci opadnie.

- Nie poproszę o kolejną szansę. Zmarnowaliśmy ich co najmniej kilka i wystarczy. Zresztą oboje mamy odmienne pragnienia i życiowe cele. Przyznaj to wreszcie. Śmiało! Do jasnej cholery, powiedz otwarcie, że tak jest. Na miłość boską, wróć do rzeczywistości i przestań karmić się złudzeniami. Nasze małżeństwo dawno się rozpadło.

Rachel zbierała siły do kolejnego natarcia.

- Nie spotkasz kobiety podobnej do mnie.

- Zrozum, Rach, wcale mi na tym nie zależy.

- Nadal chodzi o nią, prawda? Nie do wiary! Wystarczy blond czupryna oraz

wyjątkowo długie nogi i faceci zaraz dostają amoku. To żalosne. Ona lepiej niż ty zna się na męskich słabostkach. Widzi cię na wylot. Radzi innym, jak rozwiązywać problemy, głównie damsko - męskie. Wątpię, żeby miała forszę. Nie wygląda mi na spadkobierczynię milionera. Chyba niewiele zarabia.

Matt poczuł, że ogarnia go wściekłość. Jak mógł ożenić się z taką żoną?

- Wcale jej nie widuję.

- Chwilowo, jak sądzę. Pamiętaj, że gdy ona cię przepędzi, nie możesz tu wrócić. Jeśli odejdziesz, to na dobre.

Rachel stawiała się coraz bardziej agresywna. Matt chętnie odpłaciłby jej pięknym za nadobne, ale wziął się w garść. Była przygnębiona, więc nie panowała nad sobą. Swoim zachowaniem ułatwiła mu podjęcie decyzji. Utwierdził się w przekonaniu, że musi odejść. Wiele by dał za łyk piwa.

- To nieprawda, że porzucam cię dla innej. Muszę uporządkować swoje życie, więc przez jakiś czas chcę być sam. Moim zdaniem jest za późno na ratowanie naszego małżeństwa. Jeśli choć przez kilka sekund będziesz wobec siebie uczciwa i przestaniesz udawać ofiarę skrzywdzoną przez bezwzględnego okrutnika, niewątpliwie przyznasz mi rację. Przestań się zgrywać i rozdawać innym role. Rozmawiasz ze mną, z żywym, konkretnym Mattem. I nie obwiniaj Lizzie. Zapamiętaj sobie, że jeszcze nim ją poznałem, słowo „my” nic dla nas nie znaczyło. Żyliśmy razem, ale osobno. Zmieniłaś się... oboje jesteśmy inni. Najlepiej czujesz się w pracy, otoczona młodymi chłopakami, którzy patrzą na ciebie z uwielbieniem. Potrzebujesz towarzystwa waśniaków, żeby robić na nich piorunujące wrażenie. Przyda się też kilka butelek wina. Oto twój żywioł. Po nas została w tym domu jedynie fajna biblioteka, trochę niezłych filmów i płyt, zdjęcia i pamiątki.

Matt był niesłychanie dumny ze swojej kolekcji filmów na płytach DVD, więc Rachel wiedziała, jak się zemścić. Na początek zdziesiątkuje jego ukochany zbiór.

- Ona cię nie zechce. Sam to wiesz.

- Na razie nie, ale może kiedyś. Nawet gdybym został odrzucony, nie mogę dłużej żyć tak jak teraz. Pora uświadomić sobie, że nasze drogi się rozeszły.

Twarz Rachel przypominała maskę pozbawioną wszelkiego wyrazu. Matt musiał się upewnić, że go wysłuchała. Szukał sposobu, żeby się przebić przez jej ochronną skorupę. Powinna sobie uświadomić, że mówił serio.

- Nie kocham cię, Rachel. Przyznaj uczciwie, że i ty nic już do mnie nie czujesz. Jesteśmy razem z przyzwyczajenia. Z pozoru małżeństwo, a tak naprawdę dwoje obcych ludzi. Wspólne życie stanowiło dla nas gwarancję bezpieczeństwa, ale to już nie wystarczy.

Mam znacznie większe wymagania.

Wiadomość została wysłana. Po minie Rachel poznał, że dotarła do adresatki, która zdradzała oznaki niepokoju szybko przechodzącego w gniew.

- Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy - ciągnął. - Nasze małżeństwo od wielu miesięcy, a może i lat, jest w stanie rozkładu. Dla mojego i twojego dobra powinniśmy się rozwieść.

- Ty wyrachowany skurwysynu! - krzyknęła. - Wszystko zaplanowałeś, prawda? Mam być ci wdzięczna, bo tym razem raczyłeś mi powiedzieć, co kombinujesz? A więc to tak. Lizzie wygrała, zgadłam?

- Tu nie chodzi wcale o zwycięstwo albo porażkę. Stawką jest całe moje życie, wszystkie lata, które mi jeszcze pozostały. Nie rozumiesz? To cię w ogóle nie obchodzi?

- Jesteś zwykłym skurwielem. A ja wierzyłam, że różnisz się od tych wszystkich drani. Wynoś się! Idź precz! - rozkazała lodowatym tonem, z trudem panując nad sobą. Matt o niczym innym nie marzył. - Na co czekasz? Czego jeszcze chcesz? Mam ci życzyć szczęścia? Niedoczekanie twoje! Niech cię diabli! Idź precz! - wrzeszczała i nagle zaczęła szlochać.

Zaskoczony Matt w milczeniu patrzył na skrzywioną twarz Rachel, po której spływały łzy i czarne smugi tuszu do rzęs. Nie sądził, że zobaczy ją w takim stanie.

- Jak to się mogło stać? - odezwała się pierwsza. - Wiem, że byłam zaślepiona, głupia, samolubna. Nieważne. Jestem świadoma, że fatalnie się między nami układało. Ale... Matt, boję się. Jesteś mi potrzebny.

Wzruszył się, bo ujawniła nareszcie ludzkie uczucia i nie wstydyła się słabości. Pochylił się i przytulił ją mocno.

- Wszystko będzie dobrze.

- Wiem, wiem - próbowała znów nadrabiać miną. - Pozbieram się. To prawda, że cię nie kocham, ale tak dobrze się znamy. Lubię, kiedy jesteś w pobliżu.

- Szkoda, że nie potrafiłaś mi tego okazać. Ciągle obrywałem - powiedział żartobliwym tonem, aby rozładować atmosferę. Dobry pomysł. Rachel uśmiechnęła się lekko.

- Jesteś mi bliski...

- Jak brat albo kuzyn, ale to nie miłość. Zawsze będę miał dla ciebie ciepłe uczucia. W pewnym sensie zależy mi na tobie i zawsze tak będzie. Nie chcę jednak, żeby gorycz zniszczyła wszystko, co było między nami. I nie wiń Lizzie. Jej to nie dotyczy.

- Skoro masz odejść, to idź. Porozmawiamy jutro albo za parę dni. Może w przyszłym tygodniu zjemy razem obiad.

- Pomyślimy.

Matt pocałował ją w policzek, wziął torbę i wyszedł.

- Cholera! Cholera jasna!

Lizzie biegła po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Powinna lepiej organizować czas. W Londynie zrobiło się duszno i gorąco; powietrze gęste jak ciepła zupa. Dlatego pod lnianą koszulą cała była zlana potem. W taki upał musiała tłuc się z powrotem do Putney, żeby wziąć z domu potrzebne w radiu notatki. Ubranie miała przybrudzone i wilgotne, więc powinna się przebrać.

Popatrzyła na zegarek, sprawdzając, czy uda jej się wygospodarować parę minut na szybki prysznic, nim znowu zagłębi się w labirynt korytarzy londyńskiego metra. Rzuciła gazetę na kuchenny stół i odruchowo potarła nos, brudząc go farbą drukarską. Jadąc metrem przez całą drogę ścisnęła w wilgotnej dłoni zwinięty w trąbkę egzemplarz „Evening Standard”. Był okropny tłok, więc nie dało się ani na moment rozłożyć gazety. Zerknęła współpasażerom przez ramię, czytając przynajmniej nagłówki, co niewiele dało. Wciąż nie miała pojęcia, co się dzieje na świecie. Trudno, wielkie sprawy muszą poczekać.

Spódnica zsuwała się właśnie po jej spoconych udach, gdy zabrzmiał dzwonek u drzwi. Po raz kolejny w ciągu ostatnich paru minut zerknęła na zegarek. Czuli się jak Biały Królik z „Alicji w krainie czarów”. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że się spóźni. Za kwadrans piąta. Ciekawe, kto postanowił ją odwiedzić we wtorek po południu. Poczłapała w stronę domofonu oraz monitora, próbując jednocześnie wsunąć stopę w but i zapiąć spódnice. Nadspodziewanie szybko dotarła do drzwi. To cud, że nie złamała nogi, a poza tym znów się spociła. Na ekranie ujrzała posłańca z Interflory, który trzymał w ręku wielki bukiet.

Zawołała do niego i błyskawicznie spięła włosy na czubku głowy, żeby się ochłodzić. Zbiegła po schodach.

Podobnie jak większość dziewczyn uważała, że pięknych kwiatów nigdy za wiele. Lubiała mieć je w domu. Według niej nawet feministki i kobiety całkiem samodzielnie radzące sobie w życiu miękły na widok ślicznego bukietu. Clare również wierzyła w uzdrawiającą moc kwiatów i odkąd się znów wprowadziła, zносиła je do domu całymi wiązkami.

Może to Ed przysłał jej bukiet? Najwyższy czas, żeby odpowiedni mężczyzna zaczął się przystawiać do Clare i umiejętnie ją adorować. Skoro przysłał kwiaty, toby oznaczało, że przemogła się i mimo niechęci do facetów zaszczyciła go telefonem. Wspomniała, że ma taki zamiar. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że Lizzie postanowiła wpaść do domu. Colin, jak przystało na dobrego sąsiada, chętnie odbierał ich kwiaty i natychmiast wstawiał je do wazonów, żeby nie zwiędły, aranżując tak piękne kompozycje, że nie wypadało mu ich potem

odbierać. Zdobyły jego mieszkanie, choć powinny trafić do mieszkających na piętrze dziewczyn.

Lizzie miała wielką ochotę ucałować posłańca, gdy powiedział, że kwiaty są dla niej. Kto wie, czy oparłaby się pokusie, gdyby nie jego sumiaste wąsy. To ją powstrzymało.

- Jaka miła niespodzianka! Bukiet jest prześliczny. - Wtuliła twarz w delikatne płatki i przez chwilę chłonęła piękną woń. - Cudnie pachną.

- Niech pani tu podpisze.

- Kwiatów nigdy za dużo. Takie jest moje zdanie. - Lizzie złożyła efektowną parafkę. Zapomniała, że czas ją goni i przyjaźnie zagadywała mrukliwego posłańca. Postanowiła, że wciągnie go do rozmowy. Co się dzieje z londyńczykami, zastanawiała się. Nie zaszkodzi, jeśli czasem powiedzą klientce kilka miłych słów, prawda? Czy za przyjazne nastawienie trzeba im dodatkowo płacić?

- Zaniosę kwiaty na górę. Umieram z ciekawości. Muszę zaraz sprawdzić, kto je przysłał. Ale upał, prawda?

Posłaniec uśmiechnął się ironicznie, niemal pogardliwie. A jednak Lizzie dopięła swego, bo w końcu się odezwał. Sztuka konwersacji była w odwrocie, ale nie w jej domu... a raczej na progu.

- Mam nadzieję, że wazonów paniom nie zabraknie. Ktoś się dla was wykosztowuje.

Lizzie wybuchnęła perlistym śmiechem, choć jego słowa wydały jej się raczej dziwne niż zabawne. Była podekscytowana, więc byle głupstwo mogło doprowadzić ją do śmiechu. Doszła do wniosku, że ten facet ma fantastyczną pracę. Dzięki niemu wiele kobiet zamieszkałych w Londynie i okolicach przeżywa ulotne chwile prawdziwego szczęścia.

Posłaniec odwrócił się na znak, że nie ma ochoty na pogawędkę, ale wracając do auta mamrotał dość głośno. Doskonale, uznała Lizzie. Rozmowa z klientką nie jest jego specjalnością, ale przynajmniej monologuje. Na początek dobre i to. Gdy posłaniec odwrócił się, zamykając furtkę, usłyszała wyraźnie fragment jego tyrady.

- Idiotka. Udaje zaskoczoną, a przecież od sześciu tygodni dostarczam te wiechcie tego samego dnia, zawsze o jednej porze. Tamtemu żalostnemu kretynowi nie chce się już nawet nagryzmolić paru słów.

Lizzie zaniosiła kwiaty do kuchni. Od sześciu tygodni? Co jest grane? Albo upał rzucił się facetowi na mózg, albo Clare ma kochanka posiadającego kartę stałego klienta Interflory. Chwila, moment. Z tego wniosek, że kłamała, twierdząc, że sama kupuje kwiaty, żeby wprowadzić do ich mieszkania dobrą energię. Trzeba się mieć na baczności, bo ta wariatka znów coś kombinuje. I to od sześciu tygodni!

Lizzie pobiegła do pokoju po największy wazon, przycięła delikatne łądźki i starannie ułożyła kwiaty, a potem wskoczyła pod prysznic, skrapiając je przy okazji chłodną wodą, aby odżyły. Zdawała sobie sprawę, że koledzy z City FM popukają się w czoło, jeśli powie, że spóźniła się na redakcyjne zebranie, bo musiała ratować bukiet lekko sfatygowany londyńskim upałem. Z drugiej strony jednak nie mogła pozwolić, żeby kwiaty zwiędły i zmarniały, więc wsypała jeszcze specjalną odżywkę dołączoną do przesyłki. Pomieszała wodę nożem, który przypadkowo wpadł jej w rękę, i czekając, aż proszek się rozpuści, otworzyła małą kopertkę i wyjęła bilecik. Dziwne, ani słowa.

Obróciła bilecik kilka razy, szukając choćby inicjałów, ale prócz bladej różyczki w lewym górnym rogu, logo Interflory i adresu kwiaciarni nie zauważyła innych znaków. Na wszelki wypadek zajrzała ponownie do kopertki, ale nie było w niej drugiej karteczki. Ktoś się z nią bawił w kotka i myszkę. Zamierzała nawet zadzwonić do kwiaciarni, żeby upewnić się, czy bukietarka i zawistna analfabeta w jednej osobie nie zgubiła bileciku z pozdrowieniami. Nie, szkoda czasu. Postanowiła zajrzeć tam jutro, idąc do metra.

Odruchowo przyspiliła karteczkę do korkowej tablicy, na której wisiała spora kolekcja zaproszeń na śluby drukowanych na czerpanym papierze, kupon promocyjny nowych płatków śniadaniowych uprawniający do zakupu dwu paczek w cenie jednej, wizytówki korporacji taksówkowych, menu barów oferujących dania na wynos, sporo pocztówek oraz tony szpargałów. Wyciągnęła z korka pineskę, ale zrobiła to niezręcznie i lawina papieru posypała się na terakotową podłogę. Lizzie zebrała pospiesznie wszystkie kartki i posortowała je, żeby prowizorycznie przyspilić do tablicy, gdy nagle zwrócił jej uwagę częściowo zapisany bilecik, który Matt dołączył do kwiatów przysłanych po ich pierwszej wspólnej nocy.

Zapomniała na chwilę o swoim zajęciu, patrzyła z rozrzewnieniem na białą kartkę i wyjęła ją spomiędzy innych papierów, których przybywało błyskawicznie, aż na korkowej powierzchni narosła gruba warstwa. Pismo trochę spłowiało, lecz nadal było czytelne. Kartonik podziurawiony pineskami nosił ślady wielokrotnego przypinania. Lizzie od razu spostrzegła, że jest identyczny z dostarczonym dzisiaj. Ta sama blada różyczka, znak firmowy Interflory i adres kwiaciarni. A może jednak...

Trzeba się pospieszyć. Miała na głowie mnóstwo spraw. Czekają ją ważne zebranie. Najpierw parę telefonów. Musiała wezwać taksówkę, a potem zostawić Benowi wiadomość w poczcie głosowej, że jest w drodze i wkrótce przyjedzie. Cierpliwości, jeszcze parę minut.

Znalazła komórkę i zatelefonowała do Clare, która wbrew swoim zwyczajom odebrała natychmiast. Lizzie odetchnęła z ulgą. Potrzebowała bezzwłocznie sporej dawki jej

życiowego cynizmu.

- Clare. Dzięki Bogu. - Lizzie była już tak spóźniona, że w ogóle przestała się tym martwić. Kilka dodatkowych minut jej nie zbawi. Cóż z tego, że wpadnie na zebranie pół godziny po jego rozpoczęciu?

Clare od razu wyczuła, że Lizzie jest wytrącona z równowagi.

- Co jest? Dobrze się czujesz? Jakies nowiny? Dzwonisz z domu? Powinnaś być w radiu.

- Czekam na taksówkę. Jestem kretynką. Musiałam wrócić, bo zostawiłam na kuchennym stole wszystkie notatki. Spóźnię się na zebranie, ale trudno. Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale coś się wydarzyło.

- Tak?

- Dostałam kwiaty. Z początku sądziłam, że są dla ciebie. Od Eda albo innego adoratora. Na kwicie było jednak moje nazwisko. Dołączono bilecik, ale bez jednego słowa.

- Żadnej wiadomości?

Clare roztropnie udawała idiotkę. Miała powody.

- Aha.

- Anonimowy ofiarodawca?

- Tak.

- Ciekawe, od kogo dostałaś te kwiaty.

- Sama zadaję sobie to pytanie.

- A przy okazji... Jestem dziś umówiona z Edem.

- Wiesz, tak sobie pomyślałam... to głupie... Co? Z Edem? - Lizzie wreszcie uświadomiła sobie, co przed chwilą powiedziała Clare. - Naprawdę? - W pierwszej chwili nie zwróciła uwagi na słowa wypowiedziane z pozorną nonszalancją, lecz wkrótce pojęła, że szykuje się prawdziwa sensacja. No i proszę, jakie to charakterystyczne dla Clare, która miała zwyczaj przekazywać najważniejsze informacje, gdy Lizzie była roztargniona i nie zwracała na nie uwagi.

- Panno Williamson, czy to randka?

- Ależ skąd! Umówiliśmy się tylko na kolację.

- Robocze spotkanie ludzi interesu, tak?

- Właściwie...

- Zadzwoń do niego?

- No co ty!

Głupi pomysł! Ta Lizzie jest niemożliwa!

- Już ci mówiłam, że telefonował do mnie kilka razy, a potem wpadł do Union Jack. Powiedział, że było mu po drodze.

- Z Fulham do Notting Hill? Rozumiem.

- Właściwie...

- Clare, nie udawaj idiotki. Pan Wallace jest tobą zainteresowany. Jakie to fascynujące. Tego ci właśnie potrzeba.

- Może... Pewnie nic z tego nie będzie. Skończy się na jednej kolacji.

- Pożyjemy, zobaczymy. - Lizzie była zniecierpliwiona. Gdyby ta wariatka dała sobie trochę więcej luzu, spędziłaby bardzo przyjemny wieczór.

Clare zaczynała powoli żałować, że pochopnie wyznała Lizzie, dokąd się wybiera. Nie miała ochoty być w centrum zainteresowania, więc zmieniła temat.

- Wróćmy do tajemniczego wielbiciela. Odrobina dyskretnej adoracji dobrze ci zrobi. Jakies sugestie dotyczące ofiarodawcy? Może to nadopiekuńczy kierowca taksówki.

- Właśnie miałam ci powiedzieć, co mi przyszło do głowy, ale zaczęłyśmy rozmawiać o Edzie. Chciałam umieścić bilecik na naszej tablicy i przy okazji zrzuciłam na podłogę cały plik starych świstków, które... Zresztą mniejsza z tym. Znalazłam wśród nich karteczkę dołączoną do kwiatów, które Matt przysłał mi w grudniu. Ta dzisiejsza jest identyczna, a bukiet z tej samej kwiaciarni. - Gdy hipoteza przybrała realny kształt, Lizzie uświadomiła sobie, że mówi bzdury. Żałowała teraz, że zadzwoniła do Clare, bo wyszła na idiotkę. Takie fantazjowanie może tylko zaszkodzić jej wiarygodności.

- I co z tego? - Clare jak zwykle była trzeźwa i pragmatyczna. Lizzie powinna się z tego cieszyć, bo przy niej odzyskiwała zdrowy rozsądek. Dzisiaj dała się ponieść bujnej wyobraźni.

- Oba bukiety przysłano z tej samej kwiaciarni. Czego to dowodzi? Zapewne właściciele zgłosili akces do Interflory, więc do nich spływają zamówienia z sąsiedztwa. Mają pewnie tylko jeden rodzaj bilecików. Hipoteza obalona. Żadnych tajemnic.

Clare miała rację... jak zwykle. Lizzie była trochę rozczarowana. To również typowe.

- Dostałaś udaru słonecznego? Nie przegrzałaś się? Ciągłe jesteś w biegu. Latem to niezdrowe.

Lizzie już miała skapitulować i zdać się na opinię przyjaciółki, ale przypomniała sobie zagadkowe uwagi posłańca.

- Chwileczkę. Facet, który przywiózł kwiaty, twierdził, jakoby dostarczał je raz w tygodniu, z regularnością szwajcarskiego zegarka, zawsze o tej samej porze. Tak mówił. Aha, podobno zjawia się u nas od sześciu tygodni.



- No tak... - Clare nagle spuściła z tonu. W jej głosie zabrzmiało wahanie. Zwykła pewność siebie gdzieś się ulotniła. Lizzie od razu to wyczuła.

- Tak, słucham.

- Moim zdaniem to wierutna bzdura. - Clare natychmiast wzięła się w garść, ale jej diagnoza zabrzmiała fałszywie.

- Clare?

- Co?

- Do rzeczy. Zbywasz mnie.

- Ależ skąd.

- Właśnie że tak.

- Nieprawda.

- Clare, znam cię jak zły szeląg i wiem, kiedy robisz mi wodę z mózgu.

- No dobrze. Rzecz w tym... Nie... To ponad moje siły. Zaczekaj. Przyjadę do domu.

- Na miłość boską! Wykrztuś to nareszcie, dobra? Nie mogę tu siedzieć, aż raczysz się zjawić. Za dwie godziny mam w radiu audycję na żywo. Od dziesięciu minut powinnam być na zebraniu redakcyjnym. Zawalę jedno i drugie, jeśli będziesz się nadal wygłupiać.

Clare westchnęła głęboko.

- Boję się, że mnie znienawidzisz. Obiecuj, że nie będziesz się odgrywać. - Sprawiała wrażenie mocno wystraszonej. Lizzie nie kryła zdziwienia. Od tej strony jej nie znała.

- Nie gadaj głupstw. Przyrzekam zachować spokój. Clare głośno nabrała powietrza i wyznała z szybkością karabinu maszynowego:

- Od sześciu tygodni dostajesz bukiety które odbieram i daję... Colinowi... Sortujemy kwiaty a ja udaję że kupiłam je hurtem na targu i... wkładam do wazonów.

- Ale po co... ? - Lizzie nagle domyśliła się, w czym rzecz. Nie była pewna, czy skakać z radości, czy wybuchnąć płaczem. W głowie miała zamęt, ale próbowała wziąć się w garść.

- Liz? Jesteś tam? Przepraszam. Byłam pewna, że to dobry pomysł. Niestety, wyszłam teraz na wyrachowaną zołzę, ale daję słowo, że nie miałam złych intencji. Tyle spraw się na ciebie zważyło, lecz poradziłaś sobie i wyszłaś z tego obronną ręką. Uznałam, że trzeba cię chronić...

Lizzie milczała. Po prostu ją замуrowało.

- Jest więcej bilecików, w większości zapisanych. Znajdziesz je w mojej nocnej szafce, druga szuflada od dołu, pod stertą przepisów, których nie miałam czasu wypróbować i włączyć do menu.

Lizzie bez trudu znalazła bileciki. Było ich pięć. Ten sam wzór. Dostarczono je z

bukietami. Cztery zawierały wiadomość, piąty nie.

- Lizzie, słyszysz mnie? Skarbie, jesteś tam? Zrozum, strasznie mi przykro. Wiem teraz, że nie powinnam się wtrącać. Chodzi o to, że nie mam prawa decydować, czy dostajesz kwiaty, czy nie. Cholera wie, co mnie napadło - mruknęła Clare bardziej do siebie niż do niej.  
- Chyba straciłam rozum.

Lizzie słuchała z roztargnieniem, wpatrzona w białe karteczki. Niesamowite. Wszystkie od Matta. A już myślała, że przestało mu na niej zależeć, bo po imprezie promocyjnej „Blue” ani razu się nie odezwał. Ale to nieprawda. Próbował się skontaktować. Oto dowody. Leżały przed nią bileciki zawierające upragnione słowa, na które tak czekała przez sześć ostatnich tygodni.

*Czy zechcesz mi wybaczyć? Przepraszam. Kocham cię. Matt.*

*Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze. Będzie szczęśliwe zakończenie? Kocham. Matt Mam dobre nowinę. Zadzwoń do pracy. Dość udręki. Chyba pora na ekstazę. Kocham cię. Matt Nie daję za wygraną. Wiesz, gdzie mnie szukać.*

*Matt*

Targana sprzecznymi uczuciami Lizzie była na granicy euforii i hysterii. Clare nie rozłączyła się, próbując na odległość wyczuć, co jest grane. Lizzie ledwie słyszała jej uwagi na temat Rachel gotowej zaatakować na wieść o podchodach Matta. Była też wzmianka o złamanym sercu oraz szczere przeprosiny. Lizzie miała dość tej gadaniny.

- Clare, zamknij się - powiedziała bez złości. Była w siódmym niebie, więc nie miała ochoty się awanturować, chociaż Clare trochę ją rozczarowała swoim zachowaniem.

- Och, nareszcie się do mnie odezwałaś.

- Jak mogłaś?

Clare milczała, gdy Lizzie besztła ją bez przekonania, starając się zachować powagę, choć najchętniej tańczyłaby z radości w jej sypialni. Oczywiście powinna być zła jak osa, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Po raz pierwszy w życiu - niewątpliwie mimo woli - była dumna, niedostępna i trudna do zdobycia. Z ociąganiem przyznała, że taka postawa ma swoje zalety.

- Sądziłam, że stworzyliśmy zgrany duet - powiedziała z wyrzutem. Clare odzyskała głos i skwapliwie z tego skorzystała.

- Tak było. I nadal jest. Na sto procent. Nie wiem, co mnie napadło.

- Próbowełaś uchronić mnie przed popełnieniem głupstwa. Ale pamiętaj, że masz do

czynienia z dorosłą kobietą. Mam prawo popełniać błędy i ponosić ich konsekwencje. Jesteś moją współlokatorką, a nie nadzorcą.

Lizzie próbowała nadać głosowi surowe brzmienie, ale nie czuła gniewu. Jeśli Mattowi i jej było pisane życie we dwoje, uśmieją się kiedyś z tych komplikacji. Przed sześcioma tygodniami nie była jeszcze gotowa, żeby przyjąć do wiadomości taki wariant zdarzeń, ale gdy wypędziła swoje demony, sytuacja zmieniła się całkowicie. Lepiej nie mówić tego Clare. Powinna odpokutować za swoje przewinienia. Lizzie rzadko miała nad nią taką władzę.

- Wiem, wiem - zapewniła Clare. Ciekawe, gdzie teraz jest.

Wygląda na to, że gotowa byłaby na kolanach błagać o przebaczenie. - Przepraszam. Jestem głupia jak but. Może byś do niego zadzwoniła?

- Dobry pomysł, ale nauka nie poszła w las. Zatelefonuję później, na pewno nie teraz i nie za pięć minut.

- Dlaczego? Co ci szkodzi? - Clare zadziwiła samą siebie.

- Przecież odczekał sześć tygodni. Jeśli spróbujesz teraz, pewnie złapiesz go w pracy. Nie ma wątpliwości, że oszalał na twoim punkcie. Niepotrzebnie tak knułam. Zastanawiam się, co mi odbiło.

Lizzie zdała sobie sprawę, że Clare ma okropne poczucie winy, skoro zachęca ją do kontaktu z Mattem. Uśmiechnęła się ukradkiem.

- Zrozum, nie chcę niczego przyspieszać. Trzeba zachować właściwą kolejność działań. Najpierw chciałabym się dowiedzieć, co z Rachel.

- Dobrze kombinujesz. Jestem z ciebie dumna. Wierz mi, chciałam jedynie twego dobra.

- Dzięki. Ja go kocham.

- Jasne. - Clare była szczerze wzruszona siłą uczuć Lizzie. Niezłomne zasady kruszyły się z wolna. - Jeśli rzeczywiście Matt jest tym jednym jedynym na całe życie, będę twoim świadkiem.

Lizzie wybuchnęła śmiechem.

- Powoli! Chyba się nieco zagalopowałaś.

- Nauczyłam się od ciebie chwytac życie na gorąco.

- Skąd pewność, że się nie zmieniłam?

- To byłaby dopiero niespodzianka. Ale obiecaj mi, że kopiesz Matta w tyłek, jeśli okaże się takim draniem jak Joe.

- Przyrzekam! - Lizzie zerknęła na budzik w sypialni Clare.

- Kurde! Muszę lecieć. Jestem okropnie spóźniona. Mam nadzieję, że taksówka czeka.

- Życzę wspaniałej audycji. Zobaczymy się późnym wieczorem, po twoim powrocie do domu.

- O ile ty wrócisz z tej swojej kolacji.

- Zamknij dziób, Lizzie. To nie jest randka.

- Ach, prawda! Zapomniałam. Każdy może się pomylić.

- Liz... - Clare odniosła wrażenie, że lada chwila wbrew swym obyczajom zacznie chichotać. Znajome uczucie... Była podekscytowana niczym nastolatka. Jak za dawnych dobrych czasów. - Raz jeszcze na wszelki wypadek powtórzę, że bardzo cię przepraszam.

- Zastanów się dobrze, czy w pudełku po butach wsuniętym pod łóżko nie trzymasz przypadkiem stosu listów miłosnych.

- Nie przejęłam ani jednego. Słowo daję.

Pożegnały się, a po chwili Lizzie siedziała w taksówce. Jadąc do radia, zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Matta, ale postanowiła tego nie robić. Trwająca kilka minut zdawkowa pogawędka nie wchodziła w grę, a na dłuższą rozmowę ze względu na horrendalne spóźnienie nie mogła sobie teraz pozwolić.

Zebranie się przeciągnęło, więc natychmiast pobiegła do studia i usiadła przed mikrofonem. Wkrótce zabrzmiał sygnał audycji, więc musiała wyciszyć przeciążony umysł, analizujący uporczywie liczne warianty bliższej i dalszej przyszłości. Usiłowała skoncentrować się na leżącym przed nią scenariuszu, lecz machinalnie zadawała sobie pytanie, czy Matt słucha dziś jej audycji. A może po sześciu tygodniach daremnych wysiłków dał sobie spokój i spisał na straty dziewczynę, która nie raczyła się do niego odezwać, chociaż zasypywał ją kwiatami?

Zamigotały czerwone lampki mikrofonów, więc czekała w pełnej gotowości, czując gwałtowny przypływ adrenaliny. Napięcie towarzyszące audycji sprawiło, że na pewien czas zapomniała o pytaniach, które nie dawały jej spokoju.

- Słuchacie radia City FM. Mamy lato w mieście. Wyluzujcie się, ponieważ będzie gorąco.

Skończyła się nagrana wcześniej reklamówka. Przebrzmiał aż nazbyt znajomy baryton Danny'ego Vincenta. Na szczęście to był głos i tylko głos. Sympatia Lizzie do jego właściciela rosła z kwadratem odległości.

Cały zespół był już gotowy do rozpoczęcia programu nadawanego na żywo.

- Witajcie. Przed mikrofonem Lizzie Ford. Słuchacie programu „Udręka i ekstaza” w City FM. Mamy wtorkowy wieczór, jest ósma zero trzy. Zostanę z wami przez najbliższe trzy godziny, więc jeśli macie problemy, przeżywacie kryzys emocjonalny albo załamanie nerwowe, jeśli czekacie na pomocną dłoń albo bratnią duszę, dzwońcie do mnie. Teraz jest odpowiednia chwila. Znacnie numer: 0990 99 88 77. Powtarzam: zero, dwie dziewiątki, zero, dwie dziewiątki, dwie ósemki, dwie siódemki. Na pewno odbierzemy mnóstwo telefonów, posłuchamy fajnej muzyki w sam raz na letni wieczór i podamy rozwiązanie ostatniego konkursu. A zatem jeśli marzy wam się kompletny odjazd podczas gorącego weekendu w wielkim mieście, zostańcie z nami. Ale najpierw trochę muzyki. Proponuję na początek „Fast Love” w wykonaniu George'a Michaela. Otwórzcie okno, usiądźcie wygodnie z zimnym napojem w dłoni, zróbcie głośniej i rozkoszujcie się latem w waszym City. Najpierw dwa złote przeboje, a potem odbierzemy telefony.

Lizzie zerknęła na Phila, swego realizatora, który przygotował już płytę. Wystartowali. Za kilka minut kolejne wejście. Mieli sporo czasu. Najpierw George Michael - pięć dwadzieścia pięć, a następnie Stardust, cztery dwadzieścia jeden. Dość czasu, żeby wybadać dwu pierwszych słuchaczy.

Matt słuchał radia, w rytm muzyki bębniąc palcami po kierownicy. Wolno posuwał się naprzód w wieczornym korku. Ulice stale były zatłoczone, więc bardzo rzadko jeździł samochodem po Londynie.

Zapomniał, że prowadzi kabriolet i śpiewał na całe gardło razem z wokalistą, nie widząc rozbawionych min innych kierowców. Zastanawiał się, czy w tym tygodniu zamiast kosza rozmaitych różnych kwiatów nie powinien raczej wysłać Lizzie bukietu niezapominajek.

Musiał przyznać, że dziś jej głos brzmi inaczej. Kiedy miała w radiu swój program, mimo wszelkich niedogodności brał samochód, żeby spokojnie posłuchać audycji. Do domu z

pewnością nie zdążyłby na czas. Nie chciał się narzucać, więc to był jedyny sposób podtrzymania kontaktu. Dość jednostronny, ale lepsze to niż nic. Z brzmienia jej głosu mógł odgadnąć, w jakim jest nastroju, zgadywać, czy dobrze się czuje. Tak to sobie tłumaczył.

Wciąż nie dzwoniła. Może nadal była przygnębiona? No cóż, trudno się dziwić. Szczerze mówiąc, z wielu powodów miał wobec niej ogromny dług wdzięczności. Odkąd wyprowadził się do Jamesa, stał się znowu... taki jak dawniej. Wydawało mu się, że wszystko jest możliwe, że świat stoi przed nim otworem, a wszelkie marzenia zostaną urzeczywistnione. Odzyskał swobodę. Był wolny. Mógł robić wszystko, co chciał. Żałował tylko, że wcześniej nie zdecydował się na taką zmianę.

Czas szybko zleciał. Ben już migał czerwoną lampką i odliczał sekundy do wejścia na antenę. Kiedy grała muzyka, Lizzie zanotowała na kartce informacje dotyczące pierwszej dwójki dzwoniących słuchaczy. Teraz zapowiedź wsteczna i zaraz trzeba zacząć rozmowę.

- To był George Michael i jego „Fast Love”, a potem Stardust i „Musie Sounds Better With You”. Za chwilę kolejne utwory. Przygotowaliśmy na dziś świetną muzykę, więc czeka was sporo przyjemnych wrażeń. Ale najpierw odbierzemy telefony. Po to tutaj siedzę, żeby z wami rozmawiać. Jest ósma dwanaście. Mamy upalny i parny wieczór, a przy telefonie czeka Sara. Witaj, Saro. Jak mogę ci pomóc?

- Cześć, Lizzie. - Słuchaczka wydawała się pogodna i zrównowazona. Lizzie popatrzyła na kolegów i uniosła w górę kciuk.

- Cześć.

- No więc chodzi o to...

Lizzie musiała czasami siłą powstrzymać się od popędzania rozmówców. Dziś wieczorem była szczególnie zniecierpliwiona, ponieważ rozpieła ją nerwowa energia, która szukała ujścia. Daremnie! Musiała być uosobieniem spokoju i taktu. Słuchacze przy odbiornikach, a także pracownicy radia mieli prawo spokojnie poznać wszystkie szczegóły opowieści.

- Śmiało...

- Chodzi o chłopaka z pracy. Umówiłam się z nim w piątkowy wieczór. Powiedział, że dawno temu wpadłam mu w oko, trochę wypiliśmy. No wiesz...

- Owszem.

- Nie spaliśmy ze sobą ani nic takiego, lecz naprawdę byłam w siódmym niebie, bo mówił mi różne miłe rzeczy. Przez cały weekend udawałam nieprzystępną...

Cały weekend! Ben chichotał bezgłośnie za szybą. W słuchawkach Lizzie rozległ się jego złośliwy szept:

- Brawo! Dajmy jej medal - powiedział do Phila, więc rzuciła mu karcące spojrzenie. Doskonale rozumiała, co czuje Sara.

- Gdy w poniedziałek rano przyszedłam do pracy, zaraz wysłałam mu maila. No wiesz, podziękowałam za miły wieczór i zaproponowałam, żebyśmy go powtórzyli.

- Aha. - Lizzie dyskretnie dała Sarze do zrozumienia, że słucha uważnie.

- Nie odpowiedział. Początkowo sądziłam, że mail nie doszedł. Zdarza się czasami, że listy giną w informatycznym labiryncie. Mogłam źle napisać nazwisko albo błędnie postawić kropkę. Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie powinnam mieć złudzeń. Mniejsza z tym. Dziś rano dowiedziałam się, że wczoraj przez cały dzień oczerniał mnie przed kumplami, twierdząc, że się do niego dobierałam, że jestem okropnie napalona i tak dalej. Ale nasza piątkowa randka wyglądała całkiem inaczej. On mnie podrywał, nie ja jego. Nie mogę znieść, że wszyscy plotkują za moimi plecami. Trudno uwierzyć, że postąpił tak podle. Właściwie nie jestem nawet zawiedziona, tylko czuję się jak idiotka, bo powinnam przewidzieć, co knuje.

- Moim zdaniem, Saro, twoi koledzy z biura to banda niedojrzałych wyrostków. Ile masz lat?

- Dwadzieścia sześć.

- Rozumiem. Z pewnością nie będzie to łatwe, ale powinnaś wziąć sprawę w swoje ręce i nie dać facetowi sobą pomiatać. Z twoich słów wynika, że nie jest wart zainteresowania. Jeśli całkowicie zignorujesz kpiny jego i koleśków, na pewno wkrótce znudzi im się plotkowanie. Gdybyś wpadła w złość i przyjęła obronną postawę, niestety mogłoby się wydawać, że coś ukrywasz. Jeżeli przejdiesz nad jego drwinami do porządku dziennego i potraktujesz je z wyższością, w końcu wyjdzie na głupka. Daję dziesięć punktów na dziesięć możliwych za to, że nie poszłaś z nim do łóżka. W przeciwnym razie czułabyś się znacznie gorzej.

- Jasne. Dziękuję. Nadal trudno mi zrozumieć, jak mogłam się tak wygłupić.

- Nie ty jedna, Saro. Mnóstwo ludzi ma takie same problemy. Hej, wy tam w studiu emisyjnym! Niech podniosą ręce wszyscy, którzy zdecydowali się kiedyś na podryw w pracy, a potem był z tego jedynie płacz albo nieprzyjemności. Aha... piątka na sześcioro. Całkiem spora gromadka. Sara zachichotała.

- Dzięki, Lizzie. Bardzo mi pomogłaś.

- Nie przejmuj się, Saro. Następnym razem trafisz lepiej.

Matt wiercił się niecierpliwie za kierownicą. Niechętnie przyznał, że głos Lizzie brzmi dzisiaj inaczej. Była niemal w żartobliwym nastroju, wydawała się pełna zapału, szczęśliwa...

aż za bardzo. Coś się zmieniło od poprzedniego czwartku. Wtedy także była świetna, nawet żartowała, ale dzisiaj wydawała się całkiem odmieniona, niemal zalotna. Matt bezwładnie opadł na oparcie fotela. Cholera jasna! Czyżby kogoś miała? Atutów jej nie brakowało: inteligentna, śliczna, wesoła, seksowna... nawet bardzo, a przede wszystkim wolna. Na miłość boską, jak mógł się ludzić, że będzie na niego czekała?

Sięgnął do schowka po gumę do żucia, aby się czymś zająć i trochę uspokoić. Powtarzał sobie, że pragnie tylko jej szczęścia. Po tym, co przeszła z jego powodu, naprawdę na nie zasługiwała. A jego prawo do zadośćuczynienia? Miał jej przecież udowodnić, że bardzo poważnie traktuje ich związek.. Był teraz sam i czuł się szczęśliwy. Nie postąpił jak typowy facet, który przeskakuje z kwiatka na kwiatek, bo inna twarz, imię i osobowość właściwie nie stanowi dla niego problemu. Miał świadomość, że Lizzie zasługuje na więcej, niż dotąd mógł jej ofiarować. Chciał się zrehabilitować. Mimo jego starań nie dała się ugłaskać, ale bardzo chciał z nią porozmawiać.

Zawiedziony, wypluł gumę na asfalt i zaczął bębnić palcami po drzwiach auta. Na klawiaturze telefonu komórkowego wybrał numer City FM, ale nie zadzwonił. Gdy sznur aut znowu się zatrzymał, odrzucił głowę do tyłu, przymknął oczy i wsłuchiwał się w głos Lizzie, czarujący i niepokojący zarazem.

- Dobrze. Kto następny?

Lizzie popatrzyła na swoje bazgroły. Do notowania wykorzystywała marginesy studyjnej rozpiski. Lada chwila kolejne wejście.

- Zapamiętajcie numer: 0990 99 88 77. Dziś wieczorem do jedenastej czekam na wasze telefony. Wkrótce dowiem się, jak mogę pomóc Robbiemu. Linia numer cztery. Dobry wieczór, Robbie.

- Witaj, Lizzie. Co u ciebie, skarbie? Wszystko gra? Będę mówić krótko. Wszystkie dane w pigułce.

W pigułce? Czy to aptekarz?

- Gotowa?

Lizzie poczuła instynktowną niechęć do słuchacza, lecz nadal czarowała go profesjonalną życzliwością. Prawdziwe emocje pozostawały głęboko ukryte.

- Ja i mój najlepszy koleś...

Lizzie skrzywiła się. Nie należała do językowych purystek, ale czasami raziła ją zachwaszczająca angielski ekspansja słownictwa rodem z serialu „East - Enders”. Mocno zacisnęła usta, bo odczuwała nieodpartą potrzebę, żeby przerwać Robbiemu i przypomnieć mu o istnieniu słów takich jak „przyjaciel” lub „kolega”. Skupiła się na opowieści i



próbowała słuchać jej z należytą uwagą.

- Tak się składa, żeśmy się zakochali w jednej takiej lasce. Poznaliśmy ją w tym samym czasie i zaraz nam obu po prostu odbiło. Rzecz w tym, że chciałbym się z nią znów umówić, no ale wtedy mój superkoleś wyjdzie z siebie.

- Znowu? Mam rozumieć, że już próbowałeś, ale nic z tego nie wyszło?

- Właściwie tak, ale nie mogę powiedzieć, żebym był całkiem przegrany. Obaj już z nią chodziliśmy. Wiesz, o co biega, no nie? Na pierwszym roku studiów. Najpierw kumpel z nią był, potem mu ją zdmuchnąłem, jarzysz? Wściekał się jak cholera.

- Aha. Jasne.

Lizzie potakiwała machinalnie, bez większego przekonania. Wcale nie była pewna, czy sprawa jest tak oczywista. Chętnie zapytałaby Robbiego, po co szedł na studia, skoro nie potrafi wyrażać się jak człowiek rozumny, ale postanowiła nie ujawniać swoich uprzedzeń. Robbie najwyraźniej uważał się za niezłego twardziela, lecz instynkt podpowiadał Lizzie, że ma do czynienia z mięczakiem i popaprańcem, musiała jednak zachować to dla siebie.

- Czy dziewczyna wie, co obaj czujecie do niej? - Lizzie nie mogła zrozumieć, jak to się dzieje, że ludzie dobrowolnie wikłają się w podobne układy.

Robbie milczał przez chwilę. Zapewne musiał uruchomić całą inteligencję, żeby odpowiedzieć na pytanie. Wyszukiwarka w jego głowie wyraźnie szwankowała, więc marnie mu to szło.

- Raczej nie. Tak myślę. Nadal kumplujemy się wszyscy troje. W tygodniu chodzimy razem na zajęcia. Tylko że ja chcę z nią chodzić. Parę razy było nam super. Taka prawda. No wiesz, te sprawy. Ale jest kłopot. Ona podłapała jakiegoś gościa i z nim randkuje. Nic na poważnie, ale się porobiło.

- Rozumiem. - Wygląda na to, że dziewczyna znalazła wyjście z niefortunnej sytuacji... chyba że nadal kursuje wśród przerośniętych kretynów. Lizzie szczerze w to wątpiła. Z pewnością panna wymieniła Robbiego na lepszy model.

- Mogę spytać, ile masz lat?

- Dwadzieścia.

- A twój kumpel?

- Tyle samo.

Dzieciuchy. Męskie ciała, rozum gimnazjalistów, a do tego żaloszny w skutkach nadmiar testosteronu. Lizzie była świadoma, że musi z należytą powagą traktować sercowe dylematy słuchacza, chociaż miała pewność, że ten kretyn nie rozpoznałby prawdziwej miłości, nawet gdyby podeszła i poklepała go po ramieniu.

- A wasza panna?

- Chyba dwadzieścia jeden.

Prawdziwa miłość? Śmiem wątpić, pomyślała. Ten głupek nie potrafi nawet precyzyjnie określić wieku najdroższej. Zapytany o znak zodiaku na pewno by się wyłożył.

- Spotykałeś się z kimś po rozstaniu? - W słuchawce panowała martwa cisza, więc Lizzie rzuciła pytającym tonem: - Robbie?

- No... niespecjalnie. Gdybym chciał, mógłbym wyrwać mnóstwo fajnych lasek, ale problem w tym, że kocham tamtą. Popełniłem błąd, pozwalając jej odejść.

- Mogę zapytać, dlaczego zerwaliście?

- No... według niej jestem niedojrzały. Te klimaty - mruknął Robbie, a Lizzie siłą woli nakazała sobie powagę. Niewiele brakowało, żeby parsknęła śmiechem. - To było rok temu z okładem. Teraz już wiem, czego chce. Problem w tym, że mój koleś też przejrzał na oczy, a nie chce, żebyśmy się o nią ścigali.

Aha, oto dowód prawdziwej dojrzałości. Jasna sprawa.

- Cóż, Robbie, jeśli ona ma innego i jest zadowolona, ty i twój kolega musicie to przyjąć do wiadomości. Nie jest przecież jedyna na świecie. Co dzień widzisz mnóstwo fajnych studentek. Moim zdaniem znacznie przyjemniej byłoby chodzić z dziewczyną, która rzeczywiście ma na ciebie ochotę. Poza tym sam rozumiesz, że wy dwaj nie możecie decydować między sobą, któremu dostanie się wasza ukochana. Gdyby była wolna, a na razie nie jest, sama by wybrała. Nie zakładajcie pochopnie, że chciałyby wrócić do dawnego układu. Poza tym jeśli dla ciebie i twego kumpla nie do przyjęcia jest sytuacja, w której przedłożyłaby jednego nad drugiego, ustalcie między sobą, że przestajecie się nią interesować i sprawa załatwiona.

- Ale...

- Przejdzie ci. Jesteś bardzo młody. Radzę ci chodzić na imprezy i dobrze się bawić. Ale pamiętaj: fajny seks to seks bezpieczny.

- Mam bzykać panny i czekać, co będzie? - Robbie nie dramatyzował na myśl o randkach z innymi dziewczynami. Prawdziwa miłość może poczekać.

- Dobrze to ująłeś, Robbie. Dziwię się, że dziewczyny nie ustawiają się do ciebie w kolejce.

Tego już było za wiele dla jej współpracowników. W słuchawkach rozległ się jęk Phila. Asystentki odbierające telefony śmiały się w głos.

- Na koniec dam ci dobrą radę. „Bzykać” to nie jest właściwe słowo. Zdobądź się na odrobinę romantyzmu. Wtedy twoje akcje natychmiast zaczną zwyżkować, a dziewczyny

chętniej będą się z tobą umawiały.

W całym zespole tylko Benowi brakowało poczucia humoru. Pogroził Lizzie palcem. Wzruszyła ramionami. Zawsze był trochę świętoszkowaty. Doskonale wiedziała, że większości słuchaczy w tym wypadku spodoba się sarkastyczne podejście do sprawy. Na pewno i sam Robbie nie miał nic przeciwko takiej konwencji, rzecz jasna, o ile był w stanie ją rozpoznać.

- No dobra. - Nie wydawał się przygnębiony. Lizzie podejrzewała, że natura niezbyt hojnie wyposażyła go w szare komórki i poskapła też innych talentów. - Wiesz co, Lizzie?

- Słucham?

- Jeszcze jedno.

O nie! Miała dość tej rozmowy, ale nie była w stanie się rozłączyć. Tylko Phil mógł zrzucić słuchacza z anteny. Kiwnęła głową i palcem przesunęła po gardle, jakby chciała je sobie podciąć. Nie patrzył na nią, zajęty jakimiś technicznymi szczegółami.

- Chętnie fundnąłbym ci piwo. Najwyższy czas, żebyś przespała się z facetem, którego będziesz potem długo wspominać. Dam ci tę noc. Teraz jesteś sama, co? Daj sobie spokój z żonatymi. Postaw na młodszego rocznik.

Fatalna sprawa. Phil całkiem się pogubił. Chichotał bezgłośnie, a na galerii asystentka, która wcześniej przepytowała Robbiego, rwała włosy z głowy, przysłuchując się rozmowie. Zapewne nie przeczuwała, że ma do czynienia z kompletnym zerem.

- No cóż, Robbie, interesująca sugestia.

Trzeba wziąć sprawy w swoje ręce. Lizzie zerknęła na radiowy zegar i swoją rozpiskę.

- Jest ósma dwadzieścia dwa. Słuchacie City FM na dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych. Po reklamach zaśpiewa dla was mężczyzna o kojącym głosie i cudownej osobowości. Bill Withers i „Lean On Me”. Zostańcie z nami.

Doskonale posunięcie. Na chwilę zdjęła słuchawki, żeby uszy trochę odpoczęły. Po wyglądzie Bena poznała, że będzie bura.

- Więcej taktu, Lizzie. Chłopak oczekiwał rady, nie reprimendy.

- To miernota, a wyobraża sobie nie wiadomo co. Doskonale o tym wiesz, Ben.

- Wyluzuj, stary. - Phil bronił Lizzie. - Zwykły dupek. Myślę, że przed zaśnięciem podnieca się niezdrowo, oglądając fotkę Liz wyciętą z czasopisma.

- Dzięki - mruknęła z przekąsem. Phil miał dobre intencje, ale niezbyt jej się podobał naszkicowany przez niego obrazek. Kobięcy umysł wzdragał się przed taką wizją. Ach, ci faceci.

- Nie martw się, stary. - Phil jeszcze nie skończył. - Wątpię, żeby prezes słuchał... a

jeśli nawet, miał niezły ubaw. Czasem trzeba sobie odpuścić.

Do dziewiątej wieczorem Ben zawsze był kłębkim nerwów, bo z dobrze poinformowanych źródeł (kilka razy przespał się z najlepszą przyjaciółką osobistej sekretarki dyrektora do spraw programowych) wiedział, że prezes Richard Drake często słucha pierwszej godziny wieczornego programu, ćwicząc w siłowni. Lizzie brała pod uwagę, że w sprawach zawodowych może być równie zasadniczy i nadęty jak Ben, ale miała nadzieję, że podczas jej małej tyrady skupił się na robieniu przysiadów, więc nie zwrócił uwagi na jej sarkastyczny ton.

- Przepraszam - mruknęła nieszczerze, aby załagodzić sytuację. Czasami musiała radzić sobie ze słuchaczami po swojemu.

Wkrótce Phil włączył mikrofony, ale Lizzie rozmarzyła się, słuchając Billa Withersa i rozmyślając o kwiatowych bukietach. Cisza w eterze trwała zaledwie ułamek sekundy, ale Ben już gwałtownie wymachiwał ramionami. Lizzie w milczeniu przepraszająco kiwnęła głową i spokojnie podjęła wątek.

- Jak wam się podobała ta piosenka? Ja ją uwielbiam. Przywraca mi wiarę w człowieka. Pamiętajcie, że zawsze możecie na nas liczyć. Przypominam numer telefonu: 0990 99 88 77. Jest ósma dwadzieścia sześć. Tu Lizzie Ford. Słuchacie audycji „Udręka i ekstaza” w radiu City FM.

Podczas tej standardowej kwestii w jej słuchawkach zabrzmiał głos Bena:

- Sam spadł z linii numer sześć. Masz słuchacza na piątce. Nie przedstawił się. Zajmij się nim, ale błagam, bądź uprzejma. Trzy minuty trzydzieści dwie sekundy do wiadomości.

- Na linii numer pięć mamy tajemniczego mężczyznę, który woli zachować anonimowość.

Może to on? Lizzie była niepoprawną optymistką.

- Cześć, piątko. - Była przyjazna, ale bez przesady, bo nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Nie traciła nadziei, że wymarzony książę z bajki dzwoni, żeby jej zrobić niespodziankę. Wstrzymała oddech, gdy słuchacz wreszcie się odezwał.

- Cześć, Lizzie.

To nie był głos, który miała nadzieję usłyszeć. Starła się ukryć rozczarowanie. Nic dziwnego, że stale czuje się zawiedziona, skoro oczekuje zbyt wiele.

- Chciałbym spojrzeć na sprawę z kobiecej perspektywy.

- Dobrze trafiłeś. W tym bez wątplenia mogę ci pomóc. Rozmówca wydawał się całkiem normalny. Ze sposobu mówienia wynikało, że między nim i Robbiem jest przepaść.

- To żalosne wyznanie, ale szczerze mówiąc nie wiedziałem, do kogo zadzwonić.

Problem w tym, że pokłóciłem się z moją dziewczyną. Mam trzydzieści dwa lata, od półtora roku jesteśmy razem i naprawdę było nam dobrze. Niestety, w przypiływie zazdrości oskarżyłem ją bezpodstawnie. Zaprzeczyła, ale nie chciałem słuchać, więc spakowała moje rzeczy, zabrała klucze i wyrzuciła mnie z mieszkania, a teraz nie chce przyjąć z powrotem, bo mówi, że nie będzie żyć z facetem, który nie ma do niej zaufania.

- Wyraziła się jasno i chyba to rozumiesz. Dlaczego wtedy jej nie uwierzyłeś?

- Powody są banalne. Byłem po kilku piwach, kumple mi dokuczali. Niestety, przestałem nad sobą panować. Teraz wiem, że byłem zupełnie wytracony z równowagi. Kocham ją i chcę się z nią pogodzić. Jest dla mnie wszystkim, ale ilekroć próbuję ją przeprosić, zawsze coś palnę. Dlatego przestała odbierać, kiedy telefonuję. Zawsze zostawiam wiadomości. Pojechałem, żeby się z nią zobaczyć, ale nie otworzyła.

- Może jej nie było.

- Trudno powiedzieć. Tak czy inaczej czuję się bezradny.

- Na twoim miejscu wzięłabym na wstrzymanie. Przestań się jej naprzykrzać: nie dzwoń, nie przyjeżdżaj. Nie obraź się, ale twoja najdroższa prawdopodobnie uważa cię teraz za maniaka. Jeśli nadal będziesz ją dręczyć, zaczniesz sobie gratulować, że rzuciła cię w samą porę.

Zbliżała się pora wiadomości. Ben już odliczał dwadzieścia ostatnich sekund. Zmuszona do pośpiechu i wciąż zaabsorbowana sprawą Matta doskonale wiedziała, co doradzić słuchaczowi.

- Wyślij jej kwiaty i krótki bilecik, a potem czekaj cierpliwie. Jeśli za parę dni sama nie skontaktuje się z tobą, zadzwoń, ale tylko raz. Wyznaj, co czujesz, ale daj jej również trochę czasu na rozważenie swoich słów. Bądź powściągliwy, nie naprzykrzaj się. Chcesz ją odzyskać, a nie ubezwłasnowolnić. To ogromna różnica. Niech za tobą zatęskni. Pamiętaj, że nie musisz spać pod jej drzwiami, aby pamiętała o twoim istnieniu. Z pewnością nie będzie zachwycona, jeśli potknie się o ciebie za każdym razem, gdy wraca do domu. Zostaw jej trochę swobody, ale się nie poddawaj. Wiadomo, że z kobietami nie jest łatwo, ale i tak warto są zachodu.

Uśmiechała się i doradzała przyjaźnie, więc tym razem zadowolony Ben uniósł kciuk do góry. Chyba jej wybaczył. Była w doskonałym nastroju. Anonimowy słuchacz podziękował, a w chwilę później zaczęły się wiadomości. Miała świadomość, że swoje rady tylko częściowo kierowała do tamtego bezimiennego mężczyzny.

Po raz pierwszy od kilku tygodni Lizzie raczyła się do niego odezwać. Matt był tego

pewny. Chwycił telefon leżący na fotelu pasażera i zadzwonił do radia, ale było zajęte. Spróbował jeszcze raz. Daremnie. Nie udało się. Wybrał numer komórki Lizzie, ale włączyła się od razu poczta głosowa. Raptownie zawrócił, nie bacząc na klaksony i jawne oburzenie innych kierowców. Przyspieszając, gwałtownie ruszył do radia. Zdawał sobie sprawę, że współużytkownicy drogi obrzucają go najgorszymi wyzwiskami. I słusznie. Facet w białym T - shircie i ciemnych okularach jadący klasycznym kabrioletem wygląda na pozera, ale co miał do stracenia? Po chwili sam sobie odpowiedział: prawo jazdy.

Wiadomości dobiegły końca i zgodnie z rozpiską mieli teraz dwie minuty na reklamę. Ben przekazał Lizzie informacje o dwu następnych kandydatach do rozmowy na żywo. Asystentka, która rekomendowała Robbiego, po wypaleniu kilku papierosów dochodziła już do siebie.

Ben niespodziewanie zamilkł w pół słowa, gdy umieszczona na ścianie biała lampka sygnalizacyjna studyjnego telefonu zaczęła nagle migotać. Ktoś dzwonił na zastrzeżony numer. Było tylko jedno wyjaśnienie: Richard Drake słucha programu i chce na bieżąco podzielić się przemądrymi wnioskami ze swoją załogą; tak nazywał podwładnych. Zawsze dzwonił nie w porę i oczekiwał, że zostanie wysłuchany z całą należną uwagą. Nie miał pojęcia, jak się robi audycję na żywo, choć wszystkich zainteresowanych, a także wielu innych, chętnie informował, że przeszedł całą radiową drogę od najniższego stanowiska aż na sam szczyt.

Telefon odebrał siedzący przy konsolce Phil. Dawał jakieś znaki współpracownikom po drugiej stronie szyby. Po chwili usłyszeli jego głos.

- Do ciebie, Ford.

Ben natychmiast się odprężył i rozluźnił ramiona.

- Kto? - Lizzie obronnym gestem założyła ramiona na piersiach i usiadła wyprostowana, zbierając siły do kolejnej rozmowy telefonicznej. Była przygotowana na najgorsze i trochę zła. Nie miała teraz głowy do wysłuchiwanie pouczeń szefa.

Nim podniosła słuchawkę, Phil odezwał się znowu.

- Rozłączyli się. To ochrona. Wygląda na to, że masz gościa. Mężczyzna, raczej młody. Tyle zdążyli mi powiedzieć. Zapytał o ciebie w recepcji i nagle uznał, że przepustka go nie obowiązuje. Przeskoczył barierkę i ruszył prosto do windy. Ochroniarze chcieli cię ostrzec na wypadek, gdyby tu dotarł. Spróbują go złapać w holu czwartego piętra.

Lizzie czuła przyspieszony puls. Może to Robbie? Czyżby miała do czynienia z psychopatycznym mordercą?

- Trzydzieści sekund. - Ben przypomniał spokojnie, że program trwa, jakby nie brał

pod uwagę, że prezenterce grozi zapewne śmiertelne niebezpieczeństwo.

Zdenerwowana Lizzie założyła słuchawki, odgradzając się od świata. Nie miała najlepszego zdania o radiowej ochronie. Jeszcze nie zaczęły działać. Sporo czasu minie, zanim wezmą się do roboty. Ciekawe, czy szyba oddzielająca studio od korytarza jest nie tylko dźwiękoszczelna, lecz także kuloodporna. Lizzie żałowała teraz, że zarywała noce, oglądając w telewizji amerykańskie filmy akcji, w których wszyscy bez namysłu strzelają do wszystkich.

- Zaraz wchodzisz. Jeszcze dziesięć, dziewięć, osiem... - Długa wskazówka zegara w studiu mijala złowrogo czerwone kreski sekund. - Siedem, sześć... kurde... ale kretyn.

Lizzie obróciła się na fotelu, gotowa paść na podłogę, osłaniając rękami głowę z obawy przed nieuchronnym atakiem. Już wyobrażała sobie serię pocisków... i nagle oniemiała na widok znajomej twarzy po drugiej stronie dźwiękoszczelnej szyby. Nadbiegli dwaj strażnicy, chwytając intruza za ręce. Lizzie jęknęła.

- Dwa, jeden. Teraz, Lizzie.

Była na antenie i nie potrafiła wykrztusić słowa. Istny koszmar. Wpatrzona w Matta, wkrótce odzyskała głos i zaczęła mówić do rzeczy, nim słuchacze chwycili piloty, żeby zmienić program na ciekawszy. Ben jak kibic na meczu tenisowym wodził spojrzeniem od niej do Matta, usiłując zrozumieć, co jest grane, i czemu, do jasnej cholery, takie rzecz muszą się dziać podczas jego programu.

- Przepraszam za chwilę wahania. Mamy tu spore zamieszanie. A więc... ponownie witam wszystkich słuchaczy. Przed mikrofonem Lizzie Ford. Słuchacie City FM. - Wzięła głęboki oddech. Gardło miała ściśnięte, bo targały nią sprzeczne uczucia: była podekscytowana, pełna obaw, wytracona z równowagi. Przekonała się na własnej skórze, że zaskoczenie naprawdę może być przyczyną ataku serca. - Za chwilę rozmowy ze słuchaczami i muzyka, ale najpierw muszę wam kogoś przedstawić. Phil, czy mógłbyś zaprosić mojego gościa do studia emisyjnego i dać mu mikrofon?

Puściła oko do Matta, który stał za kilkucalową szybą, uśmiechając się niepewnie. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę tu dotarł, lecz serce rozpierała mu radość, bo Lizzie wyglądała na zadowoloną z powodu ich spotkania. Wyraźnie się ucieszyła.

Ochroniarze rozluźnili chwyt, więc ruszył ku drzwiom jej studia najszybciej, jak potrafił, chociaż nogi się pod nim uginały.

- Zapewne część ze słuchaczy wie, co mnie spotkało w ciągu ostatnich miesięcy - ciągnęła Lizzie. - Nie ulega wątpliwości, że zostałam poddana trudnej próbie i starałam się postąpić właściwie, lecz idąc za głosem serca, przeżyłam wcześniej kilka najpiękniejszych

tygodni mojego życia.

Matt usadowiony w studiu przyglądał jej się z rozrzewnieniem. Najchętniej zamknąłby ją w ramionach, lecz na razie kręcili się przy nim jacyś ludzie przypinający mu do T - shirta czarny mikrofonik. Siedząca po drugiej stronie stołu Lizzie była tak bliska, a zarazem taka daleka. Westchnął głęboko.

- Jak zapewne wiecie, definitywnie zerwałam, przekonana, że to najlepsze rozwiązanie. Kazałam mu odejść, więc zniknął z mojego życia. Sądziłam, że wrócił do żony. Nie miałam żadnych wiadomości. Przeżyłam ogromne rozczarowanie, ale musiałam się z tym pogodzić i pójść dalej. Dziś niespodziewanie odkryłam, że przez kilka tygodni regularnie przysyłał mi kwiaty. Przejmowała je w sekrecie moja współlokatorka, która postanowiła chronić mnie przed moją własną słabością. Dzisiaj jednak sprawa wyszła na jaw. A teraz, właśnie przed chwilą, niespodziewanie przyjechał do studia...

Lizzie wiele by dała za kilka chwil sam na sam z Mattem. Popatrzyła na Bena, który gapił się na nią, podobnie jak Phil i asystentki odbierające telefony. Po prostu reality show. Trudno, wbrew chęci musiała brnąć dalej i skończyć, co zaczęła.

- Nie mam pojęcia, czego chce i co się zmieniło, więc teraz muszę się tego dowiedzieć. Wybaczcie, że będę uprawiać prywatę, i pozwólcie mi go przedstawić. Matt... witaj.

- Cześć - mruknął przeciągle. Lizzie z trudem zwalczyła pokusę, żeby przerwać audycję i zasypać go pocałunkami.

Scena jak z filmu. Matt zastanawiał się, kto mógłby go zagrać. Wzdrygał się przed czułymi wyznaniem na radiowej antenie, ale nie miał wyboru.

- Sam nie wiem, co tutaj robię, ale musiałem przyjechać. Od kilku tygodni próbuję się z tobą skontaktować. Zaszło tyle zmian...

Uśmiechnięta Lizzie patrzyła mu prosto w oczy, prosząc bezgłośnie, żeby wypowiedział upragnione słowa. Matt zapomniał, gdzie jest. Nie liczyło się nic poza jedną jedyną osobą siedzącą za szerokim stołem, z którą chciał porozmawiać. Los dał mu szansę.

Clare usłyszała sygnał komórki. Zarumieniona, pogrzebała w torbie, starając się jak najszybciej wyciągnąć i unieszkodliwić nieznośny telefon. Pluła sobie w brodę, że zamiast normalnego sygnału wybrała elektroniczną wersję starego hitu. Do niedawna była przekonana, że to doskonały pomysł, ale teraz zmieniła zdanie. Wydawało jej się, że wyłączyła komórkę, nim usiedli przy stoliku. Już miała ją uciszyć, lecz odruchowo zerknęła na wyświetlony numer. Rzuciła Edowi przepraszające spojrzenie i odebrała najdyskretniej, jak potrafiła. Miała nadzieję, że inni goście jej za to nie zlinczą.



- Annie? Co jest?

- Słuchasz?

- Tak. Mów śmiało. - Clare osłoniła ręką aparat, żeby głos brzmiał jak najciszej.

- Słuchasz jej programu?

- Nie. Jestem w restauracji. - Ta Annie jest przesadnie wymagająca. Clare miała własne życie, więc nie musiała w każdy wtorek i czwartek siedzieć z uchem przy radioodbiorniku. Nie brała ślubu z ukochaną córeczką Annie. Dzielili z nią tylko mieszkanie.

- Natychmiast włącz radio. On jest w studiu, z nią. No wiesz, zeszli się. Moim zdaniem chyba coś z tego będzie.

- Jaki on? - Clare nagle pojęła, o kogo chodzi. - Matt? Jest w studiu z Lizzie? - Odruchowo podniosła głos, który rozległ się echem w restauracyjnej sali. - Jak to? Od kiedy?

- Natychmiast zerwała się z miejsca i zaraz usiadła, zniżając głos do szeptu. Policzki miała czerwone. - Co powiedział?

- Wpadł do studia w trakcie programu. Cały w skowronkach. Dzwoniłam, ale bezskutecznie. Zresztą w tej chwili jestem ostatnią osobą, z którą chciałaby rozmawiać. Nasza kochana Lizzie jest bardzo zajęta.

- Nie do wiary! - Clare szczerze się cieszyła przez wzgląd na Lizzie. - Zostawił Rachel? Mówił coś? - Ale się porobiło, myślała. Po raz pierwszy od dwóch lat umówiła się na randkę, a teraz zaniedbywała swego wielbiciela i zamierzała wyjść, nim cokolwiek się między nimi zaczęło.

Ed, który do tej chwili ku wielkiemu rozbawieniu Clare udawał głuchego i z zainteresowaniem czytał menu, dał sobie z tym spokój i pytająco uniósł brew. Kiwnęła głową, pozwalając mu jawnie podsłuchiwać, i natychmiast wstała. Jej osobliwe zachowanie nie zrobiło na Edzie najmniejszego wrażenia. Podał kelnerowi swoją kartę kredytową i zapowiedział, że wkrótce wróci do stolika. Ujął rękę Clare i wyprowadził ją z restauracji. Odprężyła się natychmiast, gdy jego palce objęły jej dłoń. Przyjemnie, gdy dla odmiany ktoś inny podejmuje decyzje.

- Dobra, Clare - ciągnęła Annie. - Muszę kończyć. Nie chcę, żeby coś mi umknęło.

- Dzięki za wiadomość. Idziemy do auta włączyć radio - zapewniła Clare, lecz Annie przerwała połączenie.

Gdy siedzieli w samochodzie Eda na trzecim poziomie wielopiętrowego parkingu NCP przy Brewer Street, rozpromieniona Clare przez różowe okulary patrzyła na świat. Wszystko układało się idealnie.

Lampki sygnalizacyjne wszystkich telefonów migały jak oszalałe. Ben wcale się temu

nie dziwił. Atmosfera w studiu była elektryzująca. Odetchnął z ulgą, bo miał wreszcie coś do zrobienia. Zajrzał do asystentek odbierających telefony, żeby sprawdzić, jak reagują słuchacze. Po chwili Lizzie usłyszała w słuchawce jego szept:

- Jest super. Ludzie koniecznie chcą z tobą pogadać. Przełączam dwójkę i trójkę. Odbierz. - Zmiał przygotowany wcześniej scenariusz audycji i wyrzucił papierową kulkę do kosza. W radiu nie da się wszystkiego przewidzieć.

- Sama widzisz, ile ci zawdzięczam. - Matt zamilkł. Lizzie siedziała nieruchomo. Czas stanął w miejscu. Matt należał do niej. Od kilku tygodni był wolny. Marzyła o szczęśliwym zakończeniu, ale rozum ostrzegął przed kolejną wpadką, włączając sygnał alarmowy. Gdyby Matt powtórnie ją zawiódł, chybaby się nie pozbierała. On pewnie też, gdyby Clare postawiła na swoim. Co teraz będzie? Brakowało jej słów. Na szczęście Ben czuwał nad przebiegiem audycji i podpowiadał dyskretnie.

- Phil przygotował muzykę. Potem będzie przerwa na reklamę. Słuchacze czekają na dwójce i trójce. Dwójka podobno cię zna. Clare z Putney. Kazała przekazać, że masz się zgodzić.

Lizzie w milczeniu kiwnęła głową. Serce przepełniała jej radość. Samotna łza spłynęła po policzku do kącika ust uniesionego w radosnym uśmiechu. Lizzie zacisnęła wargi z obawy, że zacznie głośno szlochać. Ku przerażeniu Bena zdjęła słuchawki i pochyliła się nad stołem w stronę Matta, który właśnie zamierzał ją pocałować. Dotknęła wargami jego ust. Niech Ben martwi się o program. Za to mu płacą.

Była ósma czterdzieści sześć i dwadzieścia jeden sekund, gdy z głośników zabrzmiał sygnał „Udreki i ekstazy”, a potem I trzy piosenki jedna po drugiej. Phil stanął na wysokości zadania, a widząc, że prezenterka nie jest w stanie wykrztusić słowa, pokazał, na co go stać. Radio zyskało ludzką twarz.

Dostatecznie długo tu pracował, by wiedzieć, jak wiele znaczy dla Lizzie ta chwila wyciszenia. Ona i Matt potrzebowali trochę czasu dla siebie. Szczerze mówiąc, oboje zapomnieli o całym świecie i nie widzieli nikogo. Czas się dla nich zatrzymał. Lizzie zasłużyła na tę chwilę szczęścia i Phil nie zamierzał jej tego odbierać.

Ben dzielnie mu sekundował, mówiąc głupstwa do mikrofonu, który Phil przezornie wyłączył, nadając romantyczne piosenki, aż nadeszła pora wieczornych wiadomości.